

**POWSTANIA
ŚLĄSKIE**
Jak wywalczyliśmy
zachodnią granicę

SZCZEPIONKI
- ZNANE OD TYSIĘCY LAT

SU-76 - KĄŚLIWA SOWIECKA „SUCZKA”

Nr 5-6 (96-97)
MAJ-CZERWIEC 2021
CENA: 9,90 zł (w tym 8% VAT)

W
SIECI

HISTORII

MAGAZYN O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

W
RZĄDOWA A.
PRAWO UCHWALONE
Dnia 3. Maja, Roku 1791.

3 MAJA 1791

*Pierwsza
konstytucja
w Europie*

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803
0 5
9 1772300 680107

ZAMÓW E-PRENUMERATĘ

SIECI
I OSZCZĘDŹ 50%

	Najpopularniejszy	
Dostęp na 1 miesiąc	Dostęp na 12 miesięcy	Dostęp na 6 miesięcy
19,99 zł 9,99 zł	159,99 zł 89,99 zł	89,99 zł
Oszczędzasz 10 zł	Oszczędzasz aż 70 zł	
KUP TERAZ	KUP TERAZ	KUP TERAZ



BĄDŹ BLISKO
 **POLSKI**
gdziekolwiek jesteś

ZAMÓW JUŻ DZIŚ: www.SiecPrzyjaciol.pl

KONSTYTUCJE POLSKIE

W polskiej tradycji prawnoustrojowej na plan pierwszy wysuwa się nasza ustawa zasadnicza z 3 maja 1791 r. Jak powszechnie wiadomo, była to pierwsza nowoczesna konstytucja europejska, a druga – po amerykańskiej – na świecie. Jej zapisy jedynie na krótko weszły w życie, niemniej stała się dla następnych pokoleń punktem odniesienia, symbolem naprawy Rzeczypospolitej i dążeń do odzyskania niepodległości. Jej autorzy z Hugo Kołłątajem, Ignacym Potockim, królem Stanisławem Augustem Poniatowskim (o czym pisze prof. Zofia Zielińska) i marszałkiem Sejmu Wielkiego Stanisławem Małachowskim na czele (tym uwiecznionym w centralnym miejscu obrazu przez Jana Matejkę, niesionym przez posłów Aleksandra Linowskiego i Ignacego Zakrzewskiego do katedry świętojańskiej) zapisali się trwale w polskiej historii. To właśnie w domu marszałka sejmu w nocy z 2 na 3 maja 1791 r. odczytano projekt konstytucji w obecności 83 senatorów i posłów, którzy przyrzekli poprzeć konstytucję następnego dnia. W następnym roku król obiecał zaś wybudować Świątynię Opatrzności Bożej, które to przyrzeczenie spełniły dopiero żyjące dziś pokolenia Polaków.

Konstytucje czasów rozbiorowych nie były de facto tylko naszym dziełem, ale wręcz odwrotnie, mimo liberalnych rozwiązań (Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego) nosiły znamię obcości, praw narzuconych. To konstytucja majowa stała się ogniwem łączącym I Rzeczpospolitą z II RP i do dziś jej uchwalenie stanowi jedno z najważniejszych świąt narodowych. Z tego samego powodu, czyli jej niepodległościowego i religijnego charakteru, święto 3 Maja zostało zniesione w okresie Polski Ludowej, a w zamian za to kazano Polakom maszerować pod czerwonymi sztandarami dwa dni wcześniej.

Pamięć o Konstytucji 3 maja niosła posłów Sejmu Ustawodawczego, którzy niemal w przededniu plebiscytu na Górnym Śląsku uchwalili konstytucję marcową w 1921 r. W preambule do ustawy zasadniczej nawiązali autorzy tekstu do czasów Sejmu Wielkiego i jego dzieła – trzeciomajowej konstytucji. Podobnie jak wówczas 3 maja, tak teraz 17 marca posłowie przeszli z sejmu do katedry świętojańskiej, by uczcić ten historyczny moment. Podobnie jak wtedy 3 maja, posłowie mieli świadomość, że uchwalając konstytucję, stabilizują państwo – odzyskane po 123 latach niewoli i po wojnie z bolszewikami, której przebieg dowodził, jak cienkimi nićmi szyta jest nasza Niepodległa. Jak pisał następnego dnia Edward Dubanowicz w „Rzeczypospolitej”, polityk prawicy i sprawozdawca projektu konstytucji, po głosowaniu i słowach marszałka Sejmu Ustawodawczego Wojciecha Trąmpczyńskiego „zabrzmiała nieprzepartym wybuchem ta pieśń dziękczynna i błagalna zarazem, w której naród pomny swej tysiącletniej wielkości:

„Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały...”

– modlił się o wybawienie z niewoli:

„Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,

Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie”

– a w której dzisiaj, po odwaleniu w przedziwnym biegu wypadków dziejowych trzech ogromnych kamieni grobowych oraz po spełnieniu się wielkiego cudu zjednoczenia i zmartwychwstania dane mu było zmienić słowa modlitwy:

„Ojczyznę, wolność, zachowaj nam, Panie”.

Historia realizuje się nadal, tym razem wraz ze zmieniającą się rzeczywistością. Dziś nadal, choć przytłoczeni pandemicznym grobowym kamieniem, pamiętamy, że Polska i wolność to wartości nierozdzielne, dla których warto i trzeba żyć.

JAN ŻARYN



HISTORII

29

17 MARCA 1921 r. SEJM USTAWODAWCZY UCHWAŁIŁ KONSTYTUCJĘ RP, ZWANĄ MARCOWĄ. DZIEŃ PÓŹNIEJ POLSKA I ROSJA SOWIECKA PODPISAŁY W RYDZE TRAKTAT POKOJOWY, A 20 MARCA ODBYŁ SIĘ PLEBISCYT NA GÓRNYM ŚLĄSKU – **PRZYPOMINA KRZYSZTOF TARKA**

44

DWIE WAŻNE ROCZNICE: DWUSETNA ZGONU CESARZA FRANCUZÓW ORAZ SETNA POKOJU RYSKIEGO, SYMBOLICZNIE WIĘCZĄCEGO LATA OBRONY PRZYWRÓCONEJ DO ŻYCIA RZECZYPOSPOLITEJ, DAJĄ SOLIDNY ASUMPT, BY NA NOWO PRZEMYŚLEĆ KWESTIĘ „NAPOLEON A POLSKA”... – **ZAUWAŻA DOMINIK SZCZĘSNY KOSTANECKI**

3

GŁOS NACZELNEGO

JAN ŻARYN

W CINIU HOLOKAUSTU

10

W JADRZE CIEMNOŚCI. ŻYDZI POD OKUPACJĄ NIEMIECKĄ

PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

12

POWSTANIA ŚLĄSKIE

BARTOSZ KUŚWIK

18

Z PANTEONU ŚLĄSKIEGO – KONSTANTY WOLNY

KAROL MAKŁES,
ZYGUNT WOŹNICZKA

20

UKRYWANY (DO DZIŚ) AUTOR KONSTYTUCJI 3 MAJA

ZOFIA ZIELIŃSKA

23

OCZAMI LITWINA

ILONA LEWANDOWSKA

26

„NIECH ŻYJE KONSTYTUCJA”

AGNIESZKA
BEJNAR-
-BEJNAROWICZ

29

„W IMIĘ BOGA WSZECHEMÓGĄCEGO! MY, NARÓD POLSKI”

KRZYSZTOF TARKA

WEHIKUŁ CZASU

32

MAJ, CZERWIEC

MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

36

PIERWSZA NOWOCZESNA KONSTYTUCJA W EUROPIE

JACEK KROCHMAL

TAJEMNICE AAN

38

Z ALBUMÓW WILEŃSKIEGO OFICERA II RP

RAFAŁ KIERZKOWSKI

DUSZA KONTUSZA

40

STAROPOLSKA FEMME FATALE?

HENRYK LITWIN

WŁADCZYNI

43

KATARZYNA JAGIELLONKA

MAREK BARAŃSKI

DAWNO TEMU

44

KRÓTKA HISTORIA SPORÓW O SOMOSIERRE

DOMINIK SZCZĘSNY KOSTANECKI

ZDARZYŁO SIĘ

46

TO BYŁ POLSKI BROWAR!

WACŁAW LESZCZYŃSKI

49

PRYMAS TYSIĄCLECIA WOBEC ŚWIĘTYCH POLSKICH

KAROL KALINOWSKI

52

PRZYNIOSŁO PŁON OBFITY

JAROSŁAW WRÓBLEWSKI

eprasa.pl 30bf7f225a

55

„CHITRA LITWINA”. ŚWIADECTWO O KSIĘDZU KARDYNALE HENRYKU GULBINOWICZU

KS. PRAŁAT JÓZEF ROMAN MAJ

58

GENERAŁ FRANCO I JEGO IDEAŁ DEMOKRACJI ORGANICZNEJ

MACIEJ GLOGER

60

ZIMNA WOJNA OCZAMI KUKLIŃSKIEGO

JAN ŁADA

62

„USZY KONSPIRACJI” – WIELKA SIEĆ INFORMACYJNA

MARIUSZ OLCZAK

FELIETONY

61

LĄSZŁÓ, CZYLI WŁADYSŁAW

GRZEGORZ GÓRNY

71

1954 – ROK PRZEWROTU W GWATEMALI

PAWEŁ SKIBIŃSKI

75

DEMIURG

ANTONI DUDEK

75

CICHY BOHATER

RYSZARD CZARNECKI

89

OPOWIEŚCI MIEJSKIE

GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

96

SILVA RERUM

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

IDMN

66

DRAMATYCZNA HISTORIA „OJCA” DYZMY

MARTA CYWIŃSKA

Stali współpracownicy:

Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochowski, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karpowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:

Jarosław Czuby, Jerzy Dąbrowski, [Iza Galicka], Grzegorz Grabski, Adam Hlebowicz, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardela, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymborski, Krzysztof Tarka, Przemysław Waingartner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:

Michał Korsun, michał.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:

Andrzej Skwarczyński (kierownik) andrzej.skwarczyński@fratria.pl, Projekt graficzny: Michał Korsun Fotoedycja: Anna Łabecka, anna.labecka@fratria.pl, Robert Gołaszewski, robert.gołaszewski@fratria.pl, Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:

Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 36 00

www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieci.pl
Wpłać za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godzinach 7⁰⁰-18⁰⁰. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów.
Copyright © Fratria Sp. z o.o.
Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce).
Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.



OKŁADKA: Jakub Szymczuk/FOTO GOŚĆ, Muzeum Narodowe w Warszawie, Zamek Królewski w Warszawie x2, Shutterstock x3, Polona.pl, Archiwum Instytutu Śląskiego w Opolu

62

993/I TO JEDEN Z NAJWIĘKSZYCH REFERATÓW KONTRWYWIADU KG AK. TA PONAD STUOSOBOWA GRUPA INFORMATORÓW DOSTARCZAŁA PODSTAWOWYCH INFORMACJI DLA DOWÓDZTWA KONTRWYWIADU – PISZE MARIUSZ OLCZAK

POLONIA

68 „PROKRAJOWA” DYWERSJA WŚRÓD EMIGRACJI

KRZYSZTOF TARKA



DIABEŁ NIE MÓGŁ

90 ELŻBIETA SIENIAWSKA, HETMANOWA PRACUJĄCA

JOANNA PUCHALSKA



ZIEMIAŃSTWO

72 POLSKA ARYSTOKRATKA I JEJ INDIANSKIE INSPIRACJE

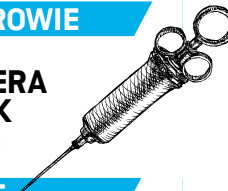
JAROSŁAW KOSSAKOWSKI



SZLACHETNE ZDROWIE

92 DŁUGA KARIERA SZCZEPIONEK

KRZYSZTOF ŻARYN



NARRACJA USPL

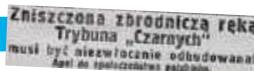
76 ROZDROBNIENIE VERSUS INTEGRACJA

MAREK JAN CHODAKIEWICZ

PRASPORT

78 POŻAR STADIONU WE LWOWIE

MICHAŁ KAWĘCKI



81 KRYPTONIM „ŻUŻEL 88”

GRZEGORZ MAJCHRZAK

PEŁNA KULTURA

82 TROFEA WIELKIEGO ZWYCIĘSTWA

JERZY MIZIOŁEK



82 BLIŹNIACY

MICHAŁ KARPOWICZ

86 W KRĘGU KLIO

RAFAŁ ŁATKA



88 RAFAŁ ŁATKA ROZMAWIA Z ROMANEM GRACZYKIEM

NAC PREZENTUJE

94 SANATORIUM POD RADIACJĄ
KATARZYNA ZIELIŃSKA



CZYM STRZELAĆ

95 POPULARNA „SUCZKA”

KACPER GROCHOCKI



Z FOTOTEKI IPN

98 TRZY WOJNY PANCERNEGO MARSZAŁKA

ARTUR CIEŚLIK



ZE ZBIORÓW MPW

99 PLOMBA Z AKCJI „GÓRAL”

RAFAŁ BRODACKI



Robert Kaczmarek na czele FINA

4 marca, decyzją wicepremiera, ministra kultury, dziedzictwa narodowego i sportu prof. Piotra Glińskiego, pełniącym obowiązki dyrektorem FilMOTEKI Narodowej – Instytutu Audiowizualnego został znany reżyser, scenarzysta i producent filmów poświęconych tematyce historii Polski i świata Robert Kaczmarek. Twórca ukończył Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego oraz Wydział Reżyserii Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Teatralnej i Telewizyjnej w Łodzi. Był prezesem wytwórni filmowych Dr Watkins, Biograf Film oraz Film Open Group. Przez wiele lat tworzył i produko-
wał dziesiątki filmów na temat m.in. żołnierzy wyklętych, II wojny światowej, relacji polsko-żydowskich, Solidarności czy tragedii smoleńskiej. Wśród filmów, których był reżyserem, scenarzystą lub producentem, znalazły się m.in. „Czas Komedy”, „Jedynie prawda jest ciekawa”, „Z wyciągniętymi rękami”, „Errata do biografii”, „TW Bolek”, „Towarzysz Generał”, „Towarzysz Generał idzie na wojnę”, „Marsz wyzwoliciele”, „Defilada zwycięzców”, „Pod prąd”, „Solidarni 2010”, „Testament”, „Dama”, „Krzyż”, „Eugenika w imię postępu”, „Jazz na Kalatówkach”, „Rzeczpospolita. Reaktywacja”, „Tora i Miecz”, „Betar”, „Transformacja” czy „Zobaczyłem zjednoczony naród”. W 2019 r. został uhonorowany doroczną Nagrodą Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w kategorii film. W styczniu 2021 r. objął funkcję przewodniczącego Rady Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej.



Wokół Narodowego Dnia Pamięci Polaków Ratujących Żydów

24 marca obchodziliśmy Narodowy Dzień Pamięci Polaków Ratujących Żydów pod okupacją niemiecką, święto państwowe ustanowione w 2018 r. z inicjatywy prezydenta RP Andrzeja Dudy w rocznicę śmierci rodziny Ulmów, zamordowanej przez niemieckich okupantów za pomoc udzieloną Żydom. Z inicjatywy Muzeum Polaków Ratujących Żydów im. Rodziny Ulmów w Markowej, w ramach tegorocznych obchodów w markowskim kościele św. Doroty została odprawiona msza św. pod przewodnictwem abp. Adama Szala w intencji Polaków ratujących Żydów i beatyfikacji rodziny Ulmów, a następnie odbyły się uroczystości na lokalnym cmentarzu parafialnym oraz ceremonia odsłonięcia tablic z nazwiskami polskich Sprawiedliwych na Ścianie Pamięci w siedzibie muzeum.

Instytut Pileckiego zorganizował natomiast webinarium „Służba i solidarność. Jak polska dyplomacja przeciwdziałała Zagładzie” – z udziałem międzynarodowego grona badaczy i dziennikarzy, m.in. Johna Cornella i Moniki Majewskiej z Instytutu Pileckiego, Kingi Czechowskiej z UMK w Toruniu, prof. Marka Kornata z IH PAN, Mordechaia Paldiela z University and Touro College in New York, Olgi Barbasiewicz z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Eldada Becka z Israel Hayom, Berndta Karwena z Instytutu Polskiego w Berlinie, ambasadora Jakuba Kumocha i szefowej berlińskiej filii Instytutu Pileckiego Hanny Radziejowskiej oraz przedstawicieli rodzin ocalałych. Wydarzenie to zainaugurowało równocześnie obchody Roku Grupy Ładosia, ustanowionego przez Sejm RP w hołdzie polskim dyplomatom ratującym Żydów w okresie II wojny światowej.

24 marca na antenie TVP1 miała także miejsce premiera filmu dokumentalnego „Polmission. Tajemnice paszportów” wyprodukowanego przez Telewizję Polską, Polski Instytut Sztuki Filmowej oraz Instytut Pamięci Narodowej. Obraz w reżyserii Jacka Papisa jest kontynuacją filmu „Paszporty Paragwaju” Roberta Kaczmarka i opowiada o dalszych losach uratowanych Żydów.

Premiera filmu „Polski El Greco”

9 marca w warszawskim Kinie Kultura odbyła się premiera fabularyzowanego filmu dokumentalnego „Polski El Greco” w reżyserii Katarzyny Kowalskiej, wyprodukowanego przez Instytut Pileckiego i Telewizję Polską. Główną bohaterką obrazu jest śp. dr Izabella Galicka, historyk sztuki, która wraz z koleżanką po fachu Hanną Sygietyńską-Kwoczyńską i fotografem Witalisem Wolnym odkryła w 1964 r. na plebanii w Kosowie Lackim obraz „Ekstaza św. Franciszka” autorstwa El Greca. Twórczyni filmu przez cztery lata dokumentowała losy obrazu, nagrywając dziesiątki go-

dzin rozmów z dr Galicką. Jego bohaterka zmarła w trakcie prac nad produkcją 1 listopada 2019 r. w wieku 88 lat. „W tej opowieści o dwóch profesjonalnych badaczkach, historykach sztuki i ich poszukiwaniach przedstawiona jest synteza tego, co najważniejsze w polskiej kulturze, czyli praca, profesjonalizm, pasja, misja, związana także z takim szerszym odniesieniem – odniesieniem do wspólnoty. I w tym wszystkim jest również dobroć, pogoda ducha, miłość drugiego człowieka. Czasy były trudne, ale mimo to dało się zachować podstawowe wartości” – mówił po premierowym pokazie wicepremier, minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu prof. Piotr Gliński.



FOT. FRATRIA, MATERIAŁY PRASOWE



Białystok: Podsumowanie konkursu o Romanie Dmowskim

12 lutego w Białymstoku odbyła się gala rozstrzygająca IX Konkurs Wiedzy Patriotycznej o Romanie Dmowskim. Uroczystości odbyły się w sali konferencyjnej Podlaskiego Urzędu Wojewódzkiego, do której z całej Polski przyjechała nagrodzona młodzież wraz z nauczycielami. Wydarzenie otworzył inicjator konkursu, prezes Fundacji Obowiązek Polski Dariusz Wasilewski, który podkreślił, że to dzięki chęci i aktywności samej młodzieży inicjatywa mogła się odbyć. Podkreślił również znaczenie działań Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im.

Romana Dmowskiego i Ignacego J. Paderewskiego w przypominaniu o wielkich, ale niekiedy zapomnianych bohaterach polskiej historii. Z kolei przewodniczący kapituły konkursowej, wicewojewoda podlaski dr Tomasz Madras podkreślił wysoki poziom prac, których liczba była w tym roku rekordowa. Docenił wysiłek młodzieży, która miała dokonać interpretacji cytatu z „Myśli nowoczesnego Polaka”: „Obowiązki względem ojczyzny to nie tylko obowiązki względem Polaków dzisiejszych, ale także względem pokoleń minionych i tych, co po nas

przyjdą”. Nagrody laureatom wręczyli: wiceminister edukacji i nauki Dariusz Piontkowski, wojewoda podlaski Bohdan Paszkowski, Tomasz Madras i Dariusz Wasilewski. Najwyżej oceniono pracę Kacpra Bieńczy z Ząbkowic Śląskich, drugie miejsce zajęły Beata Olszewska z Łęborka oraz Iwona Łazarów z Legnicy, trzecie natomiast przypadło Szymonowi Szczęsnemu z Krakowa. Oprócz uczniów nagrodzeni zostali nauczyciele szczególnie aktywni w promocji konkursu oraz przygotowujący swoich podopiecznych do udziału w nim. Ostatnim punktem programu był wykład dyrektora IDMN prof. Jana Żaryna poświęcony mniej znanym elementom biografii Romana Dmowskiego. Z organizatorami konkursu współpracują i wspierają projekt także m.in.: metropolita białostocki ks. abp Tadeusz Wojda, Ministerstwo Edukacji i Nauki, Instytut Pamięci Narodowej, marszałek województwa podlaskiego Artur Kosicki, wojewoda podlaski Bohdan Paszkowski, podlaski kurator oświaty, Katolickie Stowarzyszenie Civitas Christiana.

CO BĘDZIE



Ruszył Fundusz Patriotyczny!

Z inicjatywy prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego 25 marca został uruchomiony Fundusz Patriotyczny, którego operatorem jest Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego. Powołanie funduszu poprzedziły kilkumiesięczne przygotowania, które nadzorował wicepremier, minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu prof. Piotr Gliński.

Fundusz Patriotyczny to program od dawna wyczekiwany przez patriotyczne środowiska społeczne, które po 1989 r. nie uzyskały możliwości w pełni swobodnego korzystania na równych prawach ze wsparcia państwa polskiego. Fundusz Patriotyczny funkcjonuje w ramach Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego – państwowej instytucji kultury powołanej w lutym 2020 r., której zadaniem jest ochrona polskiego dziedzictwa Chrześcijańskiej Demokracji i ruchu narodowego. Celem i podstawowym zadaniem programu jest zatem wspieranie wszelkiego rodzaju podmiotów społeczeństwa obywatelskiego: fundacji, stowarzyszeń i innych środowisk pozarządowych, ale także instytucji samorządowych.

Przewiduje się uruchomienie dwóch ścieżek dotacyjnych (Priorytet I i Priorytet II). W ramach programu Priorytet I będzie można się ubiegać o dofinansowanie organizowania projektów kulturalnych, edukacyjnych i naukowych: konferencji, odczytów, koncertów itp. W ramach programu Priorytet II będą finansowane duże przedsięwzięcia inwestycyjne i infrastrukturalne czy szkoleniowe, które mają na celu wzmacnianie instytucjonalne/organizacyjne zaplecza obozu patriotycznego. W sumie budżet Funduszu Patriotycznego wyniesie 30 mln zł. Nabór wniosków do programów Funduszu Patriotycznego będzie trwać do 24 kwietnia włącznie. Szczegółowe informacje dotyczące ogłoszonego konkursu, w tym regulamin, można znaleźć na stronie www.fundusz-patriotyczny.pl lub fp.idmn.pl.

POD PATRONATEM „WSIECI HISTORII”



Saga rodu Witaczków

Książka „Na rodzinnym jedwabnym szlaku” Joanny Prosińskiej-Giersz to – jak pisze jej wydawca – „niezwykle ważny fragment historii i tożsamości nie tylko Milanówka, ale i całej Polski”.

Sto lat temu Stanisława i Henryk Witaczkowie, rodzeństwo 20-latków z Milanówka, odważnie sięgnęło po dar niebios, by rozpocząć produkcję jedwabiu. Pełni entuzjazmu chcieli ratować wyniszczoną wojną ojczyznę, a przy tym dać uboższym rodzinom szansę polepszenia losu. Zaczęli od zera, bez kapitału, ale ze zdobytym wcześniej doświadczeniem. Dzięki sile młodości i pracowitości

ich Stacja Doświadczalna jakością wyrobów dorównała światowym liderom.

W czasach okupacji niemieckiej Stacja zapewniła bezpieczeństwo i opiekę pracownikom, wspomogła i uratowała wielu ludzi, także osoby prześladowane z racji pochodzenia i tych, którzy walczyli z wrogiem. Stanisława i Henryk dopilnowali też, by produkcja nie poszła na cele wojskowe okupanta, do końca utrzymali firmę w polskich rękach.

Po zakończeniu wojny na drodze ich życiowej aktywności stanął nowy ustrój państwa. Choć nie był ich sprzymierzeńcem – zakłady zostały upaństwowione – nadal promowali jedwabnictwo, zarządzali produkcją i edukowali młode pokolenie, by mogło w przyszłości kontynuować ich działalność. Krzewili najważniejsze wartości, choć przestały już obowiązywać. Jednak byli fabrykanci przeszkadzali ówczesnej władzy i w końcu uznano ich za wrogów

Pracownicy Misji Specjalnej (?) w Tyflisie; stoi Henryk Witaczek, druga od prawej Stanisława Witaczkówna, trzeci: gen. Czesław Romiszewski

społeczeństwa, a Henryka Witaczka – w dziedzinie jedwabnictwa jedynego w kraju specjalistę praktyka – na podstawie fałszywych pomówień osadzono w więzieniu i odebrano dobre imię...

Bogato ilustrowana saga rodu Witaczków – tom liczy sobie 422 strony, na których zamieszczono 270 zdjęć – powstała na podstawie badań autorki, zasobów Archiwum Państwowego, dokumentów z prywatnych kolekcji oraz relacji żyjących świadków.

Jednym z patronów medialnych książki jest magazyn „wSieci Historii”.



Joanna Prosińska-Giersz, „Na rodzinnym jedwabnym szlaku. Historia Henryka i Stanisławy Witaczków, rodzeństwa z Milanówka”. Wydawca: Oficyna Wydawnicza Volumn, współwydawca: Fundacja Obchodów 100. Rocznicy Odzyskania przez Polskę Niepodległości, Warszawa 2021

„wSieci Historii”
w Radiu dla Ciebie...

24 kwietnia (sobota) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.



...w Radiu Warszawa...

20 kwietnia (wtorek) o godz. 9.30 Radio Warszawa oraz magazyn „wSieci Historii” zapraszają na wspólną audycję. Gośćmi Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.



...i w Radiu Gdańsk



Prezentacja najnowszego numeru „wSieci Historii” w każdą ostatnią środę miesiąca o godz. 21:05 w audycji dyrektora Muzeum II Wojny Światowej dr. Karola Nawrockiego, pt. „Historia Nieoczywista”.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
WSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
pakiet SIECI i WSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania WSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań WSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

„Przedwojenny niemiecki konkurent Witaczków, firma Gütermann, wykorzystał moment, by się ich pozbyć z rynku. Doniósł niemieckim władzom wojskowym o bezprawnej wyprzedaży tkanin spadochronowych. Oskarżył Witaczka, że zamiast zostawić produkowane w Milanówku tkaniny spadochronowe do dyspozycji niemieckich władz wojskowych, rozdał je ludności cywilnej, by nie trafiły w ręce Niemców. Była to jawna dywersja. Natychmiast wysłano do Berlina raport, sąd wojenny skazał Witaczka zaocznie na karę śmierci, o czym telefonicznie powiadomiono Warszawę”. [Fragment rozdziału „Żółwin – przesiedleni, bezrobotni”]



śp. Jerzy Adam Radomski – historyk i ojciec



2 KWIEŹNIA 2021 r. W WIEKU 83 LAT ZMARŁ W OTWOCKU, OPATRZONY SAKRAMENTAMI ŚWIĘTYMI, JERZY ADAM RADOMSKI, HISTORYK WOJSKOWOŚCI I ENCYKLOPEDYSTA, DŁUGOLETNI PRACOWNIK NAUKOWY, ABSOLWENT UNIwersYTETU Jagiellońskiego, WIELOLETNI REDAKTOR PWN W WARSZAWIE, PRACOWNIK NAUKOWY W WOJSKOWYM INSTYTUCIE HISTORYCZNYM I W WOJSKOWYM BIURZE BADAŃ HISTORYCZNYCH W WARSZAWIE (1968–2003)

W latach 1998–2002 prowadził zajęcia na studiach historycznych w Akademii Obrony Narodowej w Warszawie, a od roku 2007 wykładał na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Był autorem 200 publikacji naukowych, m.in. książek: „Węgierska Górka we wrześniu 1939 roku” (1984), „Demobilizacja Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w latach 1945–1951” (2009), autorem licznych artykułów, w sumie 21 tys. haseł, m.in. w PSB.

Podstawowe zainteresowania badawcze Taty wiązały się z historią Polski, m.in. okres międzywojenny, wrzesień 1939, Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie, Polskie Państwo Podziemne 1939–1945, Polskie Organizacje Niepodległościowe 1944–1956.

Był miłośnikiem wędrówek po Kresach, zgromadził bogaty księgozbiór, z którego był bardzo dumny; nim żył. Jego wielką miłością były książki, które dokładnie katalogował, opisywał. Często powtarzał, że jest wdzięczny swojemu ojcu za to, że kiedy był jeszcze dzieckiem, ojciec czytał mu wieczorami różne opowiadania historyczne. Tę miłość do historii starał się przekazywać także nam, swoim dzieciom i swojej żonie. Mnie zaszczepił miłość do historii, szczególnie historii Polski. Do snu czytał

mnie i bratu „Historię żółtej cizemki”, z zachwytem opowiadał o średniowieczu. Później, gdy dorastałam, wspierał mnie w moich zainteresowaniach powstaniem warszawskim i książkami o Kresach, deportacjach Polaków na Wschód. Zabierał mnie na Powązki, czasami prowadził na wykłady, razem z naszymi przyjaciółmi wyjeżdżaliśmy na różne wyprawy na dawne kresy Polski. Szczególnie ziemia lwowska ze względu na korzenie Taty była mu bardzo bliska. Był niesamowicie chłonny wszelkiej nowej wiedzy, miał fenomenalną pamięć. Mógł na tematy historyczne toczyć długie dysputy. Cieszył się z każdego rozmówcy. Doktorat zrobił stosunkowo późno, ale liczyła się dla niego sama pasja pisania, tworzenia. Ostatnią rozmowę na temat historii przeprowadził z lekarzem, który przyszedł do domu, by go zbadać, cztery dni przed śmiercią. Nogi mogły odmawiać mu posłuszeństwa, ale głowa do końca była sprawna. Jeszcze w ostatniej chwili mówił o tym, że czeka na materiały z IPN, które miały być wykorzystane przy pisanych biogramach.

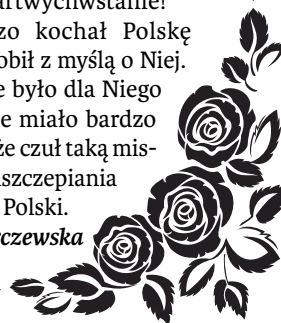
Był człowiekiem bardzo prawym i szczerym, otwartym na innych, serdecznym, o szerokim kresowym gościnności. Dla naszej rodziny bardzo opiekuńczy, zakochany w swojej żonie Wandeczce, z którą przeżył 55 lat. Mama swoje życie podporządkowała

pracy naukowej Taty i ze świętą cierpliwością znosiła ciągle powiększający się w domu księgozbiór, który zajmował większość przestrzeni naszego mieszkania.

Mój Ojciec był też człowiekiem wiary. Zwłaszcza w ostatnim czasie widziałam Go często z różańcem w ręku, szczególnie w czasie Koronki do Miłosierdzia Bożego. I to właśnie Koronka przeprowadziła Go na drugą stronę do Pana. Tata odszedł w Wielkim Tygodniu. Przeszedł świadomie przez prawie całe Triduum Paschalne. Nie mógł chodzić i był słaby, ale modlił się cały czas razem ze mną. W Wielki Piątek, po oglądaniu w telewizorze liturgii wielkopiątkowej, odszedł w otoczeniu bliskich, trzymając w ręku zapalony paschał wielkanocny i trzymając też moją dłoń. Dwójka przyjaciół trzymała gromnicę. Koronka odmawiana przez nas przeprowadzała Go do lepszego świata. Jak powiedział jeden z Jego kolegów historyków: „Teraz pewnie już poznaje wszystkie tajniki historii, które są dla nas jeszcze zakryte”. A teraz już tylko zmartwychwstanie!

Mój Ojciec bardzo kochał Polskę i wszystko, co robił, robił z myślą o Niej. Słowo „Ojczyzna” nie było dla Niego pustym sloganem, ale miało bardzo dużą wartość. Myślę, że czuł taką misję przekazywania i zaszczepiania młodszemu miłości do Polski.

Anna Radomska-Marczewska



W CIENIU HOLOKAUSTU



W JĄDRZE CIEMNOŚCI ŻYDZI POD OKUPACJĄ NIEMIECKĄ



PRZEMYSŁAW
WAINGERTNER

W LATACH II WOJNY ŚWIATOWEJ NIEMCY WYMORDOWALI CO NAJMNIEJ 5,5 MLN ŻYDÓW EUROPEJSKICH, W TYM DO 3 MLN OBYWATELI POLSKICH NARODOWOŚCI ŻYDOWSKIEJ

Przed wybuchem II wojny światowej w Polsce zamieszkiwało ogółem ponad 35 mln osób, w tym blisko 3,5 mln Żydów cieszących się wolnością religijną i polityczną, zorganizowanych w gminach wyznaniowych, dysponujących własnymi partiami politycznymi (reprezentującymi całą gamę poglądów – od ultra-konserwatywnej ortodoksji do skrajnie lewicowego radykalizmu), instytucjami naukowymi, szkołami, teatrami, oficy-nami wydawniczymi i prasą. Zajmowali się oni głównie handlem i rzemiosłem, byli też robotnikami (przede wszystkim w fabrykach prowadzonych przez swych rodaków), wybierali kariery lekarzy prowadzących prywatne praktyki, adwokatów, dziennikarzy czy pracowników naukowych. Prawa Żydów w Polsce – podobnie jak innych mniejszości narodowych – gwarantowały zapisy traktatu o ochronie praw mniejszości narodowych, zwanego również „małym traktatem wersalskim”, konstytucja mar-cowa z 1921 r. oraz ustawy. Nie oznacza to, że relacje pomiędzy mniejszością żydowską i państwem polskim oraz zamieszkującą je polską większością układały się bezkonfliktowo. Występowały wszak w Rzeczypospolitej także postawy antysemickie, skutkujące wezwaniami do zorganizowania emigracji ludności żydowskiej, bojkotu żydowskich sklepów i usług oraz ograniczenia prawa

Żydów do podejmowania studiów na uczelniach. Warto jednak podkreślić, że antysemityzm w Polsce międzywojennej miał charakter ekonomiczny – w Żydach widziano konkurentów w rywalizacji o miejsca pracy i w sferze produkcji (wzmocnianych dodatkowo poczuciem silnej, wewnętrznej narodowej i religijnej solidarności), nie zaś „podludzi”, gorszą rasę, zasługującą na zagładę.

Zapowiedź piekła

Po agresji niemieckiej na Polskę okupant rozpoczął brutalne prześladowania ludności żydowskiej. Już w trakcie kampanii wrześniowej miały miejsce pierwsze pogromy i mordy popełniane na Żydach przez Wehrmacht i SS. Nowe niemieckie władze okupacyjne wydały liczne zarządzenia dyskryminujące żydowskich obywateli podbitej Rzeczypospolitej. Zablokowano ich konta bankowe. Zakazano udzielania im jakiegokolwiek pomocy przez zarządy okupowanych miast. Nakazano bezwzględne zwolnienie żydowskich pracowników, a zarazem wprowadzono dla Żydów przymus pracy na rzecz niemieckiej maszyny administracyjnej i wojennej. Okupanci zarządzili usunięcie adwokatów pochodzenia żydowskiego z palestry, a żydowskim lekarzom zabroniono leczyć „aryjczyków”. Zamknięto (a później barbarzyńsko zniszczono) synagogi. Zakazano Żydom wstępu do bibliotek publicznych,

miejskich parków i na reprezentacyjne ulice miast. Wprowadzono rasową segregację. „Aryjskie” sklepy i kawiarnie otrzymały bezwzględny zakaz obsługi klientów żydowskich. Wszyscy Żydzi musieli nosić białe opaski z niebieską gwiazdą Dawida. Z czasem w polskich okupowanych miastach utworzono zamknięte getta żydowskie. Panujące w nich zagęszczenie ludności, panoszące się choroby zakaźne, brak opieki lekarskiej i leków, ciężka praca oraz wszechobecny głód sprawiły, że getta stały się instrumentem w rasowej polityce III Rzeszy, służącym w istocie stopniowej eksterminacji ludności żydowskiej. Władzę absolutną w gettach sprawowali Niemcy za pośrednictwem rad żydowskich i pozostającej w ich dyspozycji żydowskiej policji.

Ostateczne rozwiązanie

Planowa zagłada ludności żydowskiej rozpoczęła się faktycznie w czerwcu 1941 r. – wraz z atakiem Niemiec na Związek Sowiecki. Wkraczające na okupowane dotychczas przez ZSRS wschodnie ziemie Polski (a następnie w głąb Rosji Sowieckiej) oddziały niemieckie dokonywały masowych mordów na polskich, a później także na ukraińskich i litewskich Żydach. W grudniu 1941 r. Niemcy uruchomili w Chełmnie nad Nerem pierwszy obóz zagłady, mordując przy użyciu spalin ludzi zamykanych



Dwoje Żydów przechodzi przez zasieki odgradzające warszawskie getto, rok 1940

w specjalnie przystosowanych do bestialskiej kaźni pojazdach. Jednak to w styczniu 1942 r. w Wannsee pod Berlinem podczas narady najważniejszych funkcjonariuszy niemieckiego aparatu bezpieczeństwa i policji, wybranych urzędników i wojskowych podjęto formalnie tajną decyzję w sprawie „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”, czyli przeprowadzenia akcji całkowitej zagłady europejskich Żydów. Wybór ziem polskich na miejsce realizacji tego planu wynikał z występowania na tym obszarze najliczniejszej na Starym Kontynencie społeczności żydowskiej (traktującej przedwojenną Rzeczpospolitą jako miejsce bezpieczne dla „narodu wybranego”) oraz jego umieszczenia w samym „jądrze ciemności”, w centrum „Europy Hitlera”. Eksterminację ludności żydowskiej łatwiej było hitlerowcom ukryć przed oczyma świata na okupowanych, otoczonych ziemiami Rzeszy i okupowanym terytorium ZSRS, obszarach dawnej Polski niż w którymkolwiek innym rejonie Europy.

Najpierw zatem rozpoczęto masowy mord Żydów z terenów Generalnego Gubernatorstwa, później – deportowanych, przewożonych specjalnymi kolejowymi transportami z Protektoratu Czech i Moraw, ze Słowacji i Węgier, a także z Bułgarii, Francji i z Holandii. Z Bułgarii do niemieckich obozów zagłady trafiło ponad 10 tys. Żydów. Z ponad 600 tys. Żydów



Kładka nad ul. Chłodną łącząca dwie części warszawskiego getta, luty 1942 r.

zamieszkałych w Rumunii została zgładzona – w tym przede wszystkim w obozach – prawie połowa. Śmierć poniosła w nich także większość spośród 90 tys. Żydów słowackich. Państwo Francuskie Vichy organizowało w latach 1942–1944 transporty „własnych” Żydów do obozów śmierci, gdzie zgładzono ich blisko 80 tys. Na Węgrzech represje wobec ponad 700 tys. tamtejszych Żydów polegały początkowo na wysyłaniu ich do brygad roboczych na front wschodni. Budapeszt konsekwentnie odrzucał postulaty Berlina „przesiedlenia” węgierskich Żydów, czyli w praktyce ich eksterminacji. Po zajęciu Węgier w 1944 r. przez Niemców mieszkujących Żydów deportowano do obozów śmierci, gdzie zginęło ich ok. 400 tys.

Świadectwo

Przywołajmy wstrząsające świadectwo funkcjonowania tej „machiny śmierci”. Jego autorem jest legendarny emisariusz

Polskiego Państwa Podziemnego, Jan Karski, który w przebraniu strażnika dostał się do obozu tranzytowego dla Żydów w Izbicy, stanowiącego ostatni przystanek przed obozem zagłady w Bełżcu. To ryzykowne przedsięwzięcie miało umożliwić mu zebranie informacji dla polskiego rządu w Londynie i aliantów o ludobójczej polityce niemieckiego okupanta. Karski relacjonował: „Wagon towarowy przeznaczony był na 8 koni lub 40 żołnierzy w transporcie. Upychając ludzi na siłę i bez jakiegokolwiek bagażu, można było

pomieścić w wagonie 100 osób. Niemcy wydali rozkaz pakowania po 130, ale jeszcze dopychali dodatkową dziesiątkę. Gdy drzwi nie dały się zamknąć, tłukli na oślep kolbami, strzelali do środka wagonu, wrzeszczeli na nieszczęsnych Żydów. Ci, aby zrobić miejsce dla nowych, wspinali się na ramiona i głowy już znajdujących się wewnątrz. Z głębi wagonu dochodził jakiś potępięczy ryk i wycie. Gdy upchnięto już 140 osób, strażnicy przystąpili do zamykania drzwi. Były ciężkie, miażdżyły wystające

na zewnątrz kończyny wśród wrzasków bólu. Po zasunięciu drzwi zabezpieczano je żelazną sztabą i ryglowano. Przed załadunkiem na podłogę wagonów sypano warstwę niegaszonego wapna. Oficjalnie był to zabieg higieniczny. W praktyce wapno gwałtownie absorbowało wilgoć z powietrza. Spadała zawartość tlenu i ludzie zaczynali się dusić. Niemcy osiągnęli podwójny cel. Choroby zakaźne istotnie się nie rozprzestrzeniały, a wagon można było łatwiej po transporcie wymyć. Po drugiej, transportu tego nie przeżywało wielu. A o to przecież chodziło...”.

W latach II wojny światowej Niemcy wymordowali zaś co najmniej 5,5 mln Żydów europejskich, w tym do 3 mln obywateli polskich narodowości żydowskiej. Córkę i synowie „narodu wybranego” umierali z głodu i chorób w gettach lub w komorach gazowych obozów zagłady w Bełżcu, Chełmnie nad Nerem, Treblince i Sobiborze, a także w Auschwitz-Birkenau.

POWSTANIA ŚLĄSKIE

POLSKA, ODZYSKUJĄC NIEPODLEGŁOŚĆ U KOŃCA WIELKIEJ WOJNY, ZAMYKAŁA SIĘ W GRANICACH POWOŁANEGO PRZEZ NIEMCY ORAZ AUSTRO-WĘGRY 5 LISTOPADA 1916 r. KRÓLESTWA POLSKIEGO I Z GRUBSZA ZACHODNIEJ CZĘŚCI ZIEM ZABORU AUSTRIACKIEGO. BEZ WALKI W SKŁAD RP WESZŁO JESZCZE W 1920 r. PRZYZNANE POLSCE W WERSALU POMORZE GDAŃSKIE, JEDNAK BEZ SAMEGO GDAŃSKA, KTÓRY STAŁ SIĘ WOLNYM MIASTEM POD EGIDĄ LIGI NARODÓW. POZOSTAŁE GRANICE TRZEBA BYŁO WYWALCZYĆ



Powstańcza bateria
artylerii przed
wyruszeniem na front


**BARTOSZ
KUŚWIK**

 dyrektor Instytutu
Śląskiego

POWSTANIE OLESKIE

Podczas obrad w Wersalu wydawało się, że Polska osiągnie sukces dyplomatyczny w sprawie górnos Śląskiej, Komisja ds. Polskich zaproponowała bowiem przyznanie Polsce całego obszaru Śląska zamieszkanego przez ludność etnicznie polską, czyli całego Górnego Śląska (administracyjnie obszar rejencji opolskiej). Jednak ogromna fala protestów w Niemczech oraz sprawna akcja niemieckiej dyplomacji sprawiły, że odstąpiono od tego pomysłu, w zamian za to na Górnym Śląsku miał się odbyć plebiscyt. Jednocześnie Polska Organizacja Wojskowa Górnego Śląska, powstała w styczniu 1919 r. pod dowództwem Alfonsa Zgrzebniołka, rozpoczęła przygotowania do działań zbrojnych mających na celu przyłączenie Śląska do Polski.

Pierwsze zbrojne wystąpienie ludności Górnego Śląska przeciwko Niemcom nastąpiło w nocy z 7 na 8 czerwca 1919 r. w Oleśnie i jego okolicach. Oleską POW GŚI zorganizował Jan Przybyłek już na początku 1919 r., a jej powstanie wiązało się z pobicie księdza Pawła Kuczki podczas polskiego wiecu 15 grudnia 1918 r. Pierwszym zadaniem POW GŚI na tym terenie stało się ochranianie polskich zebrani, wieców i demonstracji. W związku z bliskością granicy Polski, a także wobec zaogniającej się sytuacji pomiędzy Niemcami i Polakami, część mieszkańców postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce, zająć powiat i wezwać na pomoc wojska polskie, które stacjonowały za Prosną i Liswartą. Plan był prosty: jedna grupa miała zniszczyć mosty pod Kluczborkiem, a druga most pod Sowczycami, co miało odciąć możliwość szybkiego ściągnięcia sił niemieckich. Trzecia, po zdobyciu broni w domniemanym składzie uzbrojenia w leśniczówce w Łoszowie, miała – już dobrojona – zaatakować wojsko niemieckie stacjonujące w Wojciechowie. W wyznaczonym czasie stawili się kilkuset nieuzbrojonych powstańców. Zgodnie z planem zaminowano most pod Sowczycami i zerwano łączność telefoniczną z sąsiednimi powiatami. Okazało się jednak, że w zdobytej leśniczówce nie było składu broni, a władze niemieckie zaczęły ściągać do powiatu siły policyjne i wojskowe. Wobec braku broni oraz perspektywy zwycięstwa, a także bezczynności polskich sił zza pobi-


 Most kolejowy
pod Kozłem zniszczony
przez powstańców
3 maja 1921 roku

skiej granicy oddział powstańczy rozwiązano i rozpuszczono do domów. Wojsko i policja przeprowadziły na powstańców obławę, w wyniku której ok. 60 osób zostało aresztowanych. Ostatecznie 17 powstańców było sądzonych za zdradę stanu, jednak wyrok pięciu lat ciężkiego więzienia dla dwóch oskarżonych był najsurowszym orzeczeniem, jakie zapadło. Powstanie doprowadziło do dekonspiracji POW GŚI na tym terenie. Udało się ją zrekonstruować dopiero wiosną 1920 r. Niewyjaśniona pozostaje kwestia udziału polskiej placówki wywiadowczej w Praszce w planowaniu tego wystąpienia.

I POWSTANIE ŚLĄSKIE

Powodów wybuchu powstania było kilka. Najważniejszy to wzrost napięć społecznych spowodowanych poważnym kryzysem gospodarczym w powojennych Niemczech, które na Śląsku w dużej mierze pokryły się z podziałem narodowościowym. Ponadto wzburzenie strony polskiej wywołała rezygnacja z projektu włączenia całego regionu do Polski i deklaracja o przeprowadzeniu na tym terenie plebiscytu. Iskrą, która doprowadziła do wybuchu powstania, była tzw. masakra myśłowicka. 15 sierpnia 1919 r. przed bramą kopalni Mysłowice ok. 3 tys. robotników, często wraz z całymi rodzinami, domagało się ciągle opóźnianych wypłat wynagrodzeń. Gdy zaczęto wpuszczać jedynie niewielkie grupki na teren kopalni po odbiór wypłaty, zniecierpliwiony sytuacją tłum zaczął napierać na bramę. Wtedy wezwany do ochrony kopalni Grenzschutz otworzył ogień do zgromadzonych, w wyniku czego zginęło


 Pociąg pancerny
„Kalina” z dowódcą
Lubicz-Zaleskim
(z opaską na ramieniu)

siedmiu górników, dwie kobiety i 13-letni chłopiec, co było ogromnym szokiem.

Należy wspomnieć, że przygotowania do akcji zbrojnej odbywały się już od kilku dni. Sam moment wybuchu jest jednak dosyć zagadkowy. Wystarczy powiedzieć, że w momencie wybuchu nie było w sztabie POW Górnego Śląska jego dowódcy, a łącznicy kursowali ze sprzecznymi meldunkami. W końcu Maksymilian Iksal, relatywnie nisko stojący w łańcuchu dowodzenia, wysłał do dowódców w Rybniku i Pszczynie rozkaz do wybuchu powstania. Termin ustalono na godzinę 2 w nocy z 16 na 17 sierpnia 1919 r. Mimo że dowódcy początkowo postanowili ten rozkaz zignorować, ostatecznie rozpoczęli działania zbrojne.

Walki toczyły się w rejonie Pszczyny, Rybnika, Tychów i Wodzisławia, a także na wąskim pasie przy granicy obszaru plebiscytowego z Polską. Ostatecznie 24 sierpnia komendant główny powstania, Alfons Zgrzebniołek, widząc, że nie ma szans na zdobycie większej ilości broni, wobec kończącej się amunicji oraz wiedząc, że >>

>> pomoc z Polski nie nadejdzie, zdecydował o zakończeniu powstania i wycofaniu oddziałów na polską stronę. Tym bardziej że okazało się, iż powstańcom przyszło się mierzyć nie tylko z Grenzschutzem, ale też z oddziałami regularnej armii niemieckiej. Niemcy zaś następnego dnia utworzyli kordon, całkowicie zamykając granicę pomiędzy obszarem plebiscytowym a Polską. Sytuację uspokoiło dopiero wydzielenie z prowincji śląskiej osobnej prowincji górnośląskiej ze stolicą w Opolu, w której ludność mówiąca po polsku stanowiła większość, a także amnestia dla powstańców umożliwiającą im powrót do domów. W tym czasie trwała już kampania plebiscytowa.

W styczniu 1920 r. na Górnym Śląsku weszły w życie postanowienia traktatu wersalskiego, a 11 lutego do Opola przybyli francuski generał Henri Le Rond, angielski pułkownik Harold Percival i włoski generał Alberto de Marinis, stanowiąc Międzysojuszniczą Komisję Rządzącą i Plebiscytową na Górnym Śląsku. Komisji przewodniczył Francuz, a Włoch i Brytyjczyk byli jego zastępcami. Jako ciekawostkę można potraktować to, że wśród dyplomatów skierowanych do obserwacji plebiscytu był nuncjusz apostolski w Polsce – Achilles Ratti, późniejszy papież Pius XI. Jednocześnie oddziały niemieckie opuściły obszar plebiscytowy, a w ich miejsce pojawiły się wojska Ententy, przede wszystkim francuskie, ale też włoskie i brytyjskie. Jednak alianci postanowili utrzymać na tym terenie niemiecką policję bezpieczeństwa.

II POWSTANIE ŚLĄSKIE

25 kwietnia 1920 r. przez Opole przeszedł polski marsz, na którym protestowano przeciwko antypolskiej działalności niemieckiej policji bezpieczeństwa (Sicherheitspolizei). Na ironię zakrawa, że ową demonstrację brutalnie rozpędziła ta właśnie policja. Gdy kilka dni później w związku z tymi wydarzeniami do Opola przybył Wojciech Korfanty, bojówki niemieckie zaatakowały konsulat RP i drukarnie polskich gazet. Tym razem policja nie interweniowała, a zamieszki stłumili francuscy żołnierze. 3 maja w kilku miejscach Niemcy rozbili patriotyczne wiece polskie przy bierności, a nawet pomocy policji. Jednocześnie rozpoczął się strajk szkolny polskiej młodzieży. Na tym tle doszło do kolejnych ataków bojówek niemieckich, któ-

W odpowiedzi na te wydarzenia Korfanty wezwał do powstania. Rozpoczęło się ono w nocy z 19 na 20 sierpnia 1920 r., równoległe ze strajkiem generalnym. Dowództwo nad powstańcami objął ponownie Alfons Zgrzebnik. Była to szybka i bardzo skuteczna akcja. Polacy opanowali cały teren okręgu przemysłowego, neutralizując wojska alianckie w otaczanych, lecz nie atakowanych enklawach miejskich. Głównym celem politycznym powstania była likwidacja policji niemieckiej na obszarze plebiscytu. Pierwszego dnia powstania miało miejsce wydarzenie, które obito się szerokim echem. Powstańcy spalili część zabudowań niemieckiej wsi Anhalt (Hołdunów) zamieszkaną przez kolonistów kalwińskich. Według części historyków Polacy niszczyli bezbronną wieś w odwecie za ofiary z Katowic. (Jan Ludyga-Laskowski twierdzi, że doszło tam do potyczki, po której spalono wieś). Korfanty zadziałał szybko, ofiarowując osadnikom odszkodowania za poniesione straty. Utrata przez Niemców terenów przemysłowych zmusiła ich do podjęcia rozmów za pośrednictwem aliantów. W ich efekcie dotychczasowa policja została zastąpiona mieszaną narodowo, tzw. policją plebiscytową (Abstimmungspolizei). Polacy zgodzili się zaś na rozwiązanie Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska. Po zaledwie sześciu dniach walce strona polska osiągnęła wszystkie swoje cele, a Korfanty 25 sierpnia zakończył powstanie.

W niedzielę 20 marca 1921 r. po bardzo intensywnej kampanii doszło do plebiscytu. Wzięło w nim udział 1 190 637 osób (98,8 proc. uprawnionych), z czego 191 308 osób (19,3 proc.) to osoby urodzone na obszarze plebiscytowym, ale już tu niemieszkające, tzw. emigranci. Większość z nich oddała głosy na Niemcy (ok. 182 tys. osób). Za Polską głosowało 479 365 uprawnionych (40,4 proc.), a za Niemcami – 707 393 (59,6 proc.). Niemiecką stronę popierał głównie zachód obszaru i miasta okręgu przemysłowego, za to stronę polską – wsie na wschodzie.

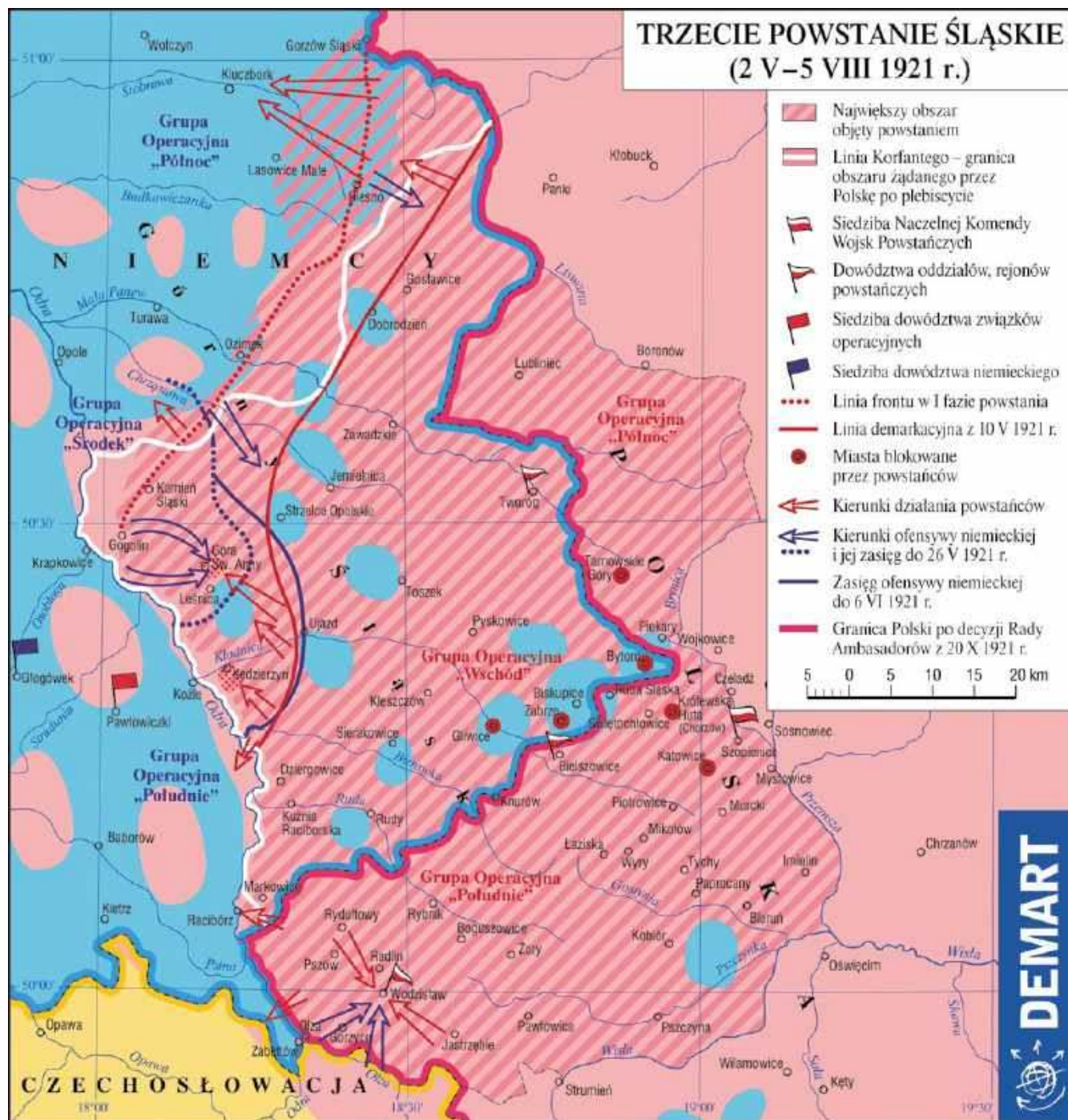
Nieoficjalne wyniki podane 22 marca spowodowały wybuch radości wśród Niemców i demonstrację w Opolu, gdzie żądano jak najszybszego powrotu administracji niemieckiej na Górny Śląsk. Doszło do rozruchów zwłaszcza pod polskimi instytucjami. Do eskalacji nie dopuściły interweniujące oddziały francuskie. Alianci jednak nie kwapili się z podejmowaniem decyzji. W trakcie rozmów w łonie Komisji Międzysojuszniczej przyjęto założenie, że powiaty Kluczbork, Olesno, Opole, Koźle,



Przywódcy powstańcy. Od lewej: Wincent Renka z Wielkich Piekar, Stanisław Mastalerz z Gliwic, Ryszard Mańka z Mysłowic, Jan Przybyłek z Wielkich Piekar

rych efektem był m.in. napad w nocy z 27 na 28 maja na polski komisariat plebiscytowy w Bytomiu, a także na inne jego placówki. W lipcu wybuchł strajk niemieckich socjalistów mający wspierać Armię Czerwoną. Gdy 17 sierpnia prasa niemiecka podała fałszywą informację o zdobyciu Warszawy przez bolszewików, niemiecka demonstracja radości przekształciła się w atak na siedzibę wojsk francuskich w Katowicach. Francuzi ostrzelali napastników, zabijając dziesięciu z nich. Gdy do rannych pośpieszył z pomocą polski lekarz Andrzej Mielecki, został rozpoznany jako działacz polski i skatowany przez niemieckich bojówkarzy na ulicy. Ambulans wiozący pobitego do szpitala został zatrzymany, a doktora Mieleckiego zamordowano.

skiego, a 11 lutego do Opola przybyli francuski generał Henri Le Rond, angielski pułkownik Harold Percival i włoski generał Alberto de Marinis, stanowiąc Międzysojuszniczą Komisję Rządzącą i Plebiscytową na Górnym Śląsku. Komisji przewodniczył Francuz, a Włoch i Brytyjczyk byli jego zastępcami. Jako ciekawostkę można potraktować to, że wśród dyplomatów skierowanych do obserwacji plebiscytu był nuncjusz apostolski w Polsce – Achilles Ratti, późniejszy papież Pius XI. Jednocześnie oddziały niemieckie opuściły obszar plebiscytowy, a w ich miejsce pojawiły się wojska Ententy, przede wszystkim francuskie, ale też włoskie i brytyjskie. Jednak alianci postanowili utrzymać na tym terenie niemiecką policję bezpieczeństwa.



Głubczyce i Racibórz opowiedziały się bezsprzecznie za Niemcami, a powiaty Pszczyna i Rybnik za Polską. Pozostałe zaś są trudne do stanowczego określenia. Przedstawiciele Włoch i Wielkiej Brytanii w związku z ogólnym wynikiem plebiscytu optowali za przyznaniem tych terenów Niemcom – w tej sytuacji Polska otrzymałaby jedynie 25 proc. powierzchni, 21 proc. ludności i 20 kopalń węgla kamiennego. Le Rond pod wpływem polskim i ze

względem na rozmieszczenie ludności głoszącej za Polską optował, aby wyznaczyć granicę na linii zaproponowanej przez Korfanteo, czyli tam, gdzie większość gmin głosowała za Polską. Przy takim wytyczeniu granicy Polsce przypadłoby 60 proc. powierzchni i 70 proc. ludności obszaru.

Obawa, że alianci zdecydują się na uznanie propozycji brytyjsko-włoskiej za ostateczną, spowodowała wybuch III powstania śląskiego.

III POWSTANIE ŚLĄSKIE

Celem powstańców, nad którymi dowództwo objął doświadczony już w akcjach powstańczych Wielkopolański pułkownik Maciej Mielżyński, było opanowanie terenu po linię Korfanteo i postawienie sprzymierzonych przed faktem dokonany, wzorem powstania wielkopolskiego. Korfanty został dyktatorem zrywu.

Likwidacja III powstania
(pierwszy z lewej Jan
Ludyga-Laskowski)



FOT. ARCHIWUM INSTYTUTU ŚLĄSKIEGO W OPOLE, SHUTTERSTOCK

» Powstanie rozpoczęło się przed północą 2 maja 1921 r. akcją dywersyjną o kryptonimie Mosty. 64-osobowy oddział podzielony na kilka grup oraz wsparty miejscowymi siłami konspiracyjnymi, o których składzie i liczebności niewiele jesteśmy dziś w stanie powiedzieć, zniszczył komunikację kolejową pomiędzy Wrocławiem, Nysą a Opolem i okręgiem przemysłowym. Oddziałem tym, który może zostać uznany za pierwszy nowoczesny polski oddział wojsk specjalnych, dowodził kapitan Wojska Polskiego Tadeusz Puszczyński ps. Konrad Wawelberg, a jego zastępcą i pierwszym dowódcą oddziału (przez dwa miesiące przed objęciem dowództwa przez Puszczyńskiego) był por. Stanisław Baczyński ps. Büttner, ojciec poety Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Akcja zakończyła się całkowitym sukcesem. Udało się zerwać komunikację kolejową na wszystkich zakładanych kierunkach.

Celem Polaków w powstaniu było opowanie terenu plebiscytowego do linii Korfanteo, jednocześnie proklamowano strajk generalny polskich robotników. Kilka godzin po zerwaniu komunikacji z Niemcami Polacy bardzo szybko opawali okręg przemysłowy, jednocześnie cernując, czyli odseparowując, od zaplecza Selbstschutz i aliantów w miastach. W pierwszej fazie zrywu do 10 maja powstańcy osiągnęli zakładaną linię. Przez następne 10 dni dochodzi do niewielkich starć i ostrzału przez patrole.

Góra św. Anny, gdzie nastąpiło uderzenie niemieckie, miała kluczowe znaczenie strategiczne, a jednocześnie mieszczące

PIERWSZE ZBROJNE WYSTĄPIENIE LUDNOŚCI GÓRNEGO ŚLĄSKA PRZECIWKO NIEMCOM NASTĄPIŁO W NOCY Z 7 NA 8 CZERWCA 1919 r. W OLEŚNIE I JEGO OKOLICACH

się tu sanktuarium w klasztorze oo. franciszkanów było centrum śląskiego katolicyzmu. Rejon ten powstańcy zajęli 4 maja. Ofensywa niemiecka ruszyła 21 maja. Korzystając z przewagi, bawarski Freikorps „Oberand” i wspierający go miejscowy Selbstschutz wyparli Polaków z góry św. Anny, nie osiągając jednak zakładanego rozerwania polskiego frontu. To spowodowało, że przez kolejne dni u stóp góry toczyły się krwawe walki, a niektóre wsie kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk. Brak rozstrzygnięcia w tym miejscu uniemożliwiał oddziałom niemieckim kolejny etap, jakim było przeniesienie walk do okręgu przemysłowego. Oddziały powstańcze zatrzymały również próbę przełamania frontu pod Wodzisławiem w cza-

sie bitwy olzańskiej. W końcu 26 maja podjęto kolejne rozmowy rozejmowe.

Część oficerów po obu stronach dążyła do ostatecznego rozstrzygnięcia militarnego, dlatego Korfanty odsunął Mielżyńskiego od dowodzenia, a nawet musiał się zmierzyć z groźbą otwartego buntu (wśród buntowników był późniejszy wojewoda śląski Michał Grażyński). Niemcy podjęli jeszcze próbę dokonania wyłomu w polskiej obronie, by zająć Kędzierzyn, jednak wobec braku powodzenia natarcia pomiędzy 4 a 11 czerwca 1921 r. rozpoczęło rokowania. Ostatnia bitwa powstania rozegrała się w Zębowicach. Miejscowość była zdobywana i odbijana kilkakrotnie, jednak po ogromnych stratach z obu stron pozostała w polskich rękach.

Powstanie zakończył rozejm podpisany 26 czerwca 1921 r., który zakładał wycofanie obu walczących stron do 5 lipca. W zrywie życie straciło ok. 1,8 tys. powstańców (niektórzy historycy podają 2 tys., a nawet 2,7 tys. poległych). Po niemieckiej stronie było pomiędzy 700 a 1 tys. poległych i ok. 1,5 tys. rannych.

Największy stan osobowy wojska powstańcze osiągnęły w maju 1921 r. i było to ok. 63 tys. żołnierzy. Niemal 90 proc. stanowili rodowici Ślązacy. Spośród polskich ochotników wspierających powstanie rekrutowała się większość kadry oficerskiej, której na Śląsku brakowało. Dobry stan uzbrojenia w III powstaniu śląskim był możliwy dzięki przerzutowi broni i amunicji z magazynów wojskowych po polskiej stronie granicy.

20 października 1921 r. Rada Ambasadorów Ligi Narodów podjęła decyzję o rozdzieleniu obszaru plebiscytowego w taki sposób, że po stronie polskiej pozostało 3214 km², czyli 29 proc. powierzchni, i ok. 1 mln mieszkańców, czyli 46 proc. spośród mieszkańców terenu, na którym odbył się plebiscyt. Polsce przypadło 53 spośród 67 kopalń węgla kamiennego, a także wszystkie kopalnie rud żelaza, ⅔ rud cynku i ołowiu oraz większość przemysłu hutniczego. Na tych terenach zostało utworzone autonomiczne województwo śląskie, a 15 maja 1922 r. została podpisana polsko-niemiecka konwencja górnośląska regulująca dwustronne stosunki gwarantujące prawa mniejszości narodowych na tym obszarze. W czerwcu i lipcu 1921 r. wojska alianckie ostatecznie opuściły Górną Śląsk, za to na jego teren z jednej strony powróciły wojska niemieckie, a z drugiej strony wkroczyły wojska polskie.

WYDAWNICTWO IPN

HISTORIA
PAMIĘĆ
TOŻSAMOŚĆ



Monografie



Biografie



Dokumenty



Słowniki



Wspomnienia



Albumy



Zostań w domu i kup na

ipn.poczytaj.pl



**ZYGMUNT
WOŹNICZKA**



**KAROL
MAKLES**

Instytut Myśli Polskiej
im. Wojciecha Korfanteo w Katowicach

Tak jak Korfanty pochodził on ze starej śląskiej rodziny robotniczej. Urodził się 5 kwietnia 1877 r. w Bujakowie (powiat zaborski) w rodzinie ubo-
giego kowala. Kiedy w 1880 r. umarła mu matka, a ojciec wyjechał do Zawodzia koło Katowic, gdzie otrzymał prace w Hucie Baildon, Konstancy trafił na wychowywanie krewnych. Około 1884 r. rozpoczął naukę w Katolickiej Szkole Ludowej w Bujakowie. Potem przeniósł się do ojca do Zawodzia. W Katowicach w Gimnazjum Królewskim (obecnie mieści się tam LO im. Marii Skłodowskiej-Curie) poznał starszego od siebie Wojciecha Korfanteo. Wspólnie założyli tajne kółko gimnazjalistów polskich. Liczyło ono siedem osób i jego głównym celem było uświadamianie kolegów o ich polskim pochodzeniu. Urządzano także wycieczki do Krakowa i Lwowa.

Student

W 1898 r. Wolny złożył egzamin dojrzałości i wyjechał na studia do Wrocławia. Początkowo uczęszczał na medycynę, ale potem przeniósł się na prawo. Jednocześnie wstąpił do Towarzystwa Akademików Górnośląskich (TAG), które zajmowało się pielęgnowaniem kultury polskiej wśród studentów. W grudniu 1898 r. – razem z Korfantym – reprezentował młodzież akademicką Wrocławia na uroczystościach odsłonięcia pomnika Adama Mickiewicza w Warszawie. Studenci górnośląscy budzili duże zainteresowanie. Przyjmowano ich w domach warszawskich działaczy Ligi Narodowej. Po rozwiązaniu TAG przez władze pruskie jego członkowie kontynuowali działalność w tajnym Związku Młodzieży Polskiej „Zet”.

Adwokat

Konstancy Wolny skończył studia złożeniem 18 grudnia 1901 r. egzaminu refendariuszowskiego. 14 maja 1907 r. zdał „Wielki Egzamin Państwowy” w Ministerstwie Sprawiedliwości w Berlinie i zakończył



Z PANTEONU ŚLĄSKIEGO

KONSTANTY WOLNY

**NA GÓRNYM ŚLĄSKU NA POCZĄTKU XX w.
W WYNIKU ODRODZENIA NARODOWEGO WIELU
MŁODYCH ŚLĄZAKÓW ZACZEŁO ODGRYWAĆ
WAŻNĄ ROLĘ W ŻYCIU POLITYCZNYM,
SPOŁECZNYM I KULTURALNYM REGIONU. TAKIM BYŁ
NIEWĄTPLIWIE WOJCIECH KORFANTY, ALE I JEGO
WIELOLETNI PRZYJACIEL KONSTANTY WOLNY**

aplikanturę. Osiadł w Gliwicach, gdzie został pierwszym polskim adwokatem. Wolny był członkiem Rady Nadzorczej Stronnictwa Polskiego mającego charakter narodowy polski i katolicki. W sierpniu 1914 r., gdy wybuchła I wojna światowa, został aresztowany – podobnie jak wielu polskich działaczy na Górnym Śląsku. Dzięki interwencji posłów polskich w Berlinie został zwolniony. W 1917 r. powołany do wojska pruskiego, pełnił służbę w Janowie Podlaskim. Po zakończeniu wojny

tzew. białej księgi zawierającej dokumenty o zbrojeniach niemieckich, produkcji broni i organizacjach wojskowych na Śląsku oraz o całej działalności niemieckiej skierowanej przeciwko Polsce. Praca została wydrukowana w Paryżu i wręczona przedstawicielom państw koalicji na konferencji w Spa.

W połowie maja 1920 r. Korfanty utworzył przy Wydziale Prawnym Komisję Samorządową z Konstantym Wolnym jako przewodniczącym. Miała ona opracować statut organiczny przyszłego wojewódz-

Sejmu Śląskiego, a potem został wybrany na jego marszałka. Był aktywnym działaczem śląskiej Chadejki. Po roku 1926, mimo zaangażowania w walkę z sanacją, cieszył się poparciem posłów i w 1930 r. został wybrany ponownie na marszałka Sejmu Śląskiego. Po rozwiązaniu Sejmu przez prezydenta Ignacego Mościckiego w tym samym roku, kandydował po raz kolejny. Na pierwszym posiedzeniu w dniu 8 grudnia 1930 r. głosowało na niego 45 na 47 obecnych posłów. Funkcję marszałka pełnił do 1935 r.

Będąc marszałkiem, Wolny był aktywny społecznie, np. jako honorowy członek Komitetu Obchodów Dziesięciolecia Pierwszego Powstania Śląskiego oraz członek honorowy Prezydium Pierwszego Walnego Zjazdu Harcerstwa Śląskiego. Obok Michała Grażyńskiego i prof. Stanisława Kutrzeby był członkiem Kuratorium Instytutu Śląskiego. W 1931 r., po powstaniu Komitetu Niesienia Pomocy Bezrobotnym, został jego współprzewodniczącym wraz z bp. Stanisławem Adamskim. Patronował też imprezom sportowym. Jego wielką pasją były samochody. Podczas urlopów uwielbiał automobilowe wycieczki i mimo że nie posiadał własnego pojazdu, to w latach 1935–1939 (już nie będąc marszałkiem) pełnił funkcję prezesa Automobilklubu Śląskiego.



Przemówienie marszałka Sejmu Śląskiego, Konstantego Wolnego, w 1931 roku, w 10-lecie plebiscytu śląskiego

Wolny wrócił na Górny Śląsk i włączył się w działalność polskiego ruchu narodowego, wchodząc w skład Rady Ludowej w Bytomiu, potem został zastępcą przewodniczącego Podkomisariatu Naczelnej Rady Ludowej dla Górnego Śląska.

O polskość Śląska

Na mocy decyzji wielkich mocarstw na Górnym Śląsku przygotowywano plebiscyt, który miał zadecydować o przynależności państwowej tego terytorium. W lutym 1920 r. w Opolu zainstalowała się Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa, której zadaniem było czuwać nad prawidłowym przebiegiem tego wydarzenia. W Bytomiu w hotelu Lomnitz działał Polski Komisariat Plebiscytowy – oficjalny organ rządu polskiego. Komisarzem plebiscytowym został Korfanty, a pierwszym wicekomisarzem Wolny – jako reprezentant Chrześcijańskiego Zjednoczenia Ludowego. Ponadto Wolny zaangażował się w kierowanie Wydziałem Prawnym Komisariatu. Razem z Korfantym i dr. Janem Górskim uczestniczył w redagowaniu

twu śląskiego. Z ramienia rządu polskiego w pracach uczestniczył prof. Jerzy Buzek. Komisja przedstawiła projekt autonomii Sejmowi RP, który przyjął ją 15 lipca 1920 r., uchwalając Ustawę Konstytucyjną. Zawierała ona statut organiczny województwa śląskiego – ważny atut w propagandzie plebiscytowej. Był on bowiem odpowiedzią na uchwaloną w marcu 1920 r. przez pruski Landtag obietnicę usytuowania prawnego Górnego Śląska w państwie niemieckim.

Wolny przebywał blisko Korfante i ostatecznie przekonał go do rozpoczęcia III powstania śląskiego. Tak to opisuje ppłk Maciej Mielżyński: „Zażądałem od Korfante go podpisania rozkazu rozpoczęcia powstania 3 maja o 2 rano. Korfanty wahał się [...], poczem Wolny odezwał się do Korfante go »Wojtek: Kiedy powiedziałeś a, to powiedz i b – nie ma co się wahać«. Poczem Korfanty podpisał rozkaz rozpoczęcia powstania”.

Marszałek

Po powrocie części Górnego Śląska do Polski Wolny w imieniu komisji regulaminowej przedstawił projekt regulaminu

We Lwowie

Po wybuchu wojny razem z rodziną ewakuował się do Lwowa. W Katowicach bowiem groziła mu śmierć z ręki Niemców, gdyż był wpisany na tzw. listę gończą. We Lwowie współorganizował Śląski Komitet Uchodźców, który niósł pomoc ofiarom wojny. W 1940 r. na skutek pogłębiających się trudności materialnych, sztykan ze strony władz oraz depresji, na jaką zapadł po upadku Francji, ciężko zachorował na serce. Leczył się w szpitalu ubezpieczalni społecznej pod opieką dr. Henryka Jarczyka (byłego działacza plebiscytowego i krewnego). Konstanty Wolny zmarł 9 listopada 1940 r. Został pochowany na lwowskim cmentarzu w grobowcu jezuitów. Parę lat temu jego szczątki sprowadzono do Katowic i uroczystie pochowano na cmentarzu przy ul. Francuskiej.

Więcej o opisywanej postaci czytaj w: *Jadwiga Lipońska-Sajdak, „Konstanty Wolny Marszałek Sejmu Śląskiego”, Katowice 1998*

UKRYWANY (DO DZIŚ) AUTOR KONSTYTUCJI 3 MAJA

W TOKU ROZGRYWEK
SEJMOWYCH
STANISŁAW AUGUST
UKRYŁ TAKTYCZNIE
SWOJE AUTORSTWO
KONSTYTUCJI. TEN
MANEWR DLA DORAŻNEGO
SUKCESU MIAŁ TRWAŁE
KONSEKWENCJE
W PRZEKAZIE DLA
POTOMNYCH



Na rozpoczętym 6 października 1788 r. sejmie, z czasem zwanym Czteroletnim lub Wielkim, już po kilku tygodniach zwyciężyła orientacja pruska. Przewodził jej marszałek nadworny litewski Ignacy Potocki. Społeczeństwo miało dość „hańbiących obcej przemocy nakałów”, upokarzania króla przez rosyjskiego ambasadora, nieustannego buszowania na Kresach Wschodnich rosyjskich korpusów uwożących poddanych i dobytek. Elita zdawała sobie sprawę z palącej potrzeby reform, do których Petersburg nie dopuszczał. Nadzieje na wzmocnienie Rzeczypospolitej i oswobodzenie z jarzma imperium wiązano z jednej strony z kłopotami Rosji w toczzonej od 1787 r. wojnie z Turcją, z drugiej liczone na pomoc „przyjaciela ludzkości” – taką bowiem opinią cieszył się Fryderyk Wilhelm II, następca Fryderyka Wielkiego. Stanisław August, rzecznik orientacji na Rosję, nie tylko stracił większość w sejmie, ale stał się obiektem niewybrednych ataków. W styczniu 1789 r. obalono Radę Nieustającą. Uderzono w nią jako w twór narzucony przez Rosję, a zarazem narzędzie władzy króla.

Pruskie miraż

Wydawałoby się, że obalenie Rady – centralnego, obok monarchy, organu władzy wykonawczej – zaowocuje pracami nad wyłonieniem jej następcy i nad nowym ustrojem. Nic podobnego. Większość przywódców orientacji pruskiej hołdowała republikańskiemu – była przekonana, iż Rzeczpospolita jest skazana na zmagania inter majestatem ac libertatem – między władzą, dążącym z natury rzeczy do absolutyzmu, a szlacheckim narodem uosabiającym wolność i broniącym jej. Państwo nie powinno zatem mieć silnej egzekutywy, bo ta zawsze zagraża wolności. Najwybitniejszy publicysta epoki, eks-reformator Akademii Krakowskiej, ksiądz Hugo Kołłątaj zapowiadał, że „Sejm trwały będzie u mnie monarchą, będzie prawa stanowił, będzie wszystkim magistraturom i obywatelom rozkazywał, będzie sam swych rozkazów doglądał”. I rzeczywiście – po usunięciu Rady Nieustającej sejm przejął także funkcje centralnej władzy wykonawczej („sejm rządzący”). We wrześniu 1789 r. powstała wprawdzie Deputacja do Formy Rządu, mająca przygotować całościowy projekt ustroju, jednak jej prace szły żółtym tempem. Wcześniej docze-



**ZOFIA
ZIEŁŃSKA**

kano się zgody Fryderyka Wilhelma II na długo przez Prusy odraczane przymierze z Rzeczpospolitą.

29 marca 1790 r. sejm, wciąż przedłużający swe trwanie, jednogłośnie zaaprobował sojusz z Berlinem. Stanisław August, choć aliansowi był przeciwny, podpisał go. Uważał, że miejsce króla jest przy narodzie, nawet gdy naród ten błądzi. W trakcie rokowań o przymierze wyszły na jaw pruskie apetyty na Gdańsk i Toruń – w dążeniach zaborczych „przyjaciela ludzkości” niczym się nie różnił od swego poprzednika. Sojusz polsko-pruski wkrótce stracił planowany cel – wspólną wojnę z Austrią; w końcu lipca 1790 r. cesarz Leopold II podjął z Prusami rokowania i zdołał wojnie zapobiec, Polacy zostali zaś upokorzeni niedopuszczeniem do stołu negocjacji. Wszystko to wywołało w Warszawie ogromne rozczarowanie do Fryderyka Wilhelma II.

Nie pozostało ono bez wpływu na sytuację w sejmie. Prestiż Ignacego Potockiego, uosabiającego orientację pruską, doznał znacznego uszczerbku. Z kolei Stanisław August odzyskiwał autorytet. Okazało się, że jego ostrzeżenia przed złą wolą Prus nie były fantasmagorią; podpis pod aliansem pruskim dowodził, że król trzyma z narodem, nie z Rosją. Dostrzegano również, że mimo szykan, jakich doznawał w sejmie, wspierał forsowane przez swych oponentów reformy, jeśli były korzystne dla państwa.

Projekt Potockiego

2 sierpnia 1790 r. Ignacy Potocki wniósł wreszcie do izby zarys nowej konstytucji swego autorstwa. Ów kolubrynowy „Projekt do formy rządu” (658 artykułów) miał nastawienie skrajnie republikańskie. Rząd, nazwany Strażą Praw, przekazywał ministerstwu nie rozkazy, a tylko sugestie, był więc bezsilny. Króla pozbawiano prawa nominacji urzędników, w tym senatorów. „Naród” miał wedle „Projektu do formy rządu” dominować do tego stopnia, że osłabiono poważnie także sejm: ustawy chciano tworzyć z sumy dezyderatów, zawartych w instrukcjach poselskich. W ten sposób rzeczywistym ustawodawcą sta-

wałyby się sejmiki – wymarzony hegemon republikański, a wedle zgryźliwego komentarza Stanisława Augusta „wielolichność ciemnych (...) a często i pijanych”. Król był bowiem przekonany monarchistą; zdawał sobie sprawę, iż Polska potrzebuje silnej władzy wykonawczej, z monarchą posiadającym szerokie kompetencje.

O odradzającym się w parlamencie autorytecie władcy świadczyła zapadła 13 września 1790 r. (podczas dyskusji nad „Projektem do formy rządu”) uchwała o przywróceniu mu prerogatywy nominacji na godności senatorskie. W świetle mowy, która o tej decyzji przesądziła (wygłosił ją poseł i zarazem sekretarz Gabinetu królewskiego, Pius Kiciński), Stanisław August został uznany za opokę prawdziwej demokracji: jego sojusz z posesjonatami szlacheckimi, z których budował stronnictwo regalistyczne, stanowił gwarancję, że magnaci trwale stracą swą wszechmoc. Przyjęcie tych argumentów przez izbę dowodziło, że kruszał wielowiekowy przesąd o dążącym do absolutyzmu monarsze i magnatach ministrach, najskuteczniej jakoby czuwających nad wolnością.

Fiasco „sejmikokracji”

Na sesjach sejmowych także inne propozycje „Projektu do formy rządu” nie wzbudzały entuzjazmu. Co gorsza, marszałek Potocki i jego obóz nie byli w stanie przeforsować czołowego postulatu „Projektu” – dziedziczności tronu. I to mimo że w toczącej się przez cały rok 1790 batalii publicystycznej zwolennicy korony sukcesyjnej wyraźnie górowali. Konserwatywna opozycja spod znaku hetm. Ksawerego Branickiego, bp. Józefa Kossakowskiego i Szczęsnego Potockiego (od dawna przebywającego za granicą), choć pozostawała w sejmie w znacznej mniejszości, tak skutecznie kontestowała sukcesję tronu, że zgodzono się jedynie na uchwałę o wyborze elektora saskiego, Fryderyka Augusta, na następcę Stanisława Augusta za życia króla. Przegłosować powinny to sejmiki poselskie, wybierające 16 listopada 1790 r. drugi komplet posłów. Sejm w podwójnym składzie miał dokończyć dzieła reformy państwa.

Sejmiki listopadowe zaakceptowały uchwałę o elekcji Sasa vivente rege, ale instrukcje dla nowych posłów tchnęły konserwatyzmem. Atakowano Komisję Edukacji Narodowej, na Kościół i starostwa chciano przerzucić Iwłą część >>

» kosztów aukcji wojska, piętnowano propozycję polepszenia losu mieszczań i chłopów. Gremia szlacheckie na prowincji, które wedle Ignacego Potockiego miały mieć decydujący wpływ na państwo, pozostały mocno w tyle za rozumiejącą potrzebę reform sejmującą Warszawą. Czyniąc te niewesołe konstatacje, Potocki musiał odnotować także inną porażkę: wybory przyniosły zwycięstwo królowi, który w podwojonym sejmie odzyskał większość.

Marszałek litewski, magnat, często dający w kontaktach odczuć swą „pańską” w tym wypadku zachował się chlubiście: 4 grudnia 1790 r. pojawił się na zamku i poprosił króla o napisanie nowej konstytucji. Oznaczało to rezygnację z dalszego forsowania „Projektu do formy rządu”, który definitywnie wyładował w koszu.

Projekt królewski

Stanisław August wyzwanie podjął i po kolejnych rozmowach z Potockim, upewniony o aktualności propozycji, rozpoczął pracę. Około 10 stycznia istniał już brulionowy zarys konstytucji, datę 20 stycznia 1791 r. ma jego czystopis. Dokument napisany został w języku francuskim ręką sekretarza króla, Włocha Scipione Piattolo, który pośredniczył między władcą i Potockim. Nad tekstem króla rozpoczęły się dyskusje – najtajniejsze z tajnych. Korekty Potockiego zmierzały do republikańskiej wersji projektu Stanisława Augusta, zdecydowanie monarchicznego. Ów monarchizm przejawiał się zwłaszcza w żądaniu realnej władzy rządu nad ministerstwami, prerogatywy nominacji senatorów, wzmocnienia pozycji senatu w stosunku do izby poselskiej (mianowani przez króla senatorowie mieli być instrumentem jego wpływu w sejmie), silnej inicjatywy ustawodawczej władcy i organów wykonawczych, wyraźnego rozdziału władzy ustawodawczej i wykonawczej (wykluczenie sejmu rządzącego), osłabienia wpływu sejmików na sejm, przywrócenia monarsze rozdawnictwa starostw.

Dyskusje toczone nad kolejnymi artykułami zajęły wiele dni. Otrzymałszy ok. 20 lutego 1791 r. dokument z poprawkami Potockiego („Projet de réforme de constitution”), Stanisław August przetłumaczył go na język polski – „manualistą” był znawca prawa, poseł krakowski Aleksander Linowski. W toku tłumaczenia monarcha powrócił w wielu miejscach do swych pierwotnych sformułowań, znów



KOREKTY POTOCKIEGO ZMIERZAŁY DO REPUBLICANIZACJI PROJEKTU STANISŁAWA AUGUSTA, ZDECYDOWANIE MONARCHICZNEGO

nadając tekstowi kształt bardziej monarchistyczny i tytuł „Reforma konstytucji”. 3 marca 1791 r. wersja polska znalazła się w rękach Ignacego Potockiego; marszałek dostrzegł zmiany rzeczowe w stosunku do oryginału francuskiego – nie zamierzał ustępować. Polski tekst otrzymał też do wglądu marszałek Małachowski, który „wydelegował” do dalszych prac nad konstytucją księdza Hugona Kołłątaja, swego sekretarza. Zredagowany przezeń na podstawie „Reformy konstytucji” tekst („Prawa konstytucyjne”, 25 marca), po odrzuceniu części kołłątajowskich propozycji, stanowił podstawę ostatecznej redakcji Konstytucji 3 maja. Najważniejszy wkład Kołłątaja dotyczył problemów społecznych i stał się tak istotny, iż obok króla i Potockiego uznajemy go za trzeciego współautora konstytucji. Czwartym jest Scipione Piattoli – jego kompromisowe sugestie odcisnęły na dokumencie istotny ślad.

Autor ukryty

W drugiej połowie marca sporna pozostawała kwestia królewskiej prerogatywy nominacyjnej, w kwietniu – do ostatecznej chwili – ustalano kompetencje Straży. Już w lutym, kiedy zaczęto stopniowo rozszerzać grono wtajemniczonych, uzgodniono, że dla łatwiejszego przeforsowania konstytucji w sejmie autorstwo króla zostanie utajnione – przyjmie on w izbie podany mu projekt. Tak się też stało, co wiemy z opisu przebiegu sesji 3 maja 1791 r.

Z rozwiązań, na których najbardziej zależało Stanisławowi Augustowi, Konstytucja 3 maja zawiera wyraźnie wzmocnioną rolę sejmu, którego decyzje, podejmowane większością głosów, są ostateczne. Parlament sprawuje kontrolę nad organami wykonawczymi, ale nie „rządzi” (monteskiuszowski trójpodział władz). O niemożliwej pozycji króla i rządu świadczyło pierwszeństwo monarszej inicjatywy ustawodawczej we wszystkich ważnych dla państwa kwestiach, silna pozycja władcy w Straży Praw i moc rozkazywania przez tę ostatnią ministerstwom (komisjom wielkim, których skład kompletował jednak sejm). Królewska prerogatywa nominacji senatorów nie została w konstytucji sprecyzowana, odłożono tę sprawę na później. Nie dobił się też Stanisław August wzmocnienia pozycji senatu ani nie odzyskał prerogatywy rozdawnictwa starostw.

Komentując te porażki w liście do Maurycego Glayre’a, pomyślanym jako tekst propagujący konstytucję za granicą, król patrzył optymistycznie; wyrażał przekonanie, że braki Ustawy Rządowej 3 maja są drobnostkami w porównaniu z osiągnięciami, które konstytucja zawiera. Tę opinię podzielamy do dziś.

OCZAMI LITWINA



O RECEPCJI KONSTYTUCJI 3 MAJA NA LITWIE,
JEJ MIEJSCU W ŚWIADOMOŚCI LITWINÓW
DAWNIEJ I DZIŚ, ORAZ O NIEZWYKLE WAŻNYM
DOKUMENCIE „ZARĘCZENIE WZAJEMNE OBOJGA
NARODÓW” Z HISTORYKIEM UNIwersYTETU
WILEŃSKIEGO **DOC. DR. ELIGIUSEM RAILĄ**
ROZMAWIA IŁONA LEWANDOWSKA

Na obrazie Jana Matejki obok króla Stanisława Augusta posłowie niosą na rękach również pochodzącego z Wielkiego Księstwa Litewskiego Kazimierza Nestora Sapiechę, jednego z twórców Konstytucji 3 maja. Czy wśród Litwinów czasu Sejmu Czteroletniego poparcie dla konstytucji było powszechne?

Eligijus Raila: Kazimierz Nestor Sapieha to z pewnością postać, na którą warto zwrócić uwagę. Jego wkład w powstanie konstytucji ze strony litewskiej był największy, zarówno pod względem pracy, jak i zaangażowania emocjonalnego. Choć podczas prac przygotowawczych odnosił się do tego dokumentu z rezerwą, z czasem poparł go bardzo jednoznacznie, co symbolicznie ukazał Matejko; także Tadeusz Korsak, który nie tylko opowiadał się za konstytucją, lecz również zginął, broniąc ustanowionego przez nią porządku w czasie rzezi Pragi. Ten entuzjazm wobec konstytucji dotknął szerokich kręgów szlachty. Warto zauważyć, że 33 proc. litewskich delegatów w ten lub inny sposób brało udział w pracach przygotowawczych nad tym dokumentem, debatach i obradach. Projekt reform nie był obojętny Litwie, wręcz przeciwnie – przywiązywano do niego ogromne znaczenie. W 1792 r. konstytucję potwierdziły niemal wszystkie sejmiki litewskie. Nie powinno to dziwić, gdyż – jak zauważył prof. Juliusz Bardach – na nowy program polityczny, jakim była konstytucja, patrzono jako

na próbę uwolnienia się od dyktatu Rosji. Był to moment, gdy Rzeczpospolita otrzymała wreszcie tyle suwerenności od rosyjskiego protektoratu, by podjąć się próby reform. Litewska delegacja oczywiście w większości poparła więc konstytucję, której uchwalenie było w interesie zarówno Polski, jak i Litwy. Z litewskiego punktu widzenia ogromne znaczenie miało również ustalenie wzajemnych relacji między Koroną a Litwą. Dokumentem szczególnie ważnym było w tej perspektywie „Zaręczenie Wzajemne Obojga Narodów”, podpisane 20 października, określające szczegółowo dalsze losy unii polsko-litewskiej. To był moment, do którego litewska delegacja przywiązywała ogromną wagę. Juliusz Bardach interpretował to jako wyraz wzajemności: tak jak litewska delegacja poparła postulaty ważne dla Korony, tak Polacy poparli litewskie postulaty jako sprawy obojga narodów. Nie było więc powodów, by konstytucji nie popierać.

Kolejne pokolenia Litwinów straciły jednak ten entuzjazm dla idei konstytucji. Dlaczego wśród historyków czasów Śapoki nie było już zrozumienia dla idei reform Sejmu Czteroletniego?

Litewska recepcja historyczna w odniesieniu do Konstytucji 3 maja rozpoczęła się wraz z budzeniem się tożsamości narodowej w nowoczesnym pojęciu, czyli w XIX w. w środowisku Jonasa Basanavičiusa, redaktora pisma „Aušra”.

Był to czas przyglądania się litewskiej historii, głównie w kontekście wyodrębnienia litewskich elementów z polskiej kultury i oddzielenia się od niej. Na historię Rzeczypospolitej Obojga Narodów patrzono wówczas bardzo sceptycznie, odcinając się od niej jako historii polskiej. Oczywiście z tej perspektywy oceniano również Konstytucję 3 maja. Nie była to może ocena bardzo negatywna, ale z pewnością daleka od entuzjazmu. Krytykowano konstytucję w wymiarze społecznym, podkreślając, że chłopom, którzy byli u podstaw litewskiego odrodzenia narodowego, nie dawała ona wielu korzyści. Jeden z czołowych działaczy tego okresu, Jonas Šliūpas, nazwał nawet konstytucję kamieniem nagrobnym dla Litwinów. To bardzo katarygiczne sformułowanie, ale dobrze oddające nastroje tamtych czasów. Nie zauważano zupełnie znaczenia „Zaręczenia Wzajemnego Obojga Narodów”, dokumentu, który stał na straży zachowania odrębności Litwy. Ten sposób patrzenia na historię został w dużej mierze przejęty przez międzywojenną Litwę. Rzeczywiście badaczem, który wywarł ogromny wpływ na świadomość historyczną Litwinów, był wspomniany Adolfas Šapoka. W jego wizji historii również dominuje tendencja odcinania się od tego, co polskie, ale trzeba przyznać, że był on pierwszym, który próbował z litewskiego punktu widzenia badać poważnie okres po >>



Jan Matejko,
„Konstytucja 3 Maja”,
1891 r.

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

>> unii lubelskiej i oceniać także Konstytucję 3 maja. Duży wpływ wywarł na niego Iwan Lappo – rosyjski historyk, który po rewolucji zamieszkał na Litwie i wykladał historię w Kownie. Według jego poglądów, które początkowo przejął Šapoka, konstytucja była dla Litwy zabójcza. Z czasem ocena Šapoki stała się nieco bardziej przychylna – zauważał znaczenie „Zaręczenia” i pozytywne zmiany, jakie wprowadzała konstytucja. Niewątpliwie jednak w szerokiej świadomości Litwinów tego okresu Konstytucja 3 maja była interpretowana jako ciało obce, coś, co nie ma znaczenia dla narodu litewskiego. Za naszą historię uważano jedynie okres do Wielkiego Księcia Witolda, ewentualnie unii lubelskiej. To, co wydarzyło się po niej, było polskie i należało się od tego oddzielić.

Tymczasem to nie pisma wychodzące z kancelarii Witolda, lecz właśnie Konstytucja 3 maja jest pierwszym w historii dokumentem opublikowanym także w języku litewskim. Czy to, że twórcy konstytucji pierwsi zauważyli potencjał tego języka jako języka, w którym pisze się o sprawach państwa, nie miało znaczenia dla przedstawicieli litewskiego ruchu narodowego?

Tak głęboko nikt nawet nie próbował patrzeć. W tym okresie dominowały proste oceny, na użytek konkretnych

czasów. Ani środowisko „Aušry”, ani Šapoki nie dostrzegało kontekstu XVIII w., jak też trajektorii ówczesnej litewskiej świadomości narodowej. To rzeczywiście pierwszy dokument w języku litewskim, co prawda przetłumaczony z polskiego, i to na język bardzo odległy od współczesnego, z wielką liczbą polonizmów, jednak to, że ówczesna elita polityczna uznała, iż jest do kogo zwracać się w sprawach wagi państwowej po litewsku, ma ogromne znaczenie. To pokazuje zupełnie nową perspektywę – istnienie społeczeństwa, w którym nie brakuje osób czytających po litewsku, które jednocześnie interesują się losami kraju. Ten kierunek był kontynuowany w następnych latach. W czasie powstania kościuszkowskiego niektóre odezwy również tłumaczono na litewski. Docenienie tego momentu zajęło litewskim historykom jednak dosyć dużo czasu. Dopiero nasza współczesna historiografia uznaje tłumaczenie Konstytucji 3 maja za początek tradycji litewskiego piśmiennictwa politycznego.

Głosy, że Konstytucja 3 maja ostatecznie położyła kres odrębności Wielkiego Księstwa Litewskiego i faktycznie mogła być nagrobkiem dla litewskiej odrębności, pojawiały się także wśród polskich historyków. Czy rzeczywiście musiało tak być? Czy Litwini, trwając

dalej w związku z Polską, byli skazani na utratę własnej odrębności?

Nie mam wątpliwości, że litewskie tradycje państwowe jeszcze sprzed unii z Polską były na tyle znaczące, że mogły być nośnikami tradycji narodowej także w całkowicie zunifikowanym państwie. Krótki, jednak niezwykle znaczący okres panowania Mendoga, czasy Witolda nie zniknęły z pamięci. Zwracając na to uwagę także polscy badacze, m.in. wspomniany Juliusz Bardach. Konstytucja nie mogła zniweczyć tradycji, które zakorzeniły się przed jej powstaniem. Pewne zręby odrębności istniały też po unii lubelskiej i istniałyby prawdopodobnie w jakiejś formie dalej. Nie jest to rozważanie „co by było gdyby”, ale wnioski oparte na faktach. Ten proces przerwały rozbiory, ale można dostrzec jego przejawy w ciągu dziejów. Już czasy unii określane są zarówno przez wielu badaczy polskich, jak i litewskich jako federacja. Oczywiście pod koniec XVIII w. dominowały tendencje unifikacyjne, których zwolennikiem byli król Stanisław August czy Hugo Kołłątaj, ale uważam, że należy na nie patrzeć w kontekście epoki. W tym czasie tego rodzaju dążenia obecne były w całej Europie, co nie znaczy, że musiały doprowadzić do unicestwienia litewskiej odrębności. Nawet gdyby Litwa była prawnie tylko prowincją, byłaby to zupełnie inna

provincia niż Małopolska czy Wielkopolska. A taka wyjątkowa prowincja zawsze może liczyć na wyjątkowe prawa, łącznie z prawem do niezależności. Warto również zauważyć, że w okresie prac nad konstytucją wśród litewskiej szlachty pogłębiła się świadomość znaczenia historycznych podstaw państwowości Wielkiego Księstwa Litewskiego. Świadczy o tym choćby podjęcie w 1792 r. starań, by Metryka Litewska została przewieziona z Warszawy do Wilna. Ostatecznie te dążenia zniweczyła agresja Rosji i dziś jesteśmy państwem pozbawionym najważniejszego dla swoich dziejów zbioru dokumentów. To, co świadczy o naszej najdawniejszej historii, swego rodzaju akt urodzenia, znajduje się w Rosji i żadne starania ani zabiegi dyplomatyczne nie były w stanie tego zmienić.

A może bez wpływów Rosji i czasów zaborów to litewskie odrodzenie narodowe nie byłoby aż tak antypolskie? Może we wspólnym polsko-litewskim państwie te procesy budzenia świadomości narodowej przebiegałyby znacznie spokojniej?

Na pewno początki tego odrodzenia możemy dostrzec już w XVIII w. Wiązało się to oczywiście z realizacją idei oświecenia na Litwie, upowszechnieniem oświaty czy literatury, zwróceniem się w stronę chłopów, co wiązało się również z docenieniem ich języka. Już w tym czasie tworzyli w języku litewskim Antanas Klementas czy Dionizy Poszka, który zresztą jako szlachcic zaprzysięgał konstytucję podczas sejmiku. Ogromne znaczenie miał wpływ działań Komisji Edukacji Narodowej na Litwie. Rozwój edukacji w diecezji wileńskiej, który zainicjował bp Ignacy Massalski, dotyczył także szkół litewskich. Niewątpliwie pokolenie zarówno szlachty, jak i chłopów, które dorastało w drugiej połowie XVIII w., było już wychowane pod wpływem idei oświecenia. Wracając do konstytucji – dawała ona zupełnie unikatową możliwość rewizji zawartych w niej przepisów po 25 latach. Kolejne pokolenie mogło więc stworzyć prawo odpowiadające bardziej ich realiom. W tym pokoleniu były też osoby takie jak urodzony w 1793 r. Simonas Daukantas (Szymon Dowkontt – przyp. red.), pierwszy historyk i etnograf piszący po litewsku. Gdyby nie zabory, zapewne uczestniczyłby w sejmie rewidującym po ćwierćwieczu zapisy konstytucji, być może nawet przemawiałby po litew-

sku. Nie możemy dziś powiedzieć, jakie wówczas postulaty wniosłaby litewska delegacja, ale na pewno by się one pojawiły. Być może to pokolenie dążyłoby do większej niezależności, być może nasze drogi potoczyłyby się analogicznie do dziejów Wielkiej Brytanii i Irlandii. Język litewski mógłby również powrócić po

cjach, które obecnie powstają na Litwie, ta ocena jest zupełnie inna. Nie tylko znaczenie konstytucji zostało docenione, ale podejmowane są poważne badania nad całą historią XVIII w. W Instytucie Historii Litwy istnieje cały dział zajmujący się tym okresem, nie brakuje dyskusji i projektów. Dla mnie osobiście Konstytu-

DLA MNIE OSOBIŚCIE KONSTYTUCJA 3 MAJA TO JEDEN Z NAJPIĘKNIEJSZYCH – ZARÓWNO DLA POLAKÓW, JAK I LITWINÓW – MOMENTÓW NASZEJ HISTORII. NIE TYLKO POKAZALIŚMY, ŻE JESTEŚMY CZĘŚCIĄ CYWILIZACJI EUROPEJSKIEJ, LECZ ZNACZNIE WYPRZEDZILIŚMY INNE KRAJE W NASZYCH DĄŻENIACH

pewnym czasie jako mowa przodków. Nie mam jednak wątpliwości, że świadomość swojej odrębności Litwini by zachowali.

Rozmawialiśmy już o tym, jak konstytucję oceniali Litwini minionych epok, a jak oceniają ją współcześni?

Mówiąc o historiografii, warto zauważyć, że po drodze mamy jeszcze okres sowiecki. Wówczas również próbowano oceniać konstytucję, jednak całkowicie redukując ten dokument do kwestii klasowych. W bardzo prymitywny sposób wartościowano dokument z XVIII w. według XX-wiecznych realiów. Z punktu widzenia komunistycznej ideologii konstytucja była zła, bo dawała chłopom mniej praw niż szlachcie. W przedziwny sposób w tej sprawie komunistyczna historiografia była zbieżna z litewską nacjonalistyczną okresu międzywojennego. Obie negatywnie oceniały wpływ Polski, z tym że w czasach komunistycznych niechętnie patrzono na jakiegokolwiek podkreślanie litewskich tradycji państwowych. Była jednak pewna furtka dla badaczy, bo konstytucję pochwalił w swoich pismach Karol Marks. Wychodząc od Marksa, można więc było legalnie nieco szerzej spojrzeć na ten dokument także w czasach komunistycznych. W publika-

cja 3 maja to jeden z najpiękniejszych – zarówno dla Polaków, jak i Litwinów – momentów naszej historii. Nie tylko pokazaliśmy, że jesteśmy częścią cywilizacji europejskiej, ale w naszych dążeniach znacznie wyprzedziliśmy inne kraje. Oczywiście nie był to dokument idealny, można długo dyskutować o jego brakach, ale nikt nie może mu odmówić cywilizacyjnego znaczenia. Jeśli mówimy o szerszym znaczeniu, miejscu Konstytucji 3 maja w świadomości historycznej społeczeństwa, to obecne czasy sprzyjają jej pogłębianiu również ze względu na aktualną koniunkturę polityczną, od której w dużej mierze postrzeganie i ocena konstytucji zawsze były uzależnione. Widać to choćby w uwzględnieniu 3 maja w kalendarzu wydarzeń historycznych (na Litwie nie jest to jednak święto państwowe) czy w tegorocznych wspólnych polsko-litewskich obchodach. Pomimo to nie wydaje mi się, żeby to wydarzenie miało znaczące miejsce w świadomości historycznej współczesnych Litwinów. Ta rocznica przypomina trochę znak drogowy. Niewygodny, ale jest, więc trzeba się z nim liczyć. Trochę tak jest z naszym świętowaniem 3 maja. Nie można ignorować, ale nie jest to coś, co przychodzi spontanicznie.

Księga Konstytucji przygotowana
do zaprzysiężenia prezydenta RP
Ignacego Mościckiego

„NIECH ŻYJE KONSTYTUCJA”

„Konstytucja uchwalona! Rzeczpospolita posiada nareszcie u fundamentów swoich ten kamień podstawowy, na którym można wznosić trwałą budowlę państwową. Już wczoraj wieść o tym obiegała miasto, a druty telegraficzne rozniosły ją po całej Polsce i po świecie całym. [...] Radość zjawiła się na obliczach. W gorących uściskach rąk, w wymawianych słowach, w rytmie poruszających się odświętnie tłumów, czuć było nadejście oczekiwanego dnia. Ten historyczny dzień, największy z dni, jakie przeżyliśmy od chwili odzyskania niepodległości, rozpoczyna nową epokę w dziejach naszych. On wprowadza nas jako naród praworządny do grona państw europejskich, on każdemu z nas, jako obywatelowi Rzeczypospolitej, nadaje ciężar gatunkowy, czyni go człowiekiem wolnym i za tę wolność swoją odpowiedzialnym”. [„17-go marca 1921 r.”, „Kurjer Warszawski”, 18 marca 1921, nr 77, s. 5]

Tak „Kurier Warszawski” informował swoich czytelników o nastrojach panujących w Warszawie. Może zbyt patetycznie brzmią dziś słowa dziennikarza, niemniej jednak przebijają z nich radość, świadomość wagi wydarzeń, która, jeśli ufać przekazywanym relacjom, była powszechna.

Uroczysty pochód

O uchwaleniu konstytucji informowały wydania nadzwyczajne prasy codziennej. Zapewne spodziewając się przyjęcia dokumentu, warszawiacy pospiesznie dekorowali miasto: wywieszając sztandary narodowe, tarcze z orłami, pamiątki po Konstytucji 3 maja oraz portrety jej twórców. Szykowano się do uroczystego pochodu i mszy w katedrze św. Jana. Pochód ruszył koło godziny piątej po południu, ale już od trzeciej na placu Trzech Krzyży zaczęli gromadzić się tłumnie warszawiacy. W rejonie kościoła św. Aleksandra ustawiały się pocztysztandary. Część z nich trzeba było przesunąć w Aleje Ujazdowskie na wysokość ulicy Pięknej, bo z powodu ich liczby nie mieściły się na placu. Mieszkańcy stolicy gromadzili się również na placu Zamkowym i w okolicach katedry. W tłumie słychać było okrzyki: „Niech żyje Konstytucja!”.

Po głosowaniu i ogłoszeniu przerwy marszałek Wojciech Trąmpczyński, posłowie, członkowie rządu oraz Naczelnik Państwa udali się do katedry na uroczystą mszę świętą, której przewodniczył kardynał Aleksander Kakowski, po mszy odśpiewano „Te Deum”.

„Wrażenie było potężne. W kornych ku Stwórcy modłach pochylili się głowy, a usta szeptały gorąco modlitwę dziękczynną. A później, po krótkiej chwili, pod stropy świątyni prastarej popłynęła z tysiąca piersi pieśń „Boże, coś Polskę” – pieśń, śpiewana poprzez wiek w bólu i tęsknocie z wiarą, iż ojczyznę i wolność Stwórcy nam powróci. W wielu oczach łzy się szklily”. [„Pochód”, „Kurier Warszawski”, 18 marca 1921, nr 77, s. 7]

Konstytucja – preambuła

Ożywienie ulicy warszawskiej związane z przyjęciem konstytucji było odzwierciedleniem nastrojów panujących w izbie poselskiej. Autorzy konstytucji mieli świadomość, jak ważny dokument muszą stworzyć. O wadze ustawy świad-



**AGNIESZKA
BEJNAR-
-BEJNAROWICZ**

czy preambuła, która wyszła spod pióra ks. Kazimierza Lutosławskiego.

Słowo „preambuła” wywodzi się z łacińskiego słowa *preambulum*, co znaczy poprzedzający, idący wcześniej. Tyle „Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych” Władysława Kopalińskiego. Jest więc preambuła wstępem do aktu prawnego, wstępem do ustawy zasadniczej. Ta część konstytucji nie ma znaczenia prawnego, nie niesie żadnych prawnych następstw, a jednak wyraża myśl, ideę, która przyświeca twórcom dokumentu. Oddaje jego ducha oraz wskazuje cel – *ratio legis*. Preambuła do konstytucji marcowej wyjątkowo dobrze oddawała ducha czasów, łącząc tradycję z wyzwaniem nowoczesnego państwa.

„W Imię Boga Wszchemogącego! My, Naród Polski, dziękując Opatrzności za wyzwolenie nas z półtorawiekowej niewoli, wspominając z wdzięcznością męstwo i wytrwałość ofiarnej walki pokoleń, które najlepsze wysiłki swoje sprawie niepodległości bez przerwy poświęcały, nawiązując do świetnej tradycji wiekopomnej Konstytucji 3-go Maja – dobro całej, zjednoczonej i niepodległej Matki-Ojczyzny mając na oku, a pragnąc Jej byt niepodległy, potęgę i bezpieczeństwo oraz ład społeczny utwierdzić na wiekistych zasadach prawa i wolności, pragnąc zarazem zapewnić rozwój wszystkich Jej sił moralnych i materialnych dla dobra całej odradzającej się ludzkości, wszystkim obywatelom Rzeczypospolitej równość, a pracy poszanowanie, należne prawa i szczególną opiekę Państwa zabezpieczyć – tę oto Ustawę Konstytucyjną na Sejmie Ustawodawczym Rzeczypospolitej Polskiej uchwalamy i stanowimy”.

Twórcy preambuły konstytucji marcowej, rozpoczynając tekst od „*Invocatio Dei*”, powtarzali tę formułę po ustawie majowej. W 1791 r. autorzy Ustawy Rządowej również wpisali odwołanie do Boga na samym początku dokumentu.

Przywołanie tu Konstytucji 3 maja ma wyjątkowe znaczenie – jest to pomost „między dawnymi i młodszyimi laty”. Konstytucja majowa została przyjęta w szczególnym momencie, głębokiego kryzysu państwa, które zdobyło się na ogromny wysiłek i stworzyło dokument będący dla kolejnych

pokoleń symbolem niepodległości, niezawisłości i praworządności. Autorzy konstytucji uchwalonej przez sejm w marcu 1921 r. pracowali nad tą ustawą w sytuacji nie mniej trudnej. Ciągłe ważyły się losy przyszłości Polski, w 1920 r. wybuchło II powstanie śląskie, na 20 marca 1921 r. zaplanowano przeprowadzenie plebiscytu na Górnym Śląsku, w latach 1919–1920 trwała wojna z bolszewikami. Świadomość zagrożenia dopiero co powstałego państwa musiała mieć wpływ na postów przygotowywujących tekst konstytucji.

W następnych zdaniach tekstu autorstwa ks. Lutosławskiego składano hołd tym wszystkim, którzy wierzyli, że zobaczą „jutrenkę swobody”, ale nie doczekali tej chwili. Warto tu może przypomnieć, że w jednym z projektów preambuły pojawiała się koncepcja, by złożyć hołd nie tylko powstańcom, ale też „potężnym sprzymierzeńcom”, dziękując za ich wkład w wyzwolenie „z długiej niewoli”. W drugiej części preambuły autor wymienia te wartości, które są nieodłącznie związane z państwem demokratycznym: bezpieczeństwo, ład społeczny, zasady prawa, poszanowanie pracy, równość i opieka państwa nad obywatelami – oto fundamenty nowoczesnego państwa.

Spór o senat

„Byłem i jestem zwolennikiem systemu dwuizbowego, ponieważ ustawy, uchwalone przez sejm, powinny być dokładnie rozważone z rozmaitych punktów widzenia, zanim staną się normą obowiązującą rząd i obywateli. Niechęć jednak, a nawet odraza, do senatu była w owym czasie w większości sejmu tak głęboko zakorzeniona, że nie mogłem otwarcie proponować senatu jako drugiej izby. Użyłem w tym celu wybiegu, przyjmując z deklaracji konstytucyjnej rządu i z projektu Wyzwolenia instytucję »Straży Prawa«, lubo w innym znaczeniu, niż miała ona w tych deklaracjach, a także w Konstytucji 3 maja. Miała ona w moim projekcie zastąpić senat jako drugą izbę i została później istotnie przemianowana na »senat« w projekcie ministra Skulskiego, gdy żywioły burzliwe w Sejmie nieco się uspokoiły i poważna dyskusja na temat dwuizbowości okazała się możliwą”. Tak po latach opisywał walkę o umieszczenie w konstytucji marcowej wyższej izby parlamentu Stanisław Głubiński, twórca projektu konstytucji złożonego w imieniu Związku Ludowo-Narodowego, >>

» największego klubu w Sejmie Ustawodawczym („Wspomnienia polityczne”, s. 491–492). Według niego wyższa izba parlamentu miała się składać z członków wybieranych w połowie przez sejm, w połowie mieli to być delegaci sejmików ziemskich, najważniejszych zakładów naukowych, samorządów miejskich oraz prezesów obydwu najwyższych trybunałów.

Sprawa senatu stała się przedmiotem żartej dyskusji przede wszystkim między posłami Związku Ludowo-Narodowego, czyli endecji z jednej strony a posłami lewicy z drugiej. Kwestię tę dyskutowano najpierw na posiedzeniu Konwentu Seniorów. Przedstawiciel PSL „Wyzwolenie” zagroził, że przegłosowanie artykułu powołującego senat może doprowadzić do licznych protestów. Wobec tak sformułowanej groźby posłowie ZLN protestowali, uważając, że lewica chce swoje postulaty zrealizować za pomocą terroru. Rzeczywiście dwa dni po posiedzeniu Konwentu Seniorów PPS wystąpiła z odezwą do robotników, wzywając do walki przeciw senatowi, na 18 października 1920 r. zapowiedziano strajk powszechny. Bój o senat przeniósł się z izby poselskiej na ulice, bo w odpowiedzi na protesty PPS członkowie Związku Ludowo-Narodowego zwołali wiecze poparcia dla parlamentu dwuizbowego.

Ostatecznie sejm przyjął powstanie senatu. Senatorowie mieli jednak być wybierani w wyborach powszechnych, co było zwycięstwem lewicy. W „Robotniku” tak skomentowano ten spór: „Senat, ten Senat, o który prawica kruszyła kopję, pragnąc zbudować zeń okopy Świętej Trójcy, został wprawdzie uchwalony (aż 11 głosami większości!) – ale Pyrrusowe może to być zwycięstwo prawicy. Wszyscy bowiem senatorowie będą musieli wyjść z urny wyborczej. Wprawdzie wyborcami do Senatu są tylko obywatelki i obywatele trzydziestoletni, niemniej wyniki ich głosowania mogą pójść w kierunku wręcz przeciwnym, niżby tego chciała reakcja, która pragnęła w Senacie mieć przedstawicielstwo obszarnictwa i wielkiego kapitału”. [„Mały felieton”, „Robotnik”, 18 marca 1921, nr 72, s. 2]

Prezydent czy Naczelnik Państwa

Równie ostra dyskusja przetoczyła się przez sejm w sprawie umocowania prezydenta Rzeczypospolitej w systemie parlamentarno-gabinetowym. Rozstrzygnięcia wymagały trzy kwestie, pierwsza

– najistotniejsza – dotyczyła roli i pozycji prezydenta, druga sposobu wyboru głowy państwa, trzecia nazwy urzędu.

Posłowie PSL „Wyzwolenie” oraz PSL „Piast” byli zwolennikami wyboru prezydenta w wyborach powszechnych, klub NZL skłaniał się ku wyborowi poprzez połączone izby parlamentu. Odwołując się do wspomnień Stanisława Głąbińskiego, możemy zauważyć, że w trakcie prac nad tym zapisem konstytucji nastąpiła zmiana stanowisk: „Związek Ludowo-Narodowy cofnął swój wniosek o wybór prezydenta

W TRAKCIE DYSKUSJI NAD ROLĄ PREZYDENTA POSŁOWIE PSL „WYZWOLENIE” ZAPROPONOWALI NADANIE GŁOWIE PAŃSTWA TYTUŁU NACZELNIKA

w drodze plebiscytu i przyjął wniosek o wybór przez Zgromadzenie Narodowe [...]. Przeciwnie klub socjalistyczny cofnął swój wniosek o wybór Prezydenta przez Zgromadzenie Narodowe i stanął na stanowisku plebiscytowym”. („Wspomnienia polityczne”, s. 495). Ostatecznie, odwołując się do wzorów francuskich, przyjęto koncepcję wyboru prezydenta przez Zgromadzenie Narodowe. Socjaliści uznali to starcie za swoją porażkę.

W trakcie dyskusji nad rolą prezydenta posłowie PSL „Wyzwolenie” zaproponowali nadanie głowie państwa tytułu naczelnika. Było to zgodne z projektem rządu Paderewskiego oraz nawiązywało do tradycji kościuszkowskiej. Do niej też odwoływał się marszałek Józef Piłsudski, przejmując ten tytuł. Projekt został odrzucony na posiedzeniu Komisji Konstytucyjnej, zdecydowano się na przyjęcie powszechnie obowiązującej nazwy prezydenta.

Prezydent miał nie odgrywać czynnej roli politycznej, nie posiadał inicjatywy

ustawodawczej, nie miał też prawa weta wobec przyjmowanych ustaw. Odrzucony został projekt wyposażenia głowy państwa w prawo wydawania dekretów (nada mu je dopiero nowela sierpniowa), każdy akt rządowy wymagał kontrasygnaty premiera i odpowiedniego ministra. Do kompetencji prezydenta należało mianowanie sędziów i stosowanie prawa łaski.

Przedmiotem sporu była też kwestia federacji zgłoszona w projekcie Józefa Buzka. Mniejszość żydowska liczyła na otrzymanie autonomii. Spierano się o długość kadencji sejmiku, o nauczanie powszechne, szkoły wyznaniowe. Właściwie można powiedzieć, że wszystkie zagadnienia budziły kontrowersje i emocje oraz prowadziły do zażartych dyskusji, a czasem nawet do demonstracji... muzycznych. Na znak sprzeciwu wobec przyjmowanych rozwiązań posłowie lewicowi, wychodząc z sali, śpiewali „O cześć wam panowie magnaci”, na co prawa strona odpowiadała śpiewaniem „Roty”.

Stało się

17 marca 1921 r. ok. godziny 17 marszałek sejmiku Wojciech Trąpczyński zarządził głosowanie nad projektem ustawy zasadniczej. Tak ten moment zapamiętał Stanisław Stoński, publicysta i polityk obozu narodowego.

„Stało się.

A wówczas, po tym napiętym milczeniu, wśród którego dokonywało się rozpięające piersi zdarzenie, oczekiwano wyzwolenieczego słowa, które by objaśniło, dlaczego dzieje się coś niezwykle wielkiego. Wszystkie oczy zwróciły się na p. Marszałka Sejmu, który przypomniawszy raz jeszcze wstępne słowa uchwalonej właśnie Konstytucji, rzekł:

– Z dniem dzisiejszym wchodzi Rzeczpospolita na drogę prawnego rozwoju. Państwo to zorganizowany naród. A fundament organizacji to Konstytucja”.

Post scriptum

Wieczorem 17 marca 1921 r. posłowie wrócili na obrady. Na wniosek ks. Bliżnińskiego przyjęto ustawę o budowie kościoła Opatrzności Bożej, było to wykonanie votum Sejmu Czteroletniego. W ten sposób II Rzeczpospolita przejmowała zobowiązania przyjęte przez posłów Sejmu Wielkiego. Ustalono, że kamień węgielny nowej świątyni będzie częścią kamienia węgielnego złożonego w Ogrodzie Botanicznym. ■



**17 MARCA 1921 r. SEJM
USTAWODAWCZY
UCHWALIŁ KONSTYTUCJĘ
RZECZYPOSPOLITEJ
POLSKIEJ, ZWANĄ
MARCOWĄ. DZIEŃ
PÓŹNIEJ POLSKA I ROSJA
SOWIECKA PODPISAŁY
W RYDZE TRAKTAT
POKOJOWY, A 20 MARCA
ODBYŁ SIĘ PLEBISCYT
NA GÓRNYM ŚLĄSKU**



**KRZYSZTOF
TARKA**

Wten sposób kończył się okres tymczasowości, a odradzające się po ponad 120-letniej niewoli państwo polskie kształtowało swoje granice i zasady ustrojowe.

Uchwalenie konstytucji było głównym zadaniem Sejmu Ustawodawczego, który zebrał się 10 lutego 1919 r. Pierw-

„W IMIĘ BOGA WSZECHMÓGĄCEGO! MY, NARÓD POLSKI”

sze posiedzenie komisji konstytucyjnej odbyło się pięć dni później. Równoległe prace nad ustawą zasadniczą prowadziła komisja utworzona z ramienia rządu (tzw. ankieta konstytucyjna). Debacie konstytucyjnej nie sprzyjały warunki zewnętrzne: walka o granice państwa, rozbięcie dzielnicowe, będące dziedzictwem czasu rozbiorów, niestabilna sytuacja gospodarcza czy nierzadko ostre spory i podziały polityczne.

Lewica jest przeciw

8 lipca 1920 r. projekt ustawy zasadniczej trafia na plenarne posiedzenie parlamentu, a już pół roku później, po trzecim czytaniu, marszałek Sejmu Ustawodawczego Wojciech Trąpczyński z ZLN zarządza głosowanie nad gotowym tekstem konstytucji. Zgodnie z ówczesną praktyką marszałek prosi posłów, którzy opowiadają się za przyjęciem ustawy, o powstanie z miejsc. W sejmowych ławach siedzi, czyli głosuje przeciw konstytucji, ogółem kilkudziesięciu posłów: prawie wszyscy socjaliści, ludowcy z PSL „Wyzwolenie” oraz większość posłów żydowskich. Jędrzej Moraczewski z PPS, były prezydent ministrów (taka była ówczesna nomenklatura), czyli szef pierwszego rządu II RP, na czas głosowania ostentacyjnie wychodzi z sali sejmowej. Inny czołowy polityk PPS Ignacy Daszyński nie pojawia się tego dnia w parlamencie.

Podczas głosowania wstaje jednak ogromna większość posłów. W tej sytuacji marszałek stwierdza, że konstytucja została uchwalona. Jest godz. 16.50. W sejmowej sali rozlegają się długotrwałe głośnie oklaski. W łóży sejmowej pojawia się Naczelnik Państwa. Posłowie stojąc, witają go oklaskami. Niektórzy wznoszą entuzjastyczne okrzyki: „Niech żyje Piłsudski!”. Następnie marszałek Trąpczyński odczytuje tekst preambuły, czyli uroczysty wstęp do ustawy zasadniczej:

W Imię Boga Wszechmogącego!

My, Naród Polski, dziękując Opatrzności za wyzwolenie nas z półtorawiekowej niewoli, wspominając z wdzięcznością męstwo i wytrwałość ofiarnej walki pokoleń, które najlepsze wysiłki swoje sprawie niepodległości bez przerwy poświęcały, nawiązując do świetnej tradycji wiekopomnej Konstytucji 3 maja – dobro całej, zjednoczonej i niepodległej Matki-Ojczyzny mając na oku, a pragnąc Jej byt niepodległy, potęgę i bezpieczeństwo oraz ład społeczny utwierdzić na wiekiustych zasadach prawa i wolności, pragnąc zarazem zapewnić rozwój wszystkich Jej sił moralnych i materialnych dla dobra całej odradzającej się ludzkości, wszystkim obywatelom Rzeczypospolitej równość, a pracy poszanowanie, należne prawa i szczególną opiekę Państwa zabezpieczyć – tę oto Ustawę Konstytucyjną na Sejmie Ustawodawczym Rzeczypospolitej Polskiej uchwalamy i stanowimy”.

Głównym autorem preambuły jest poseł Związku Ludowo-Narodowego (ZLN), politycznej emanacji endecji, ksiądz Kazimierz Lutosławski, jeden z czołowych posłów na Sejm Ustawodawczy, który odegrał również wybitną rolę w pracach nad konstytucją.

Płacz i wzruszenie

Wskazując na historyczny moment, marszałek Trąpczyński stwierdza, że uchwalając konstytucję, „wchodzi Rzeczpospolita na drogę prawnego rozwoju”. W krótkim przemówieniu dodaje: „Podstawowe zagadnienia konstytucji były u nas przedmiotem ostrych walk, jak to zresztą i u innych narodów bywało. Ale zwyciężyło przekonanie, że tylko naród z jednolitą wolą i energią zasługuje na wolność, zasługuje na szacunek innych narodów”. Posłowie kilkakrotnie przerywają jego wystąpienie oklaskami. Następnie jeden z parlamentarzystów intonuje „Boże, coś Polskę”. Po chwili śpiewa już cała izba oraz publiczność zgromadzona na >>

» sejmowej galerii. Wiele osób płacze ze wzruszenia.

Następnie marszałek Sejmu Ustawodawczego ogłasza, że posłowie, wzorem przodków, którzy uchwalili Konstytucję 3 maja, aby podziękować Bogu za doprowadzenie ważnego dzieła do końca, wyruszą w pochodzie do katedry św. Jana. W tym czasie na Wiejskiej oraz w pobliskich ulicach i na placu Trzech Krzyży gromadzą się tłumy warszawiaków.

Około godz. 17.20 spod Sejmu wyrusza pochód parlamentarzystów. Piłsudski wraz z towarzyszącym mu adiutantem ppłk. Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim już wcześniej wyjechał samochodem do katedry. Na czele pochodu idzie orkiestra wojskowa, która gra narodowe pieśni. Za nią jeden z posłów niesie sztandar sejmowy, za którym kroczy marszałek Trąpczyński. W następnych szeregach idzie prezydium Sejmu, rząd na czele z premierem Wincentym Witosem, wicemarszałkowie, komisja konstytucyjna i kluby sejmowe w kolejności według swej liczebności (socjaliści nie biorą udziału w tej uroczystości). Pochód zamykają sprawozdawcy parlamentarni oraz urzędnicy sejmowi. Tuż za nimi podążają weterani powstania styczniowego, studenci i profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego na czele z rektorem, członkowie stołecznej rady miejskiej, delegacje różnych organizacji społecznych i zawodowych wraz ze sztandarami oraz tłum mieszkańców stolicy.

Zgromadzeni wzdłuż trasy przemarszu entuzjastycznie witają jadącego Naczelnika Państwa oraz pochód parlamentarzystów. Inni obserwują wydarzenia z okien domów czy balkonów. Z tłumu dobiegają gromkie okrzyki: „Niech żyje Konstytucja!”, „Niech żyje Sejm!”, „Niech żyje Naczelnik Państwa!”, „Niech żyje rząd!”, które mieszają się z dźwiękami orkiestry. W tej uroczystej chwili stolica Polski udekorowana jest biało-czerwonymi flagami.

Przed katedrą św. Jana wojsko i policja tworzą szpaler, aby umożliwić wejście do kościoła dostojnikom państwowym, posłom, członkom korpusu dyplomatycznego. Nabożeństwo dziękczynne w katedrze trwa kwadrans. Po krótkiej modlitwie metropolita warszawski abp Aleksander Kakowski intonuje uroczyste „Te Deum”. Następnie zgromadzeni śpiewają hymn narodowy „Boże, coś Polskę”. Gdy Piłsudski i Trąpczyński opuszczają katedrę, zgromadzony na zewnątrz tłum ponownie urządza im burzliwą owację. Po zakończeniu uroczystości parlamentarzyści wracają autobusami do Sejmu.



Premier Wincenty Witos, marszałek Sejmu Wojciech Trąpczyński i poseł Stefan Sołtyk w uroczystym pochodzie z Sejmu do katedry św. Jana po uchwaleniu Konstytucji RP. Warszawa, 17 marca 1921 r.

Na wznowionym jeszcze tego samego dnia wieczorem posiedzeniu posłowie uchwalają ustawę o wzniesieniu Świątyni Opatrzności Bożej jako wykonanie wotum dziękczynnego Sejmu Czteroletniego (prace budowlane rozpoczęto jednak dopiero w 2003 r.). W drugiej z przyjętych ustaw zapowiadano budowę Domu Ludowego Rzeczypospolitej, który miał pomieścić bibliotekę, czytelnię, pracownię naukową, salę na zebrania i odczyty oraz muzeum kultury i sztuki. Dla upamiętnienia dnia uchwalenia konstytucji rząd wniósł do Sejmu projekt amnestii.

Autorzy konstytucji

Konstytucja marcowa była dziełem śmiałym, nowoczesnym i demokratycznym. Utrwalała republikański ustrój państwa o parlamentarno-gabinetowym systemie rządów. Składała się ze 126 artykułów, podzielonych na siedem rozdziałów (Rzeczpospolita, Władza ustawodawcza, Władza wykonawcza, Sądownictwo, Powszechne obowiązki i prawa obywatelskie, Postanowienia ogólne, Postanowienia przejściowe).

W sejmowej komisji konstytucyjnej zasiadało ok. 30 posłów (ich liczba nieznacznie zmieniała się w ciągu kadencji). Na jej czele stali kolejno Władysław Seyda (ZL-N), Maciej Rataj (PSL) i Edward Dubanowicz (NZL). Początkowo największe miejsc w komisji (10) otrzymał Związek Ludowo-Narodowy, który wygrał wybory. PSL „Wyzwolenie” miało 5 przedstawicieli, PSL „Piast” – 4, Polskie Zjednoczenie Ludowe – 3, Polska Partia Socjalistyczna – 3, Narodowy Związek Robotniczy – 2, Klub

Pracy Państwowej – 1, PSL Lewica – 1, posłowie żydowscy – 1. W następnych latach wraz ze zmianami sejmowej geografii zmieniała się również liczba miejsc przydzielona poszczególnym klubom.

Gorące dyskusje na temat kształtu konstytucji posłowie prowadzili na 29 posiedzeniach plenarnych Sejmu Ustawodawczego. W czasie sejmowych debat kilkakrotnie dochodziło do wrzawy na prawicy lub części lewicy, wznoszenia okrzyków („Hańba!”, „Precz z Senatem!”), bicia w pulpit, gwizdania. Marszałkowi nie zawsze udawało się przywołać posłów do porządku. Z tego powodu 5 listopada 1920 r. wykluczył z obrad na pięć posiedzeń aż 10 posłów lewicy. Największe spory wywoływały sprawa Senatu, sposób wyboru prezydenta i kwestia jego uprawnień oraz status Kościoła katolickiego i mniejszości narodowych.

Zagorzały przeciwnikami dwuizbowego parlamentu byli socjaliści i ludowcy z PSL „Wyzwolenie”. Demagogicznie twierdzili, że Senat to izba panów, reprezentująca jedynie interesy klas posiadających i burżuazji, relikw przeszłości („pobiłany grób” czy „upiór przeszłości”), instytucja niepotrzebna, wręcz szkodliwa dla państwa, która będzie tylko hamować konieczne reformy. Ich oponenty na prawicy w podobnym tonie odpowiadali: „Nieszczęściem byłaby jedna izba”, „Jeżeli będziemy mieli dwie izby, to będzie silna Polska, a jeżeli będzie jedna izba, to nie będzie Polski”. Powołując się na istnienie drugiej izby parlamentu w większości państw na świecie, argumentowali, że Senat zbliża cywilizacyjnie Polskę do Zachodu. Przekonywali, że nie będzie to hamulec, ale „rzecznik rozsądku, rozważi i miary”.

Projekty Głębińskiego-Dubanowicza

Początkowo w sprawie jedno- czy dwuizbowego parlamentu oraz sposobu wyboru i uprawnień głowy państwa wcale nie było jednomyślności w największym sejmowym klubie. Projekt konstytucji wniesiony w końcu maja 1919 r. przez Związek Ludowo-Narodowy, którego autorem był Stanisław Głębiński, przewidywał utworzenie jednoizbowego sejmu, uzupełnionego jedynie Strażą Praw (miała się ona składać w połowie z członków wybranych przez ogólnopanstwowy sejm oraz delegatów sejmów i sejmików ziemskich). Dość silną pozycję projekt przyznawał prezydentowi, który byłby wybierany w głosowaniu powszechnym. Mógłby nim jednak zostać tylko Polak i katolik.

Projekt Głębińskiego wywołał dyskusje i spory w łonie samego ZL-N, doprowadzając do rozłamu w klubie parlamentarnym. W rezultacie w połowie 1919 r. spośród 109 posłów w klubie ZL-N pozostało tylko 54. Większość rozłamowców utworzyła Narodowe Zjednoczenie Ludowe. Jego lider, Edward Dubanowicz, był zdecydowanym zwolennikiem parlamentu dwuizbowego i wyboru prezydenta przez połączone izby. Argumentował, że wybór głowy państwa w głosowaniu powszechnym byłby sprzeczny z systemem rządów parlamentarnych. Prezydent miał pełnić funkcję reprezentacyjną, a rzeczywista władza wykonawcza byłaby skoncentrowana w rządzie. Ostatecznie za takim modelem opowiedziała się cała narodowa prawica. Endecy dążyli do osłabienia władzy prezydenta, obawiając się, że o urząd ten będzie się ubiegał Józef Piłsudski.

Główne zapisy

Konstytucja marcowa, wzorowana głównie na francuskiej ustawie zasadniczej, charakteryzowała się przewagą władzy ustawodawczej nad wykonawczą. Naczelnym organem władzy ustawodawczej był Sejm składający się z 444 posłów. Zdecydowanie mniejsze uprawnienia miał Senat liczący 111 senatorów. Kadencja obu izb parlamentu trwała pięć lat. Prawo głosowania do Sejmu przysługiwało wszystkim obywatelom, którzy ukończyli 21, a do Senatu 30 lat. Bierne prawo wyborcze (prawo wybieralności) mieli obywatele powyżej 25 (Sejm) i 40 lat (Senat).

Na czele władzy wykonawczej stał prezydent wybierany na siedmioletnią kadencję



Uroczysty pochód z Sejmu
do katedry św. Jana.
Warszawa, 17 marca 1921 r.

W SEJMOWYCH ŁAWACH SIEDZI, CZYLI GŁOSUJE PRZECIW KONSTYTUCJI, OGÓŁEM KILKUDZIESIĘCIU POSŁÓW: PRAWIE WSZYSCY SOCJALIŚCI, LUDOWCY Z PSL „WYZWOLENIE” ORAZ WIĘKSZOŚĆ POSŁÓW ŻYDOWSKICH

przez Zgromadzenie Narodowe (połączone izby Sejmu i Senatu). Reprezentował on państwo na zewnątrz, powoływał i odwoływał premiera, a na jego wniosek poszczególnych ministrów. Ponadto zwoływał, zamykał i odraczał sesje Sejmu i Senatu. Miał prawo rozwiązywania Sejmu, ale tylko za zgodą 3/5 Senatu. Nie miał jednak inicjatywy ustawodawczej ani prawa weta wobec uchwalanych ustaw. Celem wykonania ustaw miał prawo wydawać rozporządzenia wykonawcze, zarządzenia, rozkazy i zakazy, jednak każdy jego akt rządowy wymagał kontrasygnaty

premiera i odpowiedniego ministra. Prezydent mianował sędziów. Był też najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych, nie mógł jednak sprawować naczelnego dowództwa w czasie wojny. Na wniosek rządu, przedstawiony przez ministra spraw wojskowych, musiał wówczas mianować wodza naczelnego. Przysługiwało mu prawo łaski. Za zgodą Sejmu mógł wypowiedzieć wojnę i podpisać pokój oraz zawierać umowy z innymi państwami.

Ustawa zasadnicza gwarantowała ochronę życia, wolności i mienia, bez różnicy pochodzenia, narodowości, języka, rasy lub religii, dotyczyło to nawet cudzoziemców zamieszkających na terytorium Polski. Zapewniała wolność słowa, prasy oraz swobodę zawierania związków i stowarzyszeń. Mówiła o wolności sumienia i wyznania.

Krytyczne głosy wobec konstytucji marcowej i żądania jej rewizji, przede wszystkim ograniczenia uprawnień Sejmu na rzecz władzy wykonawczej, pojawiły się niemal nazajutrz po jej uchwaleniu. Co znamienne, głosy krytyki padały ze wszystkich stron sceny politycznej. W niewybrednych słowach konstytucję wielokrotnie atakował marszałek Piłsudski. Na wiadomość o jej uchwaleniu ówczesny Naczelnik Państwa miał wykrzyknąć z oburzeniem: „Konstytucja prostytutka!”. Po zamachu majowym z 1926 r. Sejm uchwalił tzw. nowelę sierpniową, która wzmacniała władzę wykonawczą wobec parlamentu. W 1935 r. prezydent Ignacy Mościcki podpisał nową konstytucję, tzw. kwietniową. Przyznawała ona prezydentowi nadrzędną pozycję, czyniąc go odpowiedzialnym wobec Boga i historii za losy państwa.

Maj



MICHAŁ
KOMUDA

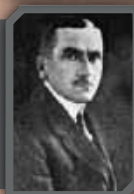
2/3 V 1921

100 lat temu po raz trzeci Górnoszlązacy powstali do boju za polskość Śląska. Wywalczony wówczas za wielką cenę sukces został podsumowany pięknymi słowami Wojciecha Korfanteo: „Cud nad Wisłą uratował Polskę od zguby, cud nad Odrą dał Polsce Śląsk”.



3 V 1891

Jako ówczesny działacz tajnej Ligi Polskiej 27-letni Roman Dmowski zorganizował w Warszawie wielką manifestację patriotyczną z okazji 100. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja. Akcja ta była częścią szerszego programu rozbudzania w znajdującym się pod zaborami społeczeństwie świadomości narodowej.



4 V 1981

Odbyła się premiera komedii Stanisława Barei „Miś”. Osadzone w przejęskrawionej, peerelowskiej rzeczywistości perypetie prezesa Ryszarda Ochódzkiego oraz wypowiedane przez aktorów dialogi do dzisiaj zachowały status kultowych.



11 V 1876

W swojej ukochanej Szczawnicy odszedł jej wielki popularyzator i główny twórca tamtejszego kurortu uzdrowiskowego Józef Szalay. Jego osobistym staraniom zawdzięczamy tak unikatowe skarby, jak wzniesienie szczawnickich budynków zdrojowych i pensjonatów, usystematyzowanie wód leczniczych, założenie parku Górnego, zainicjowanie mody na spływ przełomem Dunajca czy też budowa pierwszego fragmentu przepięknej Drogi Pienińskiej.

13 V 1901

W leżącym na terenie Imperium Rosyjskiego Ołóncu urodził się jeden z najdzielniejszych i najbardziej niezłomnych polskich żołnierzy płk Witold Pilecki. Niepodległej służył, walcząc w 1918 r. podczas wojny polsko-bolszewickiej, w kampanii wrześniowej, w strukturach konspiracyjnych podczas okupacji, w zorganizowanym przez siebie wewnątrz KL Auschwitz tajnym Związku Organizacji Wojskowej, w powstańczym Zgrupowaniu „Chrobry II”, w szeregach Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i wreszcie w podziemiu antykomunistycznym.



14 V 1941

W ramach zwalczania polskiej świadomości narodowej, niemiecki sekretarz stanu Generalnego Gubernatorstwa Josef Bühler wydał następujące rozporządzenie: „Z wszystkich publicznych budynków służbowych, włączając szkoły, należy natychmiast usuwać wszystkie przedmioty [...], które są zdadne wzmacniać w Narodzie pamięć Piłsudskiego lub ją utrzymywać i przez to dążeniu narodowemu Polaków dodawać dalszego impulsu”.



16 V 1811

W trakcie bitwy pod Albuerą walczący u boku napoleońskich wojsk polski pułk Ułanów Nadwiślańskich z brawurą rozbił brytyjską brygadę kawalerii, zdobywając aż pięć wrogich sztandarów. W uznaniu męstwa Polacy zostali odznaczeni licznymi krzyżami Legii Honorowej, a ich dowódcę Jana Konopkę awansowano na generała.



30 V 1901

W Warszawie przyszedł na świat niezwykle popularny polski piosenkarz Mieczysław Fogg. Będąc wykonawcą niezliczonych szlagierów, jednocześnie walczył w wojnie polsko-bolszewickiej, uczestniczył w powstaniu warszawskim oraz został uhonorowany tytułem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.



5 V 1821

Przetrzemywany w odległości aż 7 tys. km od Paryża zmarł w osamotnieniu były cesarz Francuzów Napoleon Bonaparte. Dla jednych był bogiem wojny, dla innych potworem korsykańskim, jednak dla Polaków przede wszystkim urzeczywistnieniem snu o odzyskaniu niepodległości.

Niezależnie od tego, czy z szeregów grenadierów gen. Pierre'a Cambronne'a wykrzyknęto „gwardia umiera, ale się nie poddaje!”, czy też zwykłe „merde!”, 18 czerwca 1815 r. na polach Waterloo dobiegła końca najważniejsza bitwa Napoleona. Wraz z poniesioną klęską nie tylko zakończyła się spektakularna próba odbudowy utraconej cesarskiej potęgi, lecz także marzenie zaprowadzenia napoleońskiego ładu w Europie. Pobity Bonaparte 21 czerwca dotarł do Paryża, gdzie dzień później zgodził się na swoją ostateczną abdykację. Pomimo beznadziejności położenia planował jeszcze wydostanie się drogą morską z Francji. Próby te jednak udaremnił Anglicy, którym pomógł jeden z wieloletnich ministrów cesarza, Joseph Fouché. W konsekwencji w połowie lipca człowiek, który jeszcze niedawno mianował i obalał europejskich władców, samodzielnie oddał się do brytyjskiej dyspozycji. Czyniąc to, nie przewidział, że kiedy wejdzie na pokład angielskiego okrętu, rozpocznie swoją ostatnią podróż. Trzy miesiące później, ku rozpaczy Napoleona, przewożący go HMS „Northumberland” dobił do brzegów odludnej, wulkanicznej wyspy św. Heleny. Brytyjczycy wybrali to odległe i zagubione wśród fal Atlantyku miejsce, aby były cesarz już nigdy nie mógł się wydostać ze swojego więzienia bez krat. O tym, jak bardzo obawiano się, aby Napoleon nie zdołał uciec z wyspy, świadczy to, że każdy jego ruch był śledzony przez kilkuset brytyjskich żołnierzy, a linii brzegowej pilnowały okręty. Początkowo został umieszczony w domu angielskiego kupca Williama Balcombe'a. Jednak ze względu na to, że gospodarz oraz jego rodzina niespodziewanie zaprzyjaźnili się z więźniem, Bonaparte został przeniesiony do położonego w wietrznej i wilgotnej okolicy, parterowego domu Longwood. Od tego momentu spędzał czas w gronie nielicznej świty. Co ciekawe, przez blisko rok jednym z jego towarzyszy był szwależer Karol Piątkowski, który nie tylko dobrowolnie udał się na wygnanie u boku swojego wodza, ale wcześniej, pomimo licznych odmów, zaciekle o nie zabiegał. Nie zmieniło to jednak tego, że słynący z niezrównanej energii i pracowitości Napoleon został zmuszony do przebywania w jednym miejscu i wykonywania codziennie tych samych czynności. Jego sytuację dodatkowo pogarszała służbistość gubernatora wyspy gen. Hudsona Lowe'a, który nadgorliwie ograniczał swobody więźnia. Wraz z upływem czasu geniusz wojny za-



czął przegrywać swoją ostatnią kampanię, którą przyszło mu stoczyć z monotonią i samotnością. Ostatecznie 15 kwietnia 1821 r. chroniczna depresja i fatalny stan zdrowia zmusiły Bonaparte'a do sporządzenia testamentu. Pamiątki, pieniądze i dobra będące jego własnością zapisał członkom rodziny, współpracownikom, oficerom, żołnierzom, a także francuskim miejscowościom, które doznały zniszczeń w trakcie walk. Zmarł 5 maja 1821 r. w wieku zaledwie 51 lat. Pozostawił po sobie wieczną legendę, która nierozzerwalnie zrosła się z dziejami Europy i Polski.

6 V 1921

100 lat temu w Kolbuszowej urodził się członek warszawskich Grup Szturmowych, jedna z ikon polskiego oporu podczas II wojny światowej, hm. ppor. Jan Bytnar „Rudy”.

Był synem legionisty i późniejszego więźnia KL Auschwitz oraz uczestniczki powstania warszawskiego. Ukończył słynne Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batoiego, a także należał do 23. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej. Po wybuchu wojny związał się z konspiracją, służąc początkowo w Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej. To wówczas wymyślił hasło sabotujące okupacyjne obwieszczenia: „Komendant Piłsudski powiedziałby: a my was w dupie mamy”. Następnie przystąpił do Związku Walki Zbrojnej oraz do Szarych Szeregów, w których objął dowodzenie Hufcem Ochota. W ramach małego sabotażu wykazywał się niestrudzoną inwencją i odwagą, zadając okupantowi kolejne ciosy w najbardziej ruchliwych miejscach Warszawy, m.in. rysując znak Polski Walczącej na stojącym w pobliżu siedziby gestapo pomniku Lotnika. Z końcem 1942 r. został dowódcą Hufca „Południe” warszawskich Grup Szturmowych, a następnie wziął udział w akcji „Wieniec II”. Na początku 1943 r. ukończył słynną konspiracyjną podchorążówkę Agricolę. Wraz z ojcem został zaaresztowany 23 marca. Pomimo poddania okrutnemu śledztwu nie zdradził towarzyszy, którzy trzy dni później odbili go w głośnej akcji pod Arsenalem. Niestety w wyniku brutalnych przesłuchań, jak wspominał jego przyjaciel, hm. Tadeusz Zawadzki „Zośka”, „nie można go było dotknąć w żadną część ciała. [...] W wielu miejscach strupy i zakrzepła krew. [...] Całe ciało było równomiernie rozbite”. Zmarł 30 marca, w wieku niespełna 22 lat. Historię Bytnara i jego przyjaciół opisał Aleksander Kamiński w „Kamieniach na szaniec”. Natomiast pseudonimy jeszcze raz stały się postrachem wroga, gdy Batalion „Zośka” i kompania „Rudy” walczyły na powstańczej Woli, Starym Mieście i Czerniakowie.



Czerwiec

5 VI 1981

Po 30-letniej nieobecności przyjechał do Polski triumfalnie witany Czesław Miłosz. Wizyta noblisty miała ważne znaczenie dla dokonujących się w kraju przemian wolnościowych i stanowiła psychologiczne wsparcie dla walczącego o swoje prawa społeczeństwa.



13 VI 1611

Po blisko wieku od utraty tej strategicznej twierdzy królewskie wojska zdobyły i ponownie przyłączyły do Wielkiego Księstwa Litewskiego Smoleńsk. Sukces osiągnięto w wyniku trwającego niemal dwa lata oblężenia.



17 VI 1501

W Toruniu, w trakcie przygotowań do wyprawy zbrojnej przeciw wielkiemu mistrzowi zakonu krzyżackiego, zmarł polski król Jan I Olbracht. W odróżnieniu od swojego, panującego przez blisko pół wieku ojca Kazimierza Jagiellończyka, był władcą przez niespełna dziewięć lat.



19 VI 1926

W Warszawie odbyła się premiera inspirowanej tematyką orientalną i antyczną opery Karola Szymanowskiego „Król Roger”.

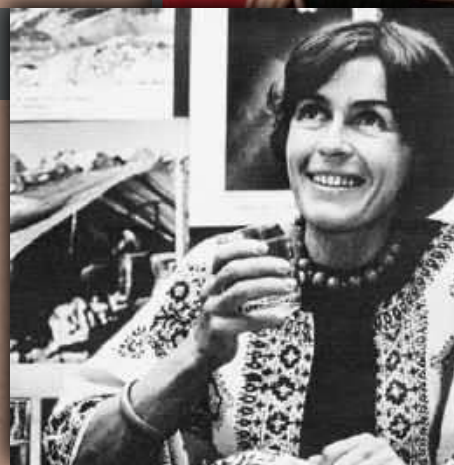


20 VI 1566

W szwedzkiej niewoli, w murach zamku Gripsholm, urodził się wnuk króla Zygmunta I Starego, syn Katarzyny Jagiellonki i Jana Wazy, przyszły władca Rzeczypospolitej, Zygmunt III Waza. Na polskim tronie zasiadał przez ponad 44 lata.

23 VI 1986

Wanda Rutkiewicz dokonała historycznego wyczynu, zdobywając K2 (8611 m), jeden z najbardziej niebezpiecznych ośmiotysięczników i jednocześnie najwyższy szczyt łańcucha Karakorum. Była pierwszą kobietą, która stanęła na szczycie, często nazywanym „Górą Mordercą”.



30 VI 1911

W Szetejniach na Litwie przyszedł na świat słynny polski poeta, ale także eseista, prozaik i tłumacz, Czesław Miłosz. W 1980 r. został uhonorowany literacką Nagrodą Nobla.

➤ 1 VI 1926

Zgromadzenie Narodowe większością głosów wybrało wybitnego polskiego chemika, prof. Ignacego Mościckiego na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Powierzoną funkcję piastował aż do kresu II RP i swojego internowania we wrześniu 1939 r. w Rumunii.

W wyniku bratobójczych walk i przewrotu, którego dokonano w maju 1926 r., dotychczasowy prezydent Stanisław Wojciechowski złożył dymisję, a jego następcą został Józef Piłsudski. Marszałek nie przyjął jednak tego stanowiska ze względu na zbyt małe uprawnienia przysługujące, w myśl konstytucji, głowie państwa. Jednocześnie wskazał na tę funkcję niezwiązanego z dotychczasową polityką kandydata jedności narodowej prof. Ignacego Mościckiego. Ten powszechnie szanowany naukowiec o patriotycznej karcie wywodził się z ziemiańskiej rodziny i charakteryzował dystygnowanym zachowaniem oraz staropolską prezencją. Pracując przez wiele lat na zagranicznych uczelniach i władając biegle językami francuskim oraz niemieckim, idealnie nadawał się do pełnienia funkcji reprezentacyjnych. Zgodnie z sugestią 1 czerwca dokonano wyboru nowego kandydata, a trzy dni później było jego zaprzysiężenie. Uroczystość odbyła się w Sali Asamblo-

wowej Zamku Królewskiego w obecności marszałka, premiera Kazimierza Bartla, przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego Macieja Rataja oraz najważniejszych osób w państwie i gości zagranicznych. Ceremonię zakończyło odebranie przez głowę państwa defilady 22 Pułku Piechoty. Prezydent Mościcki w trakcie sprawowania przez siebie urzędu wiernie realizował linię polityczną obozu piłsudczykowski.



➤ 28 VI 1956

Rankiem robotnicy poznańskich Zakładów Przemysłu Metalowego im. Józefa Stalina rozpoczęli strajk, domagając się obniżenia cen i poprawy warunków bytowania. Przed południem w kierunku protestujących trzymających polską flagę oddano pierwsze strzały, niebawem padli zabici.

11 lat po zakończeniu wojny komunistyczna władza cały czas utrzymywała narrację, w myśl której poprawienie boleśnie niskich standardów życia miało być możliwe jedynie dzięki coraz bardziej wytężonej pracy. Jednak wysiłek i wyrzecz-



nia nie przynosiły upragnionej zmiany na lepsze, a koszty utrzymania rosły. Pomimo wszechobecnego aparatu represji robotnicy upaństwowionych zakładów zaczęli formułować swoje żądania i domagać się ich wysłuchania. Próby rozmów kończyły się fiaskiem. W czwartek, 28 czerwca, po 6 rano pracownicy Zakładów Przemysłu Metalowego, zamiast podjąć pracę, utworzyli pochód pod hasłami obniżenia cen i podniesienia wynagrodzenia. Do protestujących dołączali się robotnicy kolejnych poznańskich fabryk i przedsiębiorstw, przechodnie, młodzież oraz dzieci. Do pierwotnych postulatów doszły żądania przywrócenia wolności i zrzucenia sowieckiej dominacji. Protesty pod gmachami Prezydium Miejskiej Rady Narodowej i Komitetu Wojewódzkiego PZPR nie przyniosły efektów. Nikt nie chciał konstruktywnie rozmawiać z rozgoryczonym, liczącym już kilkadziesiąt tysięcy ludzi zgromadzeniem. Protestujący wtargnęli do siedziby KW PZPR, a następnie do kolejnych obiektów rządowych. Przed 11 opanowano więzienie, w którym następnie zdobyto broń palną. Część pochodu ruszyła pod budynek WUBP. W jego szeregach szły, niosąc polską flagę, trzy młode konduktorki Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego. To właśnie w ich kierunku padły pierwsze strzały ze strony funkcjonariuszy UB. Flaga zabarwiła się krwią bezbronných kobiet. Wydarzenie to stało się kroplą, która przełamała czarę goryczy. Na ulicach Poznania oraz okolicznych miejscowości rozpoczęły się regularne walki. Reżim do spacyfikowania miasta użył dwóch dywizji piechoty i dwóch dywizji pancernych wyposażonych w czołgi. Poznańskie powstanie utopiono we krwi. Po stronie protestujących poległo aż 49 osób, wśród nich zaledwie 13-letni Romek Strzałkowski. Kolejnych kilkadziesiąt zostało rannych. Dzień później premier PRL Józef Cyrankiewicz w przemówieniu radiowym powiedział: „Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie [...]”. Ponurym symbolem czerwcowej zbrodni i postępowania władz były późniejsze losy wspomnianych kontrolerek. Ciężko ranna Helena Przybyłek została poddana amputacji nogi. Lekko ranne Stanisława Sobańska i Maria Kapturska zostały niebawem zaaresztowane i poddane brutalnemu śledztwu. Na skutek bicia przez funkcjonariuszy obie utraciły zdrowie. Po latach Kapturska wspominała: „Byłam już tak zmaltretowana, że nie można mnie było poznać...”.

Opracował Michał Komuda

PIERWSZA NOWOCZESNA KONSTYTUCJA W EUROPIE



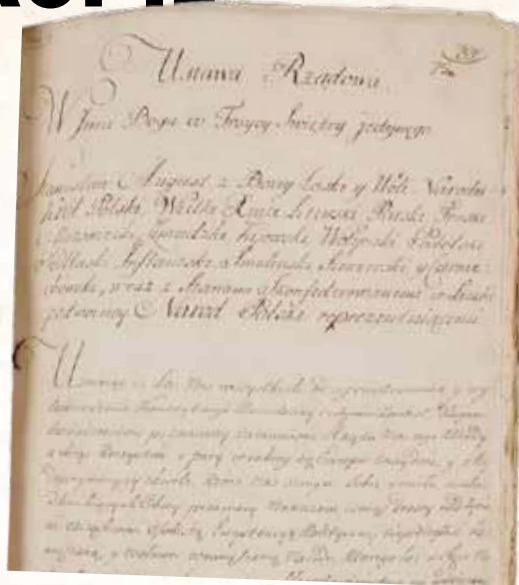
„UZNAJĄC, IŻ LOS NAS WSZYSTKICH OD UGRUNTOWANIA I WYDOSKONALENIA KONSTYTUCYI NARODOWEJ JEDYNIIE ZAWISŁ [...], DLA DOBRA POWSZECHNEGO, DLA UGRUNTOWANIA WOLNOŚCI, DLA OCALENIA OJCZYZNY NASZEJ I JEJ GRANIC, Z NAJWIĘKSZĄ STAŁOŚCIĄ DUCHA NINIEJSZĄ KONSTYTUCYJĘ UCHWAŁAMY I TĘ CAŁKOWICIE ZA ŚWIĘTĄ, ZA NIEWZRUSZONĄ DEKLARUJEMY”. (USTAWA RZĄDOWA, 3 MAJA 1791 r.)



JACEK KROCHMAL

W ieści napływające z Warszawy były fatalne. Pruski minister spraw zagranicznych Ewald Hertzberg, autor planu zamienno, na którego mocy Polska miała odzyskać od Austrii część Galicji, w zamian oddając Prusom Gdańsk, Toruń i część Wielkopolski, był załamany. 12 maja 1791 r. pisał: „Polacy zadali cios ostateczny monarchii pruskiej, wprowadzając tron dziedziczny i ustanawiając konstytucję, która warta więcej niż angielska”. Fatalne skutki polskich reform dla polityki pruskiej dostrzegali też król Fryderyk Wilhelm II. Ten jednak dobrze odgrywał rolę sojusznika i przyjaciela Polski, dlatego 23 maja 1791 r. wysłał do Stanisława Augusta list, gratulując uchwalenia przez sejm zasady dziedziczności tronu w Rzeczypospolitej. Reakcje innych dworów były lepsze. Polską konstytucję zmieniającą ustrój państwa chwalono za zręczne połączenie nowoczesności z umiarkowaniem reform wprowadzanych na drodze parlamentarnej, co bardzo odróżniało ją od krwawej drogi wybranej przez rewolucyjną Francję. Przychylnie do polskich przemian odnosili się dwór wiedeński cesarza Leopolda II i papież Pius VI. Prace Sejmu Wielkiego relacjonowały gazety zagraniczne, w tym „Gazeta Lejdejska”, prasa francuska i angielska, zamieszczające tłumaczenie tekstu konstytucji. Udział w jej rozpropagowaniu miał pol-

ski ambasador w Londynie Franciszek Bukaty, który wystarał się o angielskie wydanie książkowe konstytucji. Jej doniosłość chwalili twórcą nowoczesnego konserwyzmu Edmund Burke oraz ambasador amerykański w Paryżu Thomas Jefferson, późniejszy prezydent USA. Nie wszędzie jednak Konstytucja 3 maja zyskiwała aplauz. Z rezerwą odniósł się do niej elektor saski Fryderyk August I, jej bezwiedny beneficjent wymieniony jako następca Stanisława Augusta na tronie polskim, który otąd miał być dziedziczny. Występując w takiej roli, elektor bał się gniewnej reakcji Prus, choć potem skorzystał z zapisów konstytucji, gdy w 1807 r. objął tron Księstwa Warszaw-



Egzemplarz Ustawy Rządowej z tzw. Metryki Litewskiej

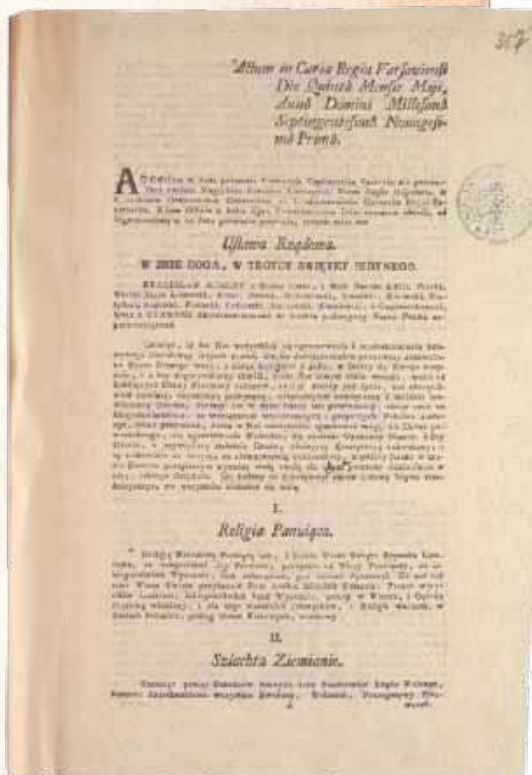
Uniwersał marszałków sejmowych Stanisława Małachowskiego i Kazimierza Sapiehy o uchwaleniu konstytucji



skiego. Krytyczni wobec polskiej konstytucji byli francuscy jakobini, niechętnie oceniający pozostawienie w niej ustroju monarchicznego. Z wizją utraty protektoratu nie mogła się pogodzić Rosja, która po chwilowym uwikłaniu w wojnę turecką wkrótce wróciła do roli gwaranta „dawnych porządków” nad Wisłą.

Co zatem było powodem takiego zainteresowania reformami zachodzącymi nad Wisłą? Uchwalona 3 maja 1791 r. konstytucja miała znaczenie rewolucyjne, pokojowo zmieniając ustrój państwowy. Rzeczpospolita stała się monarchią konstytucyjną. Przemiany zachodzące w państwie polsko-litewskim były kamieniem milowym porównywalnym do zmian wprowadzonych przez unię lubelską. Powszechnie mówiono o „rewolucji”, co oznaczało przemianę („obrót”), było więc terminem odmiennym od tego, jaki nadano rewolucjom we Francji czy w Rosji. Z doniosłego znaczenia aktu 3 maja 1791 r. dobrze zdawali sobie sprawę jego twórcy, dlatego nie nazwali go „konstytucją”, bo tak od wieków określano każdą ustawę sejmową, ale zatytułowano go Ustawą Rządową. Terminem „rząd” w XVIII-wiecznej polszczyźnie określano ustrój, a zatem Ustawa Rządowa była konstytucją, czyli ustawą zasadniczą regulującą podstawowe kwestie ustroju państwa, organizacji jego władz oraz prawa i obowiązki obywateli. Tekst konstytucji był retoryczno-prawnym majstersztykiem. Dokument dokonywał zasadniczych zmian w państwie o stanowej strukturze społecznej, w pełni korzystając z dorobku myśli oświeceniowej, przede wszystkim wprowadzając monteskiuszowski trójpodział władzy na ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. W zawołowany sposób likwidował przejawy przestarzałej i źle interpretowanej wolności szlacheckiej: uprzywilejowanie stanowe, paraliżująca państwo wolna elekcja, konfederacje i liberum veto. Zamiast czytelnego zapisu o wprowadzeniu dziedziczości tronu napisano o wprowadzeniu tronu „elekcyjnego przez familie”, czyli dziedziczonego w jednej dynastii, pozbawiając praw rzesze szlacheckiej gołoty, wprowadzono artykuł o „szlachcie ziemianach”, jednocześnie dopuszczając mieszczan do swobód obywatelskich, a tolerancję wyznaniową ukryto w artykule nadającym wyznaniu katolickiemu prawa religii panującej, dodając zapowiedź ufundowania wotywniej świątyni Opatrzności

Bożej. Co warto podkreślić, twórcy konstytucji sami dobrowolnie ograniczali swe kompetencje i prerogatywy. Dobrym przykładem są zapisy dotyczące władzy królewskiej. Stanisław August zgodził się na okrojenie władzy monarszej, wybierając zasadę, że król panuje, ale nie rządzi. Jego rolę ograniczono do przewodniczenia radzie nazwanej Strażą Praw. Zdając sobie sprawę z uchwalenia konstytucji w atmosferze zamachu stanu, jej twórcy dopilnowali, by została ona ponownie zaakceptowana w formule „przez aplauz”, a następnie uprawomocniona przez wpisanie jej treści do urzędowych ksiąg



Druk konstytucji wpisanej do ksiąg grodzkich warszawskich

grodzkich. Konstytucja 3 maja nie kończyła reform Sejmu Czteroletniego, ale była aktem początkującym nowy system ustrojowy, dała podwaliny pod powstanie nowoczesnego narodu i społeczeństwa obywatelskiego. Znalazły się w niej odesłania do innych aktów (prawo o miastach) i zapowiedź uregulowań szczegółowych (kodeksy cywilny i karny). Dzięki temu konstytucja jest dokumentem niezwykle klarownym i krótkim (nawet na tle związanej konstytucji amerykańskiej), a przy tym zawiera wszystkie niezbędne regulacje. Długo uważano, że dokument składa

się ze wstępu i z 11 artykułów. Ostatnio udowodniono, że integralną częścią konstytucji jest także jej końcowa część zatytułowana „Deklaracja Stanów Zgromadzonych”, w której odwołano wszystkie dawne przepisy stojące w sprzeczności z konstytucją i nakazano posłuszeństwo jej przestrzegania. Szczególnie ważne było to w odniesieniu do wojska, które w ciągu miesiąca miało złożyć przysięgę na dochowanie jej wierności.

Mówiąc o dokumentach archiwalnych, zwykle pamiętamy o ich unikatowości wyrażającej się tym, że istnieje tylko jeden ich oryginalny egzemplarz. Inaczej jest w przypadku Konstytucji 3 maja, w stosunku do której można mówić aż o czterech oryginalnych egzemplarzach, choć każdy z nich jest odmienny. Wszystkie znajdują się w AGAD w Warszawie. Dwa pierwsze to rękopiśmienne wersje wpisane do tzw. Metryki Litewskiej oraz księgi z Archiwum Publicznego Potockich. Trzecim egzemplarzem jest drukowany odpis urzędowej oblaty konstytucji wniesionej 5 maja 1791 r. do warszawskich ksiąg grodzkich. Do niedawna historykom nieznany był czwarty egzemplarz konstytucji, na którym pracowano podczas obrad sejmowych, czego dowodem są dopiski i zmiany wprowadzane bezpośrednio przed uchwaleniem konstytucji. Egzemplarz ten znajduje się w jednej z ksiąg Archiwum Sejmu Czteroletniego. Po upadku powstania listopadowego archiwum to wywieziono z Warszawy do Rosji, skąd powróciło dopiero w 1964 r. Tak długa nieobecność w polskich zbiorach publicznych była przyczyną braku wiedzy edytorów i historyków o pełnej treści Konstytucji 3 maja, której integralną część stanowiła wspomniana deklaracja.

Konstytucja 3 maja otworzyła Rzeczpospolitą drogę do odzyskania suwerenności. Niestety po 14 miesiącach jej obowiązywania przemiany, jakie zapoczątkowała, zostały brutalnie przerwane przez interwencję rosyjską i rządy targowiczanki. Pamięć o konstytucji jednak przetrwała. 29 kwietnia 1919 r. sejm przyjął ustawę o ustanowieniu „po wieczne czasy” święta narodowego w dniu 3 maja. Przechowywane w AGAD dokumenty konstytucji wpisano na listę krajową programu UNESCO „Pamięć Świata”, a w 2015 r. Komisja Europejska przyznała im prestiżowy Znak Dziedzictwa Europejskiego.

Z ALBUMÓW WILEŃSKIEGO OFICERA II RP



Archiwum
Akt
Nowych



**RAFAŁ
KIERZKOWSKI**

Ukryte w szufladach i walizkach świadectwa życia, pracy i służby poszczególnych osób, ratowane przez samych właścicieli lub ich rodziny, potrafiły ocaleć z najgorszej pożogi. Nierzadko bowiem w dramatycznych okolicznościach, kiedy już łomotały w drzwi kolby NKWD i trzeba było zdecydować, czy zabrać trochę jedzenia i ubrań, czy też rodzinny album i pamiątki, wielu kresowych wysiedleńców wybierało to, co dla kolejnych pokoleń miało stanowić podstawę ich tożsamości. Do gatunku takich właśnie rodzinnych relikwii należą albumy ppłk. Stanisława Truszkowskiego, przekazane jesienią 2019 r. przez jego córkę Krystynę Truszkowską-Semmler do zasobu Archiwum Akt Nowych.

Wrześniowe boje pod Różanem i Kałuszynem

Szlak bojowy II wojny światowej Stanisław Truszkowski rozpoczął już we wrześniu 1939 r. w stopniu kapitana, służąc jako dowódca baterii w 1 Pułku Artylerii Lekkiej Legionów – jednym z oddziałów garnizonu wileńskiego. Jako zawodowy oficer pułku mieszkał wraz z rodziną w Wilnie, należąc przez lata do społecznej elity miasta. To tam 24 sierpnia, od pierwszych godzin mobilizacji, koordynował formowanie z rezerwistów swojej przyszłej baterii. Nadzorował osobiście przydział koni, zaopatrywanie i wydawanie uzbrojenia, a następnie transport swojego pododdziału z wileńskiego Landwarowa aż nad Narew, linię obronną, którą obsadzić miała 1 Dywizja Piechoty Legionów. Od 5 września brał udział w obronie Różana, wspierając ogniem artylerii obronę przedmościa.

TAM, GDZIE WOJNA SPALIŁA ARCHIWA MIEJSKIE I CENTRALNE ARCHIWA PAŃSTWOWE, POZOSTAŁĄ PO NICH PUSTKĘ UZUPEŁNIAJĄ MATERIAŁY, KTÓRYCH ŻADEN Z OKUPANTÓW NIE BYŁ W STANIE CAŁKOWICIE ZNISZCZYĆ. SĄ NIMI ARCHIWA RODZINNE – NIEWYCZERPANE ŹRÓDŁO WIEDZY O HISTORII POLSKI PISANE Z PERSPEKTYWY AKTYWNYCH UCZESTNIKÓW WYDARZEŃ



1.



2.

1. Kpt. Stanisław Truszkowski
2. Krystyna Truszkowska-Semmler
3. Kpt. Stanisław Truszkowski z córką



3.

W krytycznym momencie walk na prośbę ppłk. Czesława Rzedzickiego objął nawet okresowo funkcję dowódcy artylerii 115 Pułku Piechoty. Chcąc zorganizować możliwość prowadzenia ognia przez własną artylerię, jadąc motorem pod ostrzałem nieprzyjaciela, dotarł na pierwszą linię, aby zorientować się w sytuacji. Potem wobec braku łączności docierał do poszczególnych baterii, podając im koordynaty do prowadzenia ostrzału. Następnie już ze swoją macierzystą jednostką brał udział w obronie Pułtusza i walkach o przeprawy przez Bug pod Wyszkowem. W krwawej bitwie pod Kałuszynem 12 września stracił młodszego brata ppor. Tadeusza Truszkowskiego, który dowodził 9 kompanią III batalionu

6 Pułku Piechoty Legionów. Kolejną ciężką walkę stoczył kpt. Truszkowski pod Seroczynem, w boju spotkaniowym zwalczając, prowadzonym z podległych dział ogniem na wprost, niemieckie wozy pancerne. W następnych dniach, osamotniony przez inne oddziały, przedzierając się ze swoją baterią w coraz gorszej sytuacji taktycznej pod Stoczkiem Łukowskim otoczony przez nieprzyjaciela, dostał się do niewoli. Przeżywał w niej zaledwie kilka dni. Wraz z kilkoma żołnierzami wyrwał się z kolumny jenieckiej i korzystając z pomocy ofiarnej ludności Podlasia, rozpoczął przedzieranie się do swego domu. Do Wilna.



Fotografie z życia
i służby wileńskiego
garnizonu



Partyzanci wileńskich puszc

Po powrocie do Wilna, pod okupacją sowiecką, litewską, a następnie niemiecką, jako były oficer garnizonu, ukrywając swą prawdziwą tożsamość, podjął się pomocy w budowaniu struktur ZWZ-AK. Werbował przedwojennych znanych sobie żołnierzy artylerii. W styczniu 1942 r. przeniósł się w rejon Lidy, do miejscowości Bieniakonie, gdzie z polecenia delegata Komendy Nowogródzkiego Okręgu Armii Krajowej kpt. Władysława Stawowskiego „Sawy” rozpoczął formowanie przyszłego batalionu. Na głowie kapitana była organizacja zaopatrzenia, uzbrojenia, łączności i prowadzenie szkoleń. Wszystko to robił, mieszkając z ośmioletnią córeczką Krystyną, która swoją obecnością pomagała w zakonspirowaniu prawdziwej działalności ojca. W tym czasie opiekował się też zbiegłą z wileńskiego getta młodą Żydówką. Podległe pod „Sztremera”, bo taki przyjął pseudonim Stanisław Truszkowski, drużyny żołnierzy prowadziły działalność dywersyjną i sabotażową, uniemożliwiały Niemcom ściąganie kontyngentów i niszczyły wrogie patrole. Pod jego komendą trafiła gmina Ejszyski,

a pod jego nadzorem był również oddział partyzancki por. Stanisława Szabunia „Licha”, z którym zaplanował i poprowadził akcję na zajęty przez litewskich kolaborantów zameczek i folwark Gojcieniszki, zakończoną likwidacją wrogiej załogi i zdobyciem dużej ilości broni. W kwietniu 1944 r. po częściowej mobilizacji swego batalionu przeprowadził „Sztremer” atak na garnizon niemiecko-litewski w Bieniakoniach, wypierając część sił nieprzyjaciela i doprowadzając do wymiany jeńców. Biuro Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej przekazało meldunek o tej bitwie na Zachód, dzięki czemu rozślawiło ją nawet londyńskie radio. V batalion „Irena” 77 Pułku Piechoty Armii Krajowej opłanywał swój obszar, niszcząc patrole niemieckie i litewskie oraz staczając kilkakrotnie potyczki z agresywną partyzantką sowiecką i grupami żydowskimi, współodpowiedzialnymi za mord na polskiej ludności w Koniuchach. Chcąc zakończyć proceder rabowania polskiej ludności, dowódca batalionu starał się również załagodzić postawy partyzantów sowieckich. Do ważniejszych akcji partyzantów podległych awansowanemu na majora „Sztremerowi” należy zaliczyć także wykonywane przez cały maj i czerwiec 1944 r. na szosach pod Bieniakoniami zasadzki, w które kilkakrotnie wpadały kolumny niemieckie, oraz atak na niemiecki pododdział z 350 pułku piechoty Wehrmachtu kwaterujący w Podwaryszkach, zakończony zdobyciem sporej ilości broni i wyposażenia. Przez całą wiosnę 1944 r. aż do lipcowej operacji „Ostra Brama” podle-

gający mjr. Stanisławowi Truszkowskiemu batalion kontrolował znaczną część Puszczy Rudnickiej będącej w tym czasie małym fragmentem wolnej od nieprzyjaciela, niepodległej Polski. Zapłacił za to aresztowaniem przez Sowietów i zesłaniem do Riazania, z którego zdołał powrócić.

Albumy wileńskiego oficera...

Ppłk Stanisław Truszkowski pozostawił po sobie obszernie wojenne relacje zawarte w książkach „Mój wrzesień” i „Partyzantkie wspomnienia”. W rodzinnym zbiorze pomimo wysiedlenia z Wilna przetrwały jednak również unikatowe albumy fotografii z okresu przedwojennej służby w wileńskim garnizonie. Koszarowe życie, pełne ćwiczeń, rozkazów, komend, musztry i regulaminów, nie zostawiało zbyt wiele czasu na dokumentowanie życia codziennego. Tym większą wartość mają fotografie wykonane w krótkich chwilach wytchnienia między zajęciami, uwieczniające obrazy, które bez tego bezpowrotnie zginęłyby na przedwojennych poligonach II RP. Albumy ppłk. Stanisława Truszkowskiego dokumentują wszystkie możliwe aspekty żołnierskiego żywota, zarówno oficarskiego, jak i codziennej służby podoficerów i szeregowych. Dominują fotografie z ćwiczeń poligonowych na Wileńszczyźnie oraz w Centrum Wyszkożenia Artylerii w Toruniu, prowadzenia strzelań, topografii, ale też odpoczynku, formowania taborów, posiłków, a nawet robionych sobie wzajemnie żartów. Na dziesiątkach fotografii uwiecznione zostały dla badaczy i pasjonatów wojska II RP unikatowe obrazy garnizonowego i poligonowego życia i służby żołnierza Wojska Polskiego wraz z wyposażeniem, uzbrojeniem i warunkami bytowania. Dużą część zbioru stanowią również zdjęcia rodzinne, pokazujące ludzką stronę etosu oficera Wojska Polskiego, jako męża i ojca.

Dzięki ppłk. Stanisławowi Truszkowskiemu i jego córce pani Krystynie Truszkowskiej-Semmler obraz przedwojennego wileńskiego garnizonu i życia jego żołnierzy, trafiając do zasobu Archiwum Akt Nowych, czeka na odтворzenie przez badaczy historii Wilna i Wojska Polskiego II RP.

DUSZA KONTUSZA



Hetman Stanisław
Koniecpolski



Krzysztof
Opaliński

STAROPOLSKA FEMME FATALE?

ZOFIA Z OPALIŃSKICH BYŁA JEDYNIĘ OFIARĄ SROGIEGO
LOSU, KTÓRY DWUKROTNIĘ POZBAWIŁ JĄ SZANSY NA
WYPRÓBOWANIE SZCZĘŚCIA RODZINNEGO ŻYCIA

HENRYK
LITWIN

Kiedy 16 lutego 1651 r. zmarł Samuel Karol Korecki, ostatni przedstawiciel kniaziewskiego rodu wywodzącego się od Giedyminowego syna Narymunta, Rzeczpospolitą obiegła wieść o przekleństwie rzuconym jakoby na jego kilka dni wcześniej poślubioną małżonkę Zofię z Opalińskich primo voto Koniecpolską. Plotkę wywołała złowroga zbieżność faktów, poprzedni bowiem mąż Opalińskiej, hetman Stanisław Koniecpolski, również zmarł rychło po ślubie z Zofią. Po śmierci Koreckiego szerzyły się różne mniej lub bardziej sensacyjne wersje dramatu, na ogół z wdową w roli głównej postaci negatywnej. Wśród ukraińskich dido-
-lirników zaczęła się wówczas szerzyć znana i w XIX w. pieśń o Laszce-diablicy, która sprowadziła zgubę na sławny kniaziewski ród. W istocie jednak przyczyną owej zguby była kozacka kula, która zraniła kniazia pod Zborowem (1649) i jego własne zaniedbanie odpowiedniego leczenia.

W rodzinie literatów

Księżna Korecka wywodziła się z zamożnej i wpływowej wielkopolskiej rodziny Opalińskich, w której często pojawiało się także zamiłowanie do działalności piarskiej. Dziad Zofii, kasztelan rogoziński Jan, był znany jako „miłośnik książek”. Ojciec Piotr i stryj Jan, obaj wojewodowie poznańscy, sami parali się piórem. Janowi śmierć (1637) nie pozwoliła dokończyć monumentalnego dzieła – przekładu „Annales” Tacyty na język polski, Piotr zaś był twórcą łacińskiej poezji. W następnym pokoleniu intelektualne ambicje Opalińskich uległy ugrunтовaniu. Bracia Zofii, Krzysztof i Łukasz, obok kariery senatorskiej zajmowali się literaturą. Krzysztof, wojewoda poznański, był autorem „Satyr...” wydanych anonimowo w 1650 r., wierszowanego traktatu o „na-
-prawie rządu i obyczajów w Polsce”, w którym – jak pisali złośliwi współcześni (a za nimi Henryk Sienkiewicz) – „udawał Katona”. Krzysztof był jednym z głównych sygnatariuszy haniebnej kapituła-

cji przed Szwedami pod Ujściem (1655) i miał nieszczęście umrzeć niedługo potem z niezmażaną opinią zdrajcy, podczas gdy inni stronnicy szwedzcy z pierwszego okresu potopu, którzy zmienili front w ciągu następnego roku, zasłużyli na przebaczenie historii, a niektórzy nawet weszli do narodowego panteonu – jak późniejszy król Jan Sobieski. Brat Krzysztofa Łukasz Opaliński, marszałek nadworny koronny, był znanym erudytą i poliglota, znawcą łaciny, greki i hebrajskiego. Jego najbardziej znanym dziełem była „Polonia defensiva...”, traktat polemiczny zbijający argumenty nieprzychylnej Polsce oceny zawartej w dziele Jana Barclaya „Icon animorum” (Londyn 1614), ale do historii przeszedł dzięki swej publicystyce politycznej i śmiałym projektom reformy sejmu, wzmocnienia miast, zamiany systemu pańszczyźnianego na czynszowy, by wymienić jedynie najciekawsze.

Szczęśliwym trafem zachowała się część korespondencji prywatnej Krzysztofa i Łukasza Opalińskich, a mianowicie listy wojewody poznańskiego do brata z lat 1641–1653, które udostępniła historykom i hobbystom znakomita edycja z roku 1957. Jest ona istną kopalnią wiedzy o kulturze i obyczajowości polskiej połowy XVII w., ale niejako przy okazji stanowi też okno, przez które możemy obserwować życie rodzinne Opalińskich, w tym życiowe perypetie młodej panny czekającej na zameście (1641–1646). Dzięki temu jesteśmy w stanie sporo powiedzieć o Zofii Opalińskiej w okresie panieńskim.

Dobra partia, ale grymaśna

Krzysztof Opaliński był w latach 40. XVII w. prawnym opiekunem najmłodszej z rodzeństwa Zofii i przypadającej na nią części rodzinnego majątku. Los dwóch starszych sióstr był w tym czasie uregulowany: Anna była żoną Stanisława Przyjemskiego, marszałka nadwornego koronnego, Franciszka zaś zakonnicą benedyktyńską. Zameście Zofii było niezmienną troską Krzysztofa, który często dzielił się swoimi rozterkami z bratem. Aktywa matrymonialne Zofii stanowiły: wysoka pozycja rodziny w Wielkopolsce i przy dworze, zamożność i sławiona szeroko uroda. Atrakcyjność tej partii wzmocniała rozpowszechniona w Rzeczypospolitej opinia, zgodnie z którą Opalińscy byli „światowcami” stanowiącymi wzór

paryskiej mody, która zaczynała już swe panowanie w Rzeczypospolitej, a miała zatriumfować w epoce królowej Ludwiki Marii Gonzagi, małżonki Władysława IV i Jana Kazimierza.

Obserwację polityki małżeńskiej Opalińskich możemy zacząć w 1641 r., kiedy Zofia miała zapewne ponad 20 lat, a zatem zgodnie z pojęciami epoki mogła być już narażona na opinię starej panny. W każdym razie Krzysztof zdawał sobie sprawę ze skutków upływu czasu: „Panna w lata idzie. Owe pięknej pletki (czyli cery) i połowice już nie masz” – pisał do brata o Zofii w 1643 r. Jednocześnie rodzina nie miała złudzeń co do charakteru rynku matrymonialnego tych czasów, rozumiejąc, że typowy kawaler „cherche son mariage et non pas de la fille” (szuka ożenku, a nie narzeczonej). Konkurenci wciąż się jednak pojawiali, tyle że panna niezmiennie grymasiła. W 1643 r. Krzysztof namawiał siostrę do przyjęcia oświadczyń Ludwika Weihera, ale Zofia odrzekła, że „żadnym żywym i wymyślonym sposobem za niego nie pójdzie”, prosiła, aby bracia byli cierpliwi, „póki fata nie pokażą pożądańszych stanowi jej kondycji”, „a wszystko to cum tali affectu et lacrimis, że mi (Krzysztofowi) się serce dobrze nie rozpadło”. Panna opierała argumentem rodowej dumy, której mógł nie zaspokoić związek z domem magnackim, ale stosunkowo „nowym” i wywodzącym się z Prus Królewskich. Jej rzeczywista motywacja mogła być bardziej osobista, gdyż z listów Krzysztofa wynika, iż była w tym czasie zainteresowana kandydaturą „sąsiada z Koźmina”, atrakcyjnego młodzieńca ze starej, choć umiarkowanej zamożnej rodziny wielkopolskiej, Jakuba Rozrażewskiego. Epuzer zaskoczył jednak wszystkich i ożenił się z owodniałą właśnie starszą siostrą Zofii, Anną. Panna przeżyła to boleśnie. Nie chciała uczestniczyć w uroczystościach ślubnych siostry „lacrimae extorsit (łzami wymusiła), żem ją zostawił [w domu]”, pisał wówczas Krzysztof do brata. Miesiąc później informował Łukasza o siostrze „ustawicznie płaczącej”. Bracia mieli nadzieję, że inne konkury rozwieją żale po Rozrażewskim. Zamyślali, by wrócić do propozycji Weihera: „Chłop hoży, parentella w Prusiech wielka, dostatek pański”. Mieli i inne kandydatury, ale odnosili się do nich bez entuzjazmu: „A Służka co? Litwin sufficiat dixisse (wystarczy powiedzieć) i do Litwy żonę chce prowadzić, kędy – veteri verbo (jak mówi stare porzekadło) – żadnej cnotliwej [białogłowy] >>

» nie masz”. Jak widzimy, w wielokulturowej Rzeczypospolitej pojawiały się też uprzedzenia i schematy. Zofia nie chciała słyszeć o Weiherze i innych kandydatach, a Krzysztof coraz bardziej na nią narzekał: „Pannę zaś nie wiem, jeśli nie za pychę karze Pan Bóg”, biadał w jednym z listów, opisując, jak odmówiła tańca niejakiemu Strzałkowskiemu, bo „nie powinna na służę braterskie przychodzić”. Wojewoda potępiał ten uczynek siostry z pozycji zwolennika szlacheckiego egalitaryzmu: „Aż sługa nie ślacheć? Aż przez to honor traci, że służy?”. Możliwe jednak, że nie dostrzegał wszystkich niuansów sytuacji „starzejącej się” panny „wysokiego rodu”, która zapewne bała się pomówień, że w desperacji jest gotowa na wszystko i może dlatego manifestowała poczucie wyższości.

Krótkotrwałe szczęście

Bracia wciąż tasowali karty z atrakcyjnymi kandydatami z takich rodów jak Zasławscy, Zamoyscy, Lubomirscy, ale żaden z nich nie wyraził swojego zainteresowania dostatecznie jednoznacznie, by robić panie nadzieję. Wreszcie los się odmienił. Latem 1645 r. Krzysztof zaczął otrzymywać sygnały, że ożenkiem z jego siostrą jest poważnie zainteresowany owdowiały właśnie Stanisław Koniecpolski, hetman wielki koronny i kasztelan krakowski, który „o wdowie nie myśli, a chce mu się młódki, co by dom jego potomkiem jednym i drugim uweseliła”. Hetman miał wówczas pięćdziesiąt kilka lat, ale był czynnym dowódcą wojskowym, spędzał większość życia na koniu, w obozie lub na polu bitwy i trudno było wątpić w jego tężyznę fizyczną. Jako pierwszy w kraju senator i najważniejsza po królu postać w Rzeczypospolitej zaspokajał ambicje rodowe, które były ważne i dla braci, i – jak widzieliśmy – dla samej Zofii. Opalińscy zareagowali więc pozytywnie na konkury Koniecpolskiego. Krzysztof cynicznie tłumaczył bratu, że „Stareńka tego trzeba zagrzać pokazaniem praepensi affectus (zewnątrznego uczucia)”. Pisał o hetmanie ironicznie i natrząsał się z różnicy wieku między przyszłymi małżonkami, ale nic nie wskazuje na to, by podobnie reagowała Zofia, która przecież potrafiła grymasić i stawiać na swoim. Tym razem zdecydowała się powiedzieć „tak” i najwyraźniej uznała konkury Koniecpolskiego za atrakcyjną ofertę. Dla młodej kobiety z kręgów arystokratycznych małżeństwo

ze znacznie starszym partnerem miało pewne zalety. Zyskiwało się bardzo wysoką pozycję społeczną i majątkową, a perspektywa pożycia małżeńskiego skutkującego perspektywą niezliczonych ciąż, porodów i poronień była w takim przypadku istotnie skrócona. Wysokie prawdopodobieństwo owdowienia w wieku trzydziestu kilku lat także stanowiło pokusę. Wdowieństwo dawało (choć nie zawsze) ambitnym kobietom możliwość osiągnięcia stabilnej niezależności i samodzielności lub swobodniejszego wyboru małżonka. W każdym razie pierwsze dni małżeństwa zawartego w styczniu 1646 r. były dla obojga „państwa młodych” rzeczywiście miodowym okresem. Hetman pisał wtedy

**W CIĄGU SWEGO
KRÓTKIEGO ŻYCIA
MUSIAŁA SIĘ
MIERZYĆ GŁÓWNI
Z NIESZCZĘŚCIAMI
I NAZBYT CZĘSTO
WIDYWANO JĄ
„USTAWICZNIE
PŁACZĄCĄ”**

do podkanclerzego koronnego Andrzeja Leszczyńskiego, który doradził mu to małżeństwo: „Nie zawiodłeś mnie w tym, coś mi obiecywał w tym przyjacielu, któremu nabył i któremu Bogu nie zasłużył”. Niestety idylla trwała krótko. 11 marca 1646 r. Stanisław Koniecpolski zmarł. Po Rzeczypospolitej rozniosły się plotki. Odnosiły się najczęściej do różnicy wieku między małżonkami. Uległ im nawet wyważony zwykle kanclerz litewski Albrycht Stanisław Radziwiłł, który w swych pamiętnikach napisał: „Nie przystoi bowiem młoda żona dla starca, a że i piękna była, może po zbytnej miłości nadszedł smutek śmierci”. Jeszcze dosadniej wypowiedział się inny pamiętnikarz Joachim Jerlicz, według którego hetman zmarł „od konfortatywy, której zażywał dla młodej żony, a z którą przesadzono, bo mu aptekarz na raz kilka

był dał, co on razem zażył, i tak swego życia wiek dokonał”. Historycy powtarzają często wyjaśnienia Jerlicza, ale właściwie nie wiadomo, dlaczego mielibyśmy jego relację uznać za wiarygodną. Jerlicz był sobie skromnym szlachcicem z województwa kijowskiego i w sprawie śmierci Koniecpolskiego w Brodach miał dostęp jedynie do plotek. Wydaje się, że lepiej oprzeć się na słowach Stanisława Oświęcima, w latach 40. XVII w. marszałka dworu hetmana i jego zaufanego współpracownika, który jako przyczynę zgonu wskazał „stranguriae morbum”, czyli zablokowanie dróg moczowych, chorobę typową dla wieku Koniecpolskiego i często śmiertelną w skutkach.

Podwójne wdowieństwo

Jakkolwiek tłumaczono sobie śmierć hetmana, nie padały żadne oskarżenia wobec żony. Zofia pogrążyła się w smutku, który przyprawił ją wręcz o chorobę. Nie chciała wrócić pod opiekę braci i odrzuciła propozycję zamieszkania znowu u Krzysztofa. Ułożyła sobie stosunki z głównym spadkobiercą byłego małżonka, jego synem z poprzedniego małżeństwa Aleksandrem. Wiemy, że ten ostatni uregulował rachunki wynikające z umowy przedślubnej ojca z Opalińską, co zabezpieczyło jej status materialny, choć nie znamy szczegółów tej operacji. Pani kasztelanowa krakowska żyła gdzieś na Rusi w dobrach po mężu i oddawała się żałobie. Krzysztof tak pisał o niej do brata: „Cudownie byś ją WMć znalazł odmienną od siebie i prawie, prawie światem gardzącą”. Odrzucała małżeńskie oferty i już w roku 1647 „Koreckiemu ani się pokazała”. Wytrwałość kniazia w zabiegach o jej rękę została jednak w końcu nagrodzona i 6 lutego 1651 r. odbył się ślub Zofii z Koreckim. To małżeństwo trwało jednak – jak już wiemy – jeszcze krócej od poprzedniego. Zofia nie znalazła już sił na ponowne poszukiwanie szczęścia w małżeńskim związku. Pozostała na uboczu życia towarzyskiego i rodzinnego. Żyła gdzieś na prowincji w ciszy, a nawet zapomnieniu, bo liczne pamiętniki z tych czasów nie wspominają jej najdrobniejszą nawet wzmianką. Zmarła w roku 1657. W ciągu swego krótkiego życia musiała mierzyć się głównie z nieszczęściami i nazbyt często widywano ją „ustawicznie płaczącą”. W pamięci ludzkiej pozostała zaś jako bohaterka niesmacznych i oszczerczych plotek, które i dzisiaj powtarza się czasem bez zastanowienia.

KATARZYNA JAGIELLONKA



MAREK
BARAŃSKI

**NASZA BOHATERKA NIE BYŁA POLSKĄ
KRÓLOWĄ, ALE BYŁA CÓRKĄ KRÓLA POLSKI,
MATKĄ KRÓLA POLSKI, JEJ SIOSTRA ANNA
I BRAT ZYGMUNT TEŻ BYLI KRÓLAMI POLSKI**

Urodziła się w roku 1526 w Krakowie jako najmłodsza córka Zygmunta Starego i Bony. Pierwsze 22 lata swego życia pozostawała na dworze, a rodzice zadbali o to, aby dać jej solidne wykształcenie. Po śmierci ojca wraz z matką i dwiema siostrami wyjechała z Krakowa na Mazowsze i najczęściej przebywała w Warszawie. Dwie inne siostry królowy były już zamężne. Przyrodnia – Jadwiga poślubiła elektora brandenburskiego Joachima Hektora, a rodzona – Izabela w 1539 r. wyszła za mąż za władcę Węgier Jana Zapolę. Gdy w roku 1556 Bona wyjechała z Polski, brat Katarzyny, król Zygmunt August, sprowadził ją i jej siostrę Annę do Wilna na dwór wielkksiążęcy. W tym samym roku trzecia z sióstr, Zofia, wyszła za mąż za księcia Brunzswiku Henryka II.

Dwie najmłodsze córki Zygmunta długo pozostawały niezamężne. Co prawda w 1560 r. wielki książę moskiewski Iwan Groźny poprosił o rękę Katarzyny, ale jej brat nie zgodził się na to małżeństwo. Rok później do Krakowa przybyli posłowie brata króla Szwecji, księcia Finlandii Jana Wazy i rozpoczęli starania o rękę Katarzyny dla swego władcy. Małżeństwo to wzmocniłoby sojusz polsko-szwedzki przeciw Moskwie, na czym zależało królowi Polski ze względu na jego zaangażowanie w Inflantach. Zygmunt August znalazł się jednak w trudnym położeniu. Nie był przeciwny oddaniu ręki swej siostry Janowi, ale Katarzyna była młodsza od Anny, w tych czasach w zwyczaju było, aby wcześniej za mąż wychodziła starsza z sióstr. Nie chcąc przeszkadzać w zawarciu małżeństwa Katarzynie, a swemu bratu w zawarciu sojuszu ze Szwecją, Anna zrzekła się

pierwszeństwa i Zygmunt zgodził się na ten mariaż. Ślubu udzielili sobie małżonkowie w 1562 r. w katedrze wileńskiej, a po weselu wyjechali do Finlandii, gdzie w Turku znajdował się dwór Jana.

Małżeństwo to zaniepokoiło króla Szwecji Eryka XIV. Bał się on, że Jan na podstawie sojuszu z Zygmuntem Augustem usamodzielniał się i Finlandia przestała być szwedzką posiadłością. Uderzył więc na brata, obległ go w Turku, po zdobyciu zamku sprowadził do Sztokholmu i tam zamknął w więzieniu, Ka-

tarzynie zaproponował zaś wyjazd do Polski. Księżna, nie godząc się na to, postanowiła pozostać przy mężu nawet w więzieniu. Para książęca została zamknięta na zamku Gripsholm na jeziorze Melar. Tam w roku 1566 urodził im się syn Zygmunt.

W 1567 r. Eryk XIV rozpoczął rozmowy z Iwanem Groźnym, któremu chciał wydać Katarzynę. W zamian za księżniczkę Iwan proponował Erykowi sojusz przeciw Polsce. Rozmowy te zostały przerwane, gdyż możni szwedzcy zmusili monarchę do uwolnienia Jana i Katarzyny. Niedługo potem zdradzający objawy choroby psychicznej władca został zdetronizowany i uwięziony, a na tronie osadzony Jan. Koronacja Jana i Katarzyny odbyła się w 1569 r. w katedrze w Uppsali.

Choć Szwecja była krajem protestanckim, a Jan był wyznawcą doktryny Lutera, Katarzyna pozostawała katoliczką i wychowała syna Zygmunta na katolika. Natomiast urodzona w 1568 r. córka Anna została protestantką. Zachowała to wyznanie nawet wtedy, gdy zamieszkała w Polsce u swego katolickiego brata. Do końca życia królowej Katarzyny Szwecja utrzymywała

kontakty z papieskim Rzymem.

Być może pod wpływem żony król Jan też zaczął zbliżać się do katolicyzmu. Zreformował bowiem liturgię luterańską, upodabniając ją do liturgii katolickiej. Reforma ta upadła po jego śmierci. Trwalsze były wpływy renesansu, który dzięki królowej zaczął napływać do Szwecji.

W ostatnich latach życia Katarzyna chorowała. Umarła w 1583 r., została pochowana w katedrze w Uppsali. Król Jan wznosił dla zmarłej żony okazały renesansowy grobowiec.



PRZYPADAJĄCE W TYM ROKU
DWIE WAŻNE ROCZNICE:
DWUSETNA ZGONU
CESARZA FRANCUZÓW
ORAZ SETNA POKOJU
RYSKIEGO, SYMBOLICZNIE
WIEŃCZĄCEGO LATA OBRONY
PRZYWRÓCONEJ DO ŻYCIA
RZECZYPOSPOLITEJ,
DAJĄ SOLIDNY
ASUMPT, BY W OPARCIU
O DOTYCHCZASOWĄ
DYSKUSJĘ NA NOWO
PRZEMYŚLEĆ KWESTIĘ
NAPOLEON A POLSKA...

„Szarża w wąwozie Somosierry”,
mal. Wojciech Kossak



KRÓTKA HISTORIA SPORÓW O SOMOSIERRĘ



**DOMINIK
SZCZESNY
KOSTANECKI**

Jedno z podstawowych pól tej wielowektorowej debaty stanowi szarża pod Somosierrą – wydarzenie historyczne, a zarazem „miejsce pamięci”. To też jedno z najbardziej rozpoznawalnych, efektownych i brzemiennych w skutki polskich zwycięstw militarnych wieku XIX. Hiszpański wyczyn szwoleżerów gwardii doczekał się nie tylko licznych opracowań monograficznych, lecz również stanowił pożywkę dla artystów – głównie pióra i pędzla. Od samego też początku szarża wywoływała namiętne spory – w tym te o największym ciężarze gatunkowym.

Dlaczego właśnie ona? Wydaje się, że jej ocena – zwłaszcza ta najważniejsza,

moralna – w wymiarze jednostkowym wciąż dzieli rodzimą opinię publiczną bardziej niż inne wydarzenia epoki. I tak np. stosunek do wysłania polskich legionistów na San Domingo z różnych względów spotyka się z potępieniem, z kolei wyprawa na Rosję, a bardziej jeszcze zgoda na proklamację Królestwa Polskiego, cieszy się zrozumiałą sympatią. Z Somosierrą sprawa ma się inaczej: szarża dokonała się w dwuznacznym kontekście historycznym (Księstwo Warszawskie już istnieje, ale nikogo nie satysfakcjonuje) i etycznym (czy można walczyć o niepodległość, tłumiąc narodowe powstanie Hiszpanów?). Wobec upadku Napoleona szczególną rolę odegrał dylemat drugi, wyrażony już w 1815 r. przez poetę Kantorbereggo Tymowskiego: „Czemuż tak piękny wawrzyn krew bliźniego plami? / gromiliśmy nieszczęsnych, nieszczęśliwi sami”. Jakkolwiek piękny, był to jednak głos w swym umiarkowaniu dość odosobniony, na ogół bowiem – zwłaszcza w publicystyce – obierano stanowiska skrajne.

Współcześni pisali

Na powyższy konflikt racji nakłada się inny – szczególnie wyraźny w PRL. Chodzi, najkrócej rzecz ujmując, o cywilizacyjną przynależność Polski. My z Napoleonem, a w roku 1939 z zachodnimi aliantami? A może jednak my z Aleksandrem, czytaj: ze Związkiem Radzieckim? Wschodem Zachodu być winniśmy czy zachodem Wschodu? Czym innym bowiem odebrać z rąk cesarza Księstwo Warszawskie – namiastkę państwowości, zawsze lepszą niż polityczny niebyt; czym innym, świadomie wstępując do gwardii, liczyć się z koniecznością zagranicznej walki za sprawę w nieoczywisty sposób „naszą”. Opinie na ten temat, bardzo nierówne ilościowo, potrafiły się wzajemnie wykluczać. Andrzej Niegolewski, uczestnik szarży i pamiętnikarz, upatrywał w hiszpańskiej wojnie Napoleona element walki z europejskim ancien régime, który łatwo pogodził się z rozbiorami Rzeczypospolitej. Nad

trumną bohatera (dosłownie) Tytus Działyński replikował, że całe przedsięwzięcie nie służyło nam, ale „tyranowi” i w związku z tym wolałby żegnać Niegolewskiego jako weterana strony przeciwnej!

Niepoślednią rolę w somosierrskiej dyskusji odgrywa następny nierozstrzygnięty (nierozstrzygalny?) spór. Widzimy apologetów wojennego męstwa, świadczącego o umiłowaniu Ojczyzny. Józef Żałuski, kolejny szwoleżer pamiętnikarz, przekonywał w swych wspomnieniach, iż „narodu naszego honor był na popisie”. W tym ujęciu ofiara zdrowia, a nawet życia, służy wyższemu celowi – pierwszemu po Bogu obowiązki Polaka. Takiemu podejściu sprzeciwiali się rzecznicy oszczędzania narodowej krwi dla ważniejszych celów. Bodaj najwybitniejszy historyk emigracji polistopadowej, Joachim Lelewel, w latach 30. XIX w. argumentował:

„Ta okropna wojna wyciągnęła z Polski jej synów za dalekie góry i zostawiła ich własną ziemię prawie bez obrony w chwili najścia arcyksięcia Ferdynanda [podczas wojny w 1809 r. – D.S.K.]. Na marginesie dodajmy, że spór ten stanowił pochodną pytania o ocenę politycznych wyborów: Kościuszki nakazującego wstrzemięźliwość, dopóki Polska nie zostanie odbudowana w granicach z 1772 r. i ks. Józefa symbolizującego napoleońskiej opcji dozgonną wierność.

Legandy i upiększenia

Powyższemu rozszczepieniu narracji towarzyszyło pytanie, czy poniesione pod Somosierrą straty należy uznać za niewielkie, wpisane niejako w ryzyko zawodowe, czy też w listopadzie 1808 r. doszło do hekatomb, która aż prosi się o epitet „niepotrzebnej”. I chociaż w poważnej debacie niewiele dało się uczynić wobec siły faktów przytoczonych przez kronikarza pułkowego Pierre’a Dautancourta, piszącego o czterech poległych oficerach, w sumie zaś o 57 zabitych i rannych, to przykładano te liczby do różnych punktów odniesienia: wzmocnionej kompanii (realna siła uderzeniowa), szwadronu (siła nominalna), pułku, a nawet całej armii napoleońskiej gotującej się do zdobycia Madrytu. Dyskutujące strony próbował pogodzić Marian Brandyś, o ubytkach pisząc w następujący



Jan Leon
Hipolit
Kozietulski

sposób: „stanowiło to prawie 50% stanu liczbowego szarżujących [pododdziału liczącego 125 osób – D.S.K.] – a więc straty olbrzymie. Niemniej jednak było to najtańsze ze wszystkich dotychczasowych zwycięstw napoleońskich”.

O ile zagadnienia poległych, liczby i sposobu rozmieszczenia hiszpańskich armat, jak również liczebności wrogich wojsk pozostawały w sferze historycznej realności, o tyle obok nich powstawały legendy, dla których trudno znaleźć źródłowe uzasadnienie. Któż nie słyszał związanego z tym wydarzeniem powiedzenia „pijany jak Polak”, sugerującego, że nikt trzeźwy nie poważyłby się szarżować w tamtych warunkach? Według tradycji miałyby ono stanowić echo domniemanego okrzyku Napoleona: „Chciałbym, żeby wszyscy moi żołnierze byli tak pijani”. Genezę tych bon motów próbowała zbadać Anna Chruścińska w artykule „Saoul comme un Polonais...”, jednak doszła do wniosku, że pamięć o okolicznościach ich powstania uległa zatraceniu. Podobnie jak powtarzana do dzisiaj anegdota, jakoby Kozietulski, zagrzewając swych podkomendnych, wrzasnął: „Naprzód psiekrwie, cesarz patrzy”. Przywołał ją jednak Wacław Gąsiorowski w poczynym „Huraganie”... i tak już zostało.

Powyżej omawiane kontrowersje owocujące różnymi rodzajami pamięci – nawet ta dotycząca miejsca Polski w Eu-

ropie – mieściły się jednak w obrębie tradycyjnej kultury. Spierano się o sensowność walki na hiszpańskiej ziemi, jednak nie podważano zasadności jej heroicznego paradigmatu. Co najwyżej umniejszano skalę bohaterstwa, sugerując – jak uczynił to Juliusz Falkowski – że za prawdziwych ojców zwycięstwa należy uznać konie, które w swej narowistości, chcąc nie chcąc, zaprowadziły szwoleżerów na szczyt przełęcz. Nawet lewicujący Broniewski w swym apologetycznym uniesieniu wobec zmagających się z Frankistami sił republikańskich mierzył dzielność obrońców Madrytu zażartością zdobywców Somosierry, występujących się – rzecz jasna – „burżuazyjnemu” Napoleonowi.

Warto bronić

Niechlubny przełom przyniosło dopiero nadejście komunizmu. Już na samym początku utrwalania władzy ludowej ppłk Adam Korta, dokonując bilansu legendy napoleońskiej nad Wisłą, przekonywał: „Wytwarza się romantyka walki nieprzemysłanej, wielkiej przygody w dalekich krajach. Wytwarza się romantyka wspaniałej szarży kawalerzyjskiej...”. Stąd już niedaleko było do jednego z najbardziej „niepocziwych” sądów, jakie kiedykolwiek wygłoszono: „Co te bohaterskie niedouki jak Kozietulski mogłyby zrobić dla kraju – w kraju?”. Na szczęście jeszcze w PRL poglądy te zaczęto zbijać – i to po obu stronach barykady. Obok Brandysa czy Łysiaka głos zabrał płk Zbigniew Żałuski. Czy to dla obrony żołnierskiego honoru, czy dla udowodnienia historycznego continuum między dawną a ówczesną Polską – jedno jest pewne: odrzucał koncepcję „kozietulszczyny”, pisząc: „Nie ośmieszajmy czynu szwoleżerów, którzy choć mylili się w ocenie Napoleona, to [...] wiedzieli, że człowiek winien jest coś nie tylko sobie, ale i innym – społeczeństwu, narodowi”.

Słowa te stanowią swoistą pointę niniejszej opowieści. Obecny bowiem stan recepcji Somosierry można w przybliżeniu opisać formułą „ojczysty panteon – ojczyste spory”. Obroniliśmy poświęcenie szwoleżerów – dzięki głosom krytycznym wciąż spieramy się o jego wymowę.

**W ARTYKUŁACH
O POWSTANIU
WARSZAWSKIM
BROWAR
HABERBUSCH
I SCHIELE CZĘSTO
NAZYWANY JEST
BROWAREM
NIEMIECKIM.
A TO OBRAŻA JEGO
WŁAŚCICIELI!**



**WACŁAW
LESZCZYŃSKI**

Jednym z jego twórców był Konstanty Schiele (1817-1886), syn Burghardta (1776-1850), który pod koniec XVIII w. przeniósł się z Niemiec do Warszawy. Pracował w browarze Schöffler i Glimpf, przyjaźnił się z piwowarem Błażem Haberbuschem (ur. w Niemczech, w 1806 r.). W 1846 r. z piekarszem Henrykiem Klawem, który to sfinansował, nabyli oni i uruchomili browar pod nazwą Haberbusch, Schiele i Klawe (wg ulicy „Oberwus, Szelma i Kulawy”). Firma się rozwijała i dokupiła dwa browary. Browar, gdy wystąpił z niego Klawe, w 1865 r. przybrał nazwę Haberbusch i Schiele. W latach 1880-1890 został powiększony i zmodernizowany, stając się największym browarem w Królestwie.

Drugie pokolenie. I dochód, i socjal

Gdy Błażej Haberbusch i Konstanty Schiele przekazali firmę synom, ci w 1898 r. przekształcili ją w Towarzystwo Akcyjne Browaru Parowego i Fabryki

TO BYŁ POLSKI BROWAR!



Sztucznego Lodu Haberbusch i Schiele. Piwo wysyłano aż na krańce Cesarstwa Rosyjskiego, do Niemiec, innych krajów Europy i na Daleki Wschód. Firma miała, obok wielu konnych zaprzęgów, dwie ciężarówki i 20 wagonów kolejowych. Na początku XX w. browar był jednym z największych w Europie. Po śmierci Haberbuscha i przejęciu firmy przez Schielów browar pozostał przy dotychczasowej nazwie.

Schielowie dbali o pracowników. Dla ich dzieci otworzyli ochronkę (przedszkole), szkołę elementarną i piwowarską. Uruchomili kuchnię zakładową i gabinet lekarski z dyżurującym chirurgiem, kasę oszczędnościowo-pożyczkową i ubezpieczenie robotników od nieszczęśliwych wypadków. Ufundowali też czytelną dla ludności Woli i pra-

cownię bakteriologiczną w Szpitalu Ewangelickim.

Zniszczenia na skutek działań militarnych w czasie I wojny światowej i rabunki Niemców doprowadziły do upadku wielu browarów. Sposobem, by temu zapobiec, w 1921 r. była fuzja browaru Haberbusch i Schiele z browarami Edward Reych i Synowie; Karol Machlejd, Seweryn Jung i Korona. Powstała spółka akcyjna Zjednoczone Browary Warszawskie Haberbusch i Schiele (według ulicy „browary zjednoczone z Wisłą”). W 1925 r. otwarto Fabrykę Wódek i Likierów. Moce firmy wynosiły 10 proc. produkcji krajowej, a jej zysk w 1931 r. 3 mln zł. 550 pracowników

miało łaźnię, stołówkę, ambulatorium, aptekę, żłobek, przedszkole, bibliotekę, wczasowisko w Jabłonie, kasę zapomogową i ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków. Kazimierz (syn Konstantego) ufundował w Radości pod Warszawą schronisko dla dzieci robotników. On od 1926 r. kierował firmą.

Kazimierz (1860-1931) ożenił się z Anną Temler (1866-1946). Gdy zachorowała, mąż kupił jej małpę. O jej psotach krążyły legendy. W 1940 r. odwiedziła Annę jej chrestna córka. Zdziwiła się, widząc na nocnej szafce różaniec, gdyż Anna była luteranką. Ona rzekła: „W czasie oblężenia Warszawy w 1939 r. modliliśmy się w piwnicy i podeszła do mnie jakaś kobieta, dając mi ten różaniec. Przyjęłam go, nie chcąc jej urazić. I się na nim modłę. Na małych pacior-



Wóz konny, własność browaru „Haberbusch i Schiele”, służący do transportu beczek z piwem, lata 20.

kach odmawiam »Ojcie nasz«, a na dużych czytam kazania pastora Otto”. Zimą 1945 r. niezniszczone mieszkanie Anny z meblowaniem i wyposażeniem zagrabiała jej służąca.

Trzecie pokolenie. Tatrzańskie fascynacje

W 1890 r. Anna urodziła bliźniaki Aleksandra i Kazimierza. Gdy mieli 2–3 lata, rankiem budzili dom zgodnym i głośnym krzykiem: „Mleka, mleka!”, domagając się śniadania. Mając kilka lat, jeździli z rodziną do Zakopanego do Chabówki koleją i dalej górską furką, a od 1899 r. już na miejsce pociągami i pokochali Tatry. Od 15. roku życia stali się tatarnikami. Od 1910 r. studiowali w Wiedniu, Kazimierz na wydziale mechanicznym, Aleksander architekturę i ukończyli je w 1917 r. Kazimierz z Wiednia wrócił z Hanną Balzer, z którą się ożenił. W 1920 r. zamieszkał z nią w Zakopanem w willi Mazowiecka. Obaj bracia uprawiali tatarnictwo, pokonując liczne drogi wspinaczkowe w Tatrach, oraz narciarstwo, będąc w kadrze narodowej. Brali udział w 140 międzynarodowych i krajowych zawodach, 40 razy w czołówce. Byli sędziami zawodów narciarskich i instruktorami, działali w Polskim Towarzystwie Tatrzańskim, Polskim Związku Narciar-



Francuska aktorka Mistinguett (Jeanne Bourgeois) reklamuje piwo „Haberbusch i Schiele”, maj 1933



skim i Górskim Ochoficzym Pogotowiu Ratunkowym. W 1923 r. założyli w Zakopanem na Kasprusiach pierwszą w Polsce mechaniczną fabrykę nart i smarów, którą prowadził Kazimierz. Utalentowanej narciarsko młodzieży

Trzecie pokolenie. „Lista Aleksandra”

Niemcy po zajęciu stolicy w 1939 r. wyznaczyli firmie komisarza, kpt. Skutela. Aleksander odmówił podpisania folklisty i kierując browarem, zatrudnił w nim żołnierzy AK, a w swym mieszkaniu i willi w Konstancinie ukrywał osoby pochodzenia żydowskiego. Pomagał też twórcom, np. Tuwimowi. Przez zakratowane okno i kanał wentylacyjny w zakładzie przy ul. Ceglanej przekazywał do getta żywność, w piwnicach przechowywał broń i amunicję AK, do której należał też jego syn Jerzy. W 1943 r. Aleksandra i Jerzego aresztowało. ➔

» gestapo. Aleksandra za łapówkę zwolniono. Chciał on wykupić syna za milion złotych (według ulicy „bogaty to się wywinie”). Jednak na osobisty rozkaz dowódcy SS Heinricha Himmlera Jerzego zamordowano w karze za odmowę podpisania folkslisty przez ojca. Na słupach ogłoszeniowych wisiły niemieckie „Obwieszczenia” z listami osób przewidzianych do zabicia, a potem o ich rozstrzelaniu. Wśród nich był 19-letni Jerzy, jedyny syn Aleksandra.

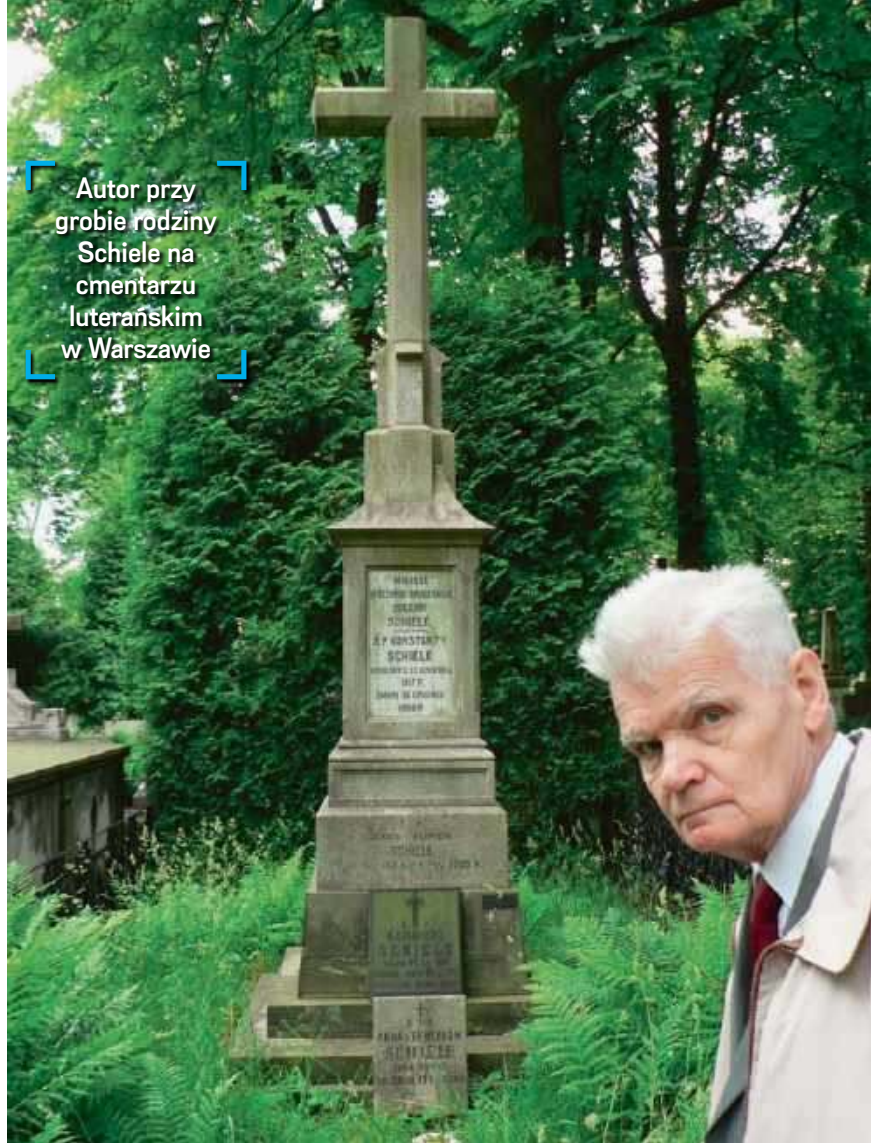
Fabrykę nart zrabowali Niemcy. Kazimierz ukrywał się przed gestapo, a w willi

ALEKSANDER ODMÓWIŁ PODPISANIA FOLKSLISTY I KIERUJĄC BROWAREM, ZATRUDNIAŁ W NIM ŻOŁNIERZY AK, A W SWYM MIESZKANIU I WILLI W KONSTANCINIE UKRYWAŁ OSOBY POCHODZENIA ŻYDOWSKIEGO

Mazowiecka był magazyn broni AK strzeżony przez jego córkę Danutę i była żoną, owdowiając Hannę Mirtyńską.

W czasie powstania warszawskiego magazyny browaru przy ul. Grzybowskiej z zapasami jęczmienia były ważnym źródłem żywności dla żołnierzy AK i cywilów. Po powstaniu Niemcy wywieźli wyposażenie browaru i zniszczyli budynki. Po ich odejściu Aleksander zaczął odbudowę browaru, ale w myśl stalinowskich dekretnów znacjonalizowano go w 1946 r. Dzięki ratowaniu Żydów (Aleksander z żoną otrzymali tytuł

Autor przy grobie rodziny Schiele na cmentarzu luterzańskim w Warszawie



Sprawiedliwy wśród Narodów Świata) pracował jako dyrektor administracyjny firmy i wyrwał z łap bezpieki swą córkę Julitę, oskarżoną o szpiegostwo. Potem jako architekt odbudowywał stolicę i pracował w Zarządzie Głównym PTTK. Zmarł w 1975 r.

Czwarte pokolenie. Ofiary komunizmu

Fabrykę nart Schielom zabrano. Jakiś czas Kazimierz pracował w niej, kierując działem smarów. Zmarł w 1956 r. Jego syn Tadeusz (ur. w 1920 r.), pilot wojskowego samolotu, we wrześniu 1939 r. awaryjnie lądował na terenie zajęty przez Rosjan. Uciekł z ich niewoli i dotarł do Zakopanego. Mroźną zimą 1939/1940 nocą przeszedł przez Tatry i dotarł do Budapesztu. W 1940 r. był pilotem brytyjskiego 122 Dywizjonu Myśliwskiego, a od 1941 r. polskiego 308 Dywizjonu Myśliwskiego „Krakowskiego”, gdzie zwano go Haberbuschem. Wykonał 201

lotów bojowych, zestrzelił sam jednego i wspólnie dwa samoloty niemieckie, zniszczył też kilka samolotów na ziemi i wyrzutnie rakietowe. W 1941 r. ożenił się z Angielką Jeanne Johnstone, a w 1943 r. urodził mu się syn, Kazimierz. W 1947 r. jako kapitan RAF, z Krzyżem Virtuti Militari i trzykrotnym Krzyżem Walecznych, wrócił z rodziną do Polski. Wkrótce potem był więziony, a po uwolnieniu został umieszczony na czarnej liście i nie mógł znaleźć pracy. Tłukł więc kamienie przy budowie drogi. Jego żona, piosenkarka tego nie zniosła i wyjechała z synkiem do Anglii. Po 1956 r. Tadeusz był instruktorem szybowcowym i pisał lotnicze wspomnienia. Zmarł w 1986 r. On i Kazimierz pochowani są na Nowym Cmentarzu w Zakopanem, Aleksander z przodkami na luterzańskim cmentarzu w Warszawie.

Schielowie byli Polakami. Urodzony w Warszawie Konstanty dał synowi polskie imię Kazimierz. Jego potomkowie walczyli o Polskę i za nią ginęli. Dziś nie mogą się upomnieć o swą godność. ■

WKRÓTCE NASTĄPI DŁUGO OCZEKIWANA BEATYFIKACJA STEFANA WYSZYŃSKIEGO. PRYMAS TYSIĄCLECIA WEJDZIE DO PANTEONU POLSKICH ŚWIĘTYCH I BŁOGOSŁAWIONYCH. WARTO POZNAĆ, CO MÓWIŁ O ŚWIĘTOŚCI, DO KTÓRYCH NASZYCH ŚWIĘTYCH MIAŁ SZCZEGÓLNE NABOŻEŃSTWO, O CZYJE WYNIESIENIE NA OŁTARZE SAM ZABIEGAŁ



KAROL
KALINOWSKI

Wyszyński był często określany, z czego był dumny, „prymasem maryjnym”. Cześć oddawana Matce Bożej zdaje się najbardziej charakterystyczną cechą jego pobożności. Jej niejednokrotnie zawierzył losy Kościoła, narodu i własne. Dewocja Wyszyńskiego nie wyczerpywała się jednak na maryjności. Miał on także wielki kult świętych, zwłaszcza tych związanych bezpośrednio z polskim Kościołem. Poprzez ten rodzaj pobożności prymas oddawał chwałę Bogu, umacniał świętości ludu Bożego, dawał mu przykłady do naśladowania oraz zwracał się z prośbą o wstawiennictwo u Boga. >>

FOT. MAC

PRYMAS TYSIĄCLECIA WOBEĆ ŚWIĘTYCH POLSKICH

» Nauczał wiernych, że na wzór Jezusa Chrystusa i Matki Najświętszej „Kościół kształtuje świętych i święte Boże, a liturgia Kościoła i mszał wypełnione są świętymi mężami i niewiastami, aby te pomnożone wzory służyły Wam do uświęcania wszystkiego w waszym życiu osobistym, rodzinnym, społecznym, zawodowym, publicznym i politycznym”.

Zwłaszcza po Soborze Watykańskim II, w pełniej zgodzie z jego nauczaniem, podkreślał, że wszyscy ludzie są powołani do świętości. Zależało mu także na głębszym zrozumieniu tego pojęcia przez ludzi. Mówił: „Wydaje się nam, że święty bezwzględnie musi być taki, jak go opisują ascetyczne i mistyczne księgi, a tymczasem Bóg ma olbrzymią skalę możliwości, że niekiedy nie wiemy nawet, kto jest bardziej bliski Bogu, w kim się najwięcej nagromadziło miłości Bożej... Świętość może być wielka i rozgłosna, wypełniona cudami. Może być także świętość cicha, pokorna, niedostrzegalna, która wyraża się tylko w tajemniczym i nieudolnym szepcie duszy do Boga... Wszędzie jest miejsce na świętych bardzo współczesnych: na ulicy, w warsztacie pracy, w biurze, w urzędzie, w kopalni na dnie czy też na skrzydłach samolotów”.

Świętość na dzisiejsze czasy

Kardynał zwracał uwagę nie tylko na to, że święci powinni być bliscy dla współczesnych ludzi, ale również apelował o wyniesienie na ołtarze większej liczby osób świeckich. W watykańskiej Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych, prosząc o uznanie za błogosławione Karoliny Kózkówny i Anieli Salawy, tłumaczył, że ich beatyfikacja będzie miała większy wpływ na wiernych niż kolejnych założycieli wspólnot zakonnych. Kłarował, że „beatyfikacja zakonnicy jest sprawą oczywistą, niejako ex officio. Ale dla tych świeckich nigdy nie ma czasu. [...] Zgromadzenia zakonne silą się na pokrycie kosztów procesów beatyfikacyjnych; idea beatyfikacji Matki Fundatorki wypycha z pola widzenia wiele innych zadań, nie raz nawet kosztem pilnych potrzeb”. To słowa prymasa uważanego za ultrakonserwatywnego przez część inteligencji określającej siebie triumfalistycznym mianem „katolików otwartych”.

Oprócz popierania świeckich, których „świętość jest na dzisiejsze czasy”, prymas apelował o uproszczenie procedur kanonizacyjnych i beatyfikacyjnych.

Sugerował także papieżowi Pawłowi VI, by kłaść mniejszy nacisk na cuda jako znaki sprawdzalne świętości, a większy na czyny życia danych kandydatów na ołtarze, ich prace apostołskie, dobroczynne, społeczne, w myśl biblijnej zasady „po owocach ich poznacie ich” (Mt 7,16). Argumentował, że w obecnych czasach sprawdzanie cudów oznacza oddawanie sprawy świętości w ręce lekarzy, a to jest ryzykowne z punktu widzenia Kościoła. Warto zauważyć, że część postulatów polskiego kardynała została spełniona w okresie pontyfikatu Jana Pawła II, który uprosił pewne procedury m.in. poprzez zmniejszenie liczby wymaganych cudów.

Patron posługi prymasowskiej

Wielu było świętych bliskich Stefanowi Wyszyńskiemu. Na tej duchowej mapie czci dla świętych szczególne miejsce zajmował św. Wojciech. Po męczeńskiej śmierci z rąk Prusów jego ciało spoczęło w Gnieźnie. Tam w 1000 r. założono pierwszą polską metropolię arcybiskupią, której został on patronem. Od samego początku arcybiskupi Gniezna zostali kustoszami grobu świętego i promotorami jego duchowego dziedzictwa. Od XV w. rządom tej archidiecezji zaczęła przysługiwać tytuł prymasa Polski. Również Stefan Wyszyński, po objęciu tej godności kościelnej, wpisał się w rząd czcicieli św. Wojciecha i propagatorów jego kultu.

Postać patrona Polski wracała w nauczaniu Prymasa Tysiąclecia bardzo często. Poświęcił jej liczne kazania, przemówienia, listy czy odezwy. Św. Wojciech jawi się w nich jako wzór dla współczesnych świeckich i kapłanów. Pokazuje, jak wytrwać w wierze, w miłości bliźniego, służyć drugiemu człowiekowi i dawać świadectwo prawdzie. Historycznymi zasługami Wojciecha i jego męczeństwa były wzrost wiary w nowo ochrzczonym narodzie i początek organizacji kościelnej na ziemiach polskich. Dzięki niemu zaczęła się budowa jedności religijnej narodu, a powstały kościelny ład hierarchiczny umocnił młode chrześcijaństwo. Zasużył sobie tym samym na miano apostoła Polski.

Kardynał Wyszyński, ufając w przemienne orędownictwo św. Wojciecha, często polecał Bogu za jego wstawienictwem sprawę Kościoła w Polsce oraz swoje prace biskupie. Męczennika

traktował jako patrona prymasowskiej posługi. Poza okresem uwięzienia przez komunistyczne władze czy losowymi wypadkami jak choroba zawsze brał udział w gnieźnieńskim odpuscie z okazji św. Wojciecha. Czasem uroczystości były wyjątkowo dostojne, jak w roku 1949 z powodu 950-lecia kanonizacji czy w roku 1966, gdy u jego grobu zaczęły się ogólnokrajowe obchody Milenium Chrztu Polski.

Orędownicy i patroni

Wśród innych polskich świętych na pewno bardzo ważny dla prymasa był św. Stanisław. Biskup męczennik w optyce Wyszyńskiego to symbol obrony praw człowieka. Przypominał on Bolesławowi Śmiałemu o obowiązku miłości, sprawiedliwości, szacunku wobec wszystkich poddanych króla. Za przeciwstawienie się niesprawiedliwości władzy poniósł śmierć. Kardynał odnosił tamten spór do czasów sobie współczesnych, niedwuznacznie wskazując, że również rządy komunistyczne uciskają swoich obywateli, a tych, którzy się temu przeciwstawiają, poddają niegodziwym represjom. Słynny memoriał Episkopatu Polski będący protestem przeciwko atakom wymierzonym w Kościół, który do historii przeszedł pod nazwą „non possumus”, został przyjęty przez biskupów zebranych na uroczystościach św. Stanisława 8 maja 1953 r.

Wyszyński często brał udział w tradycyjnej procesji związanej z tym dniem, która przechodzi z Wawelu na Skałkę, przywożąc na nią relikwie św. Wojciecha. Tak symbolicznie spotykali się dwaj patroni Polski. To właśnie w okresie pasterzowania przez Wyszyńskiego naszemu Kościołowi, w roku 1962, papież Jan XXIII uznał – obok Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski – Wojciecha i Stanisława głównymi i równorzędnymi patronami naszej ojczyzny. Warto dodać, że w rewanżu arcybiskup krakowski Karol Wojtyła wielokrotnie przyjeżdżał z relikwiami św. Stanisława na uroczystości świętowojościechowe do Gniezna.

Ciekawa historia wiąże się z duchowym związkiem pomiędzy prymasem a św. Andrzejem Bobolą. Ten jezuita był jednym z inspiratorów ślubów lwowskich Jana Kazimierza z roku 1656 i ogłoszenia Matki Bożej Królową Ko-

rony Polskiej. Szeroko rozpowszechniona tradycja przypisuje mu nawet osobiste autorstwo tekstu ślubów królewskich. 16 maja 1956 r., w dzień liturgicznego wspomnienia właśnie św. Andrzeja, przebywając w miejscu swego przymusowego odosobnienia w Komańczy, Prymas Tysiąclecia napisał tekst Jasnogórskich Ślubów Narodu Polskiego. Złożone uroczyste na Jasnej Górze 26 sierpnia 1956 r. stały się podstawą programu duszpasterskiego pod nazwą Wielkiej Nowenny, który przygotował naród na obchody Milenium Chrztu Polski. Czy była to tylko przypadkowa koincydencja? Sam Wyszyński sugerował, że nie, gdyż jezuicki męczennik wpłynął duchowo na prymasa, stając się patronem pisania tekstu ślubów w roku 1956.

Z osób wyniesionych na ołtarze, a związanych z Warszawą, gdzie na co dzień mieszkał nasz bohater, szczególnie bliski był mu bł. Ładysław z Gielniowa, patron stolicy. W dniu jego wspomnienia, 25 września, w kościele św. Anny (przy którym kiedyś mieszkał bł. Ładysław) Wyszyński głosił niemal corocznie okolicznościowe kazanie nawiązujące do życia błogosławionego zakonnika. W 1953 r. było to jego ostatnie spotkanie z wiernymi, gdyż kilka godzin po wygłoszeniu homilii został aresztowany przez UB i uwięziony na ponad trzy lata. Ze „świętych warszawskich” warto jeszcze wspomnieć o Zygmuncie Szczęsnym Felińskim, jednym z poprzedników Wyszyńskiego na stolicy arcybiskupiej w tym mieście. W 1965 r. prymas zainicjował jego proces beatyfikacyjny. Cenił go szczególnie za niezłomną postawę religijno-patriotyczną w okresie powstania styczniowego, co ten przypłacił zesłaniem w głąb Rosji. Feliński został błogosławionym w roku 2002.

W rządzie polskich świętych, do których Prymas Tysiąclecia miał wyjątkowe nabożeństwo, nie mogło zabraknąć Maksymiliana Marii Kolbe. Łączyła ich nie tylko wielka miłość do Matki Bożej. Wyszyński modlił się usilnie o beatyfikację założyciela Niepokalanowa i zachęcał do tego samego wiernych oraz czynił wszystko, co było w jego mocy, aby do tego aktu doszło najszybciej, jak to tylko możliwe. Jako patron procesu beatyfikacyjnego zapewnił wszystkim toczącym się pracom szczególną opiekę, swój czynny w nich udział i wsparcie w rozmowach z kompetentnymi orga-

nami Watykanu. Wielokrotnie prosił papieża o przyspieszenie tej beatyfikacji. Patronował wspólnej deklaracji biskupów polskich i niemieckich z roku 1963 w sprawie wyniesienia o. Kolbe na ołtarze. Był to ważny krok poprzedzający słynny list naszego episkopatu z orędziem „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”, który stał się fundamentem polsko-niemieckiego pojednania. W końcu doszło do tej beatyfikacji 17 października 1971 r. w Rzymie, a Paweł VI podkreślał zasługi prymasa w tej sprawie.

PROCESY BEATYFIKACYJNE I KANONIZACYJNE NASZYCH RODAKÓW BARDZO LEŻAŁY KARDYNAŁOWI NA SERCU

Święci na Milenium

Procesy beatyfikacyjne i kanonizacyjne naszych rodaków bardzo leżały kardynałowi na sercu. Chciał, aby jak największa liczba Polek i Polaków cieszyła się chwałą ołtarzy, była orędownikami i wzorami dla kolejnych pokoleń żyjących na polskiej ziemi. Zabiegał o to m.in. poprzez stworzenie Referatu dla spraw Beatyfikacyjnych i Kanonizacyjnych przy Sekretariacie Prymasa Polski oraz specjalnego Ośrodka Postulatorskiego w Rzymie, który miał wspierać procesy znajdujące się już na watykańskim etapie. Wyszyński nie ograniczył się tylko do tworzenia lepszych ram organizacyjnych czy hojnego opłacania różnych kosztów administracyjnych. Sam wielokrotnie zabiegał o wyniesienie na ołtarze nowych polskich patronów poprzez rozmowy z kolejnymi papieżami, listy postulacyjne oraz interwencje w rzymskich dykasteriach.

W tych dążeniach jako głowa Kościoła w Polsce wspierał zabiegi wszystkich

polskich biskupów. Od końca lat 50. z związku ze zbliżającym się Tysiącleciem Chrztu Polski w naszym Kościele zwielokrotniono wysiłki, by uroczystości milenijne zostały uświetnione wyniesieniem na ołtarze nowych polskich świętych. Prymas miał listę osób, o których beatyfikację zabiegał na rok 1966. Byli na niej przede wszystkim ojcowie Rafał Kalinowski, Albert Chmielowski, Maksymilian Kolbe, królowa Jadwiga i Aniela Salawa. Starano się także o kanonizację bł. Wincentego Kadłubka. Pomimo interwencji u papieża i różnych obietnic składanych w watykańskich urzędach żadnej ze spraw nie udało się doprowadzić do końca przed jubileuszowym rokiem. Jednym z powodów było zapewne skupienie się aparatu urzędniczego Kurii Rzymskiej na obradach Soboru Watykańskiego II (1962–1965).

Z okresem milenijnym wiązały się jeszcze dwie interesujące sprawy. Jedną to zabiegi Wyszyńskiego o rozszerzenie kultu świętych Andrzeja Boboli i Stanisława Kostki na cały Kościół powszechny. Prymas zlecił także emigracyjnej pisarce Marii Winowskiej stworzenie serii książek i artykułów o polskich świętych w celu rozpowszechnienia ich czci w katolickim świecie. Drugą rzeczą, o której warto wspomnieć, to budowa w Rzymie kościoła upamiętniającego Milenium Chrztu Polski. Paweł VI sugerował, aby nosił on wezwanie któregoś z naszych świętych: Wojciecha, Jadwigi Śląskiej, Jana Kantego czy Józefa Kuncewicza. Prymas proponował świętych Andrzeja Bobolę lub Jacka. W końcu kościół dla uczczenia tysiąclecia chrześcijaństwa w Polsce powstał, ale pod wezwaniem Matki Bożej Częstochowskiej, co po wielu dyskusjach poparł także sam Wyszyński.

Ten krótki przegląd można zakończyć myślą prymasa o dziejach Polski, które mogły „być bolesne i tragiczne, mógł Naród być bez króla i bez wodza, bez zwierzchników, premierów i ministrów”, ale nigdy nie żył bez świętych. Ci „gdy nie mogli zostawać z Narodem jako żywi, zostawali jako umarli, jako relikwie. Wojciech spod Gniezna podał dłoń Stanisławowi z Krakowa i otoczeni świętymi Pańskimi, których Kościół kształtował w polskiej ziemi, ratowali ducha Narodu, jego pragnienie prawdy, wolności, sprawiedliwości i pokoju”.

Teraz do tego grona zasłużenie dołączył sam Prymas Tysiąclecia.

**ROTMISTRZ
WITOLD
PILECKI**

13 V 1901-25 V 1948

**OCHOTNIK DO AUSCHWITZ
JEDEN Z NAJODWAŻNIEJSZYCH
ŻOŁNIERZY II WOJNY ŚWIATOWEJ**



**SŁOWA „CHCIELI
NAS ZAKOPAĆ.
NIE WIEDZIELI,
ŻE JESTEŚMY
ZIARNEM”
SĄ CZĘSTO
PRZYWOŁYWANE
W KONTEKŚCIE
PRZYWRACANIA
PAMIĘCI
O ŻOŁNIERZACH
WYKLĘTYCH. TO
HASŁO IDEALNIE
WPISUJE SIĘ
W POSTAĆ WITOLDA
PILECKIEGO**

PRZYNIOSŁO PLON OBFITY



**JAROSŁAW
WRÓBLEWSKI**

Choć 72 lata temu został zamordowany strzałem w tył głowy, jego odwaga fascynuje kolejne pokolenia. Choć jego dokonania miała pokryć głucho cisza, stał się najpopularniejszym z polskich bohaterów II wojny światowej. Komuniści próbowali zatrzeć pamięć o nim, a on patronuje dziś prawie 50 szkołom, miejskim ulicom, inicjatywom edukacyjnym, kulturalnym społecznym czy

sportowym. W wielu miastach ma pomniki, tablice pamięci i murale, a jego odwaga jest opiewana w wierszach i pieśniach. Żołnierze 6. Mazowieckiej Brygady Obrony Terytorialnej obrali go za patrona. Parlament Europejski w 2019 r. datę 25 maja, czyli dzień egzekucji rotmistrza Witolda Pileckiego na Rakowieckiej, większością głosów wybrał na Międzynarodowy Dzień Bohaterów Walki z Totalitaryzmem. W Kancelarii Premiera jego imieniem nazwano jedną z głównych sal – Salę Obrazową.

Powstają o nim książki nawet w dalekiej Japonii. Prestiżową brytyjską nagrodę Costa Book of the Year za książkę „Ochotnik” otrzymał Jack Fairweather w 2019 r. W tym samym roku za najlepszy francuski komiks historyczny uznano ponad 200-stronicową

powieść graficzną Gaétana Nocqa „Raport W”, inspirowaną „Raportem Witolda” o działalności w Auschwitz. Tłumaczenie na wiele języków jego biografii powoduje, że postać rtm. Pileckiego przekracza granice. Inspiruje zagranicznych twórców, pokazując Polaka jako wielkiego bohatera II wojny światowej i symbol odwagi na światową skalę, o czym pisał już w 1976 r. w książce „Six Faces of Courages” („Sześć twarzy odwagi”) brytyjski historyk Michael Foot.

Silniejszy od cenzury

Nie uczono nas w szkole o Witoldzie Pileckim przez całe dekady PRL. Miał być całkowicie wymazany z naszej pamięci i zapomniany. Przeczowano, że mógł się stać ważnym symbolem walki o niepodległą Polskę w czasie nadchodzącego zrywu Solidarności? Komunistyczna cenzura w osobie Mariana Adamika, wiceprezesa Głównego Urzędu Kontroli Prasy i Widowsk, już w marcu 1980 r. – na ile mogła – zablokowała przebijające się do świadomości społecznej informacje o bohaterstwie czynach rotmistrza. Powodem miała być jego „aktywna, antysocjalistyczna postawa”. Cenzorzy dostali polecenie: „Ze względu na kontrowersyjność ocen dot. działalności Pileckiego i złożoność problemu, wszystkie materiały dot. Witolda Pileckiego należy konsultować z kierownictwem Urzędu”. W efekcie zablokowano teksty pisane w latach 80. m.in. przez historyków Wiesława J. Wysockiego i Adama Cyre. Mimo to prof. Wysocki wydał w 1984 r., dzięki pomocy Stefana Melaka, w podziemnym Wydawnictwie Polskim 16-stronicową broszurkę „Rotmistrz Witold Pilecki”, którą można dziś uznać za pierwszą biograficzną książkę poświęconą ochotnikowi do Auschwitz. „Różnorodne są sposoby życia godnego; jedni chronią swą prawdę izolacją od świata i biernością w życiu publicznym, inni – przeciwnie – gotowi są wykrzyczeć ją całemu światu i bez względu na sytuację bezkompromisowo i ostentacyjnie ją świadczyć. Witold Pilecki był z tych zbuntowanych i do końca niepokornych

i cechowało go swoiste »swędzenie woli działania«. Wzrastanie w atmosferze ofiary dla ojczyzny, kultu bohaterstwa i silnych charakterów zaowocowało w Witoldzie cechą niezłomnego męstwa i wielką odpornością na wszelkie przeciwności losu” – pisał poza cenzurą prof. Wysocki. Dzięki innym publikacjom w drugim obiegu kropla za kroplą żłobiła pamięć o rtm. Pileckim. Poczta KPN w 1988 r. wydała znaczek z jego wizerunkiem.

Ponad podziałami i schematami

Fenomen Witolda Pileckiego na trwałe wszedł do polskich serc i jesteśmy z niego dumni, również ponad silnymi politycznymi podziałami w naszym kraju. Pamiętać jednak należy, że w Auschwitz podczas wojny Witold Pilecki jako Tomasz Serafiński dla dobra polskiej sprawy, w Związku Organizacji Wojskowej potrafił zjednoczyć kilkuset więźniów, w tym jako

do prezydenta Bieruta. Kończył ten list, można powiedzieć, z rozbrajającą szczerością: „Z chwilą aresztowania mnie – ustosunkowałem się do śledztwa pozytywnie i sam wskazałem miejsce przechowywania archiwum, które zawierało wszystkie materiały mnie obciążające. W ciągu roku nie wynikła żadna okoliczność, która by dowodziła, że mówiłem nieprawdę lub wprowadziłem w błąd oficerów śledczych”. Jego dzieci podkreślały, że ojciec uczył je, aby mówiły zawsze tylko prawdę i nie kłamały. Sam też do końca był wierny tej zasadzie, choć jako człowiek konspiracji wiedział, że przesłuchujący go śledczy, mimo tortur, nie dowiedzą się od niego wielu istotnych faktów.

Przełamał też więzienny schemat, pisząc na Rakowieckiej po aresztowaniu podanie do rąk własnych samego szefa Departamentu Śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego płk. Józefa



Portret rotmistrza Witolda Pileckiego na murach więzienia na ul. Rakowieckiej

liderów, politycznych działaczy o poglądach od PPS po Stronnictwo Narodowe i ONR. Był ochotnikiem, miał określone zadanie do wykonania i je wypełnił, pisząc raporty do przełożonych o tym, co się naprawdę dzieje w niemieckim obozie zagłady.

„Zawsze pracowałem dla Polski” – napisał przed śmiercią w liście z prośbą o ułaskawienie

Różańskiego, w którym brał całą winę na siebie, chcąc w ten sposób ocalić swoich podkomendnych: „Dlatego więc piszę niniejszą petycję. By sumą kar wszystkich – mnie tylko karano, Bo choćby mi przyszło postradać me życie – Tak wolę – niż żyć, a mieć w sercu ranę”. Czy coś tym osiągnął? Wydaje się, że tak, ponieważ jego podkomendni Tadeusz Płuzański i Maria Szelągowska, skazani wcześniej na karę śmierci, dostali później dożywocie i ocalili. Więzienna cela na Rakowieckiej, w której przebywał Witold Pilecki, stanowi dziś centralne miejsce oddawania mu hołdu.



FOT. ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

Pomocny bohater i autorytet

Niewątpliwie rotmistrz w żaden sposób nie daje się zaszufladkować. Tak jak na pomniku w al. Wojska Polskiego na Żoliborzu, gdzie wychodzi w oficerskim mundurze poza konstrukcję bryły systemu i patrzy w nieznane. Jest symbolem konsekwencji, odwagi, determinacji oraz miłości do Polski. Pilecki to dobry mąż i ojciec, twardy kawalerzysta i urodzony konspirator o romantycznej duszy. Człowiek wiary w Boga o niemal nadludzkiej odwadze, a zarazem kochający przyrodę i uprawiający ziemię. Rolnik grający na gitarze i pianinie, malarz, rysownik i poeta. Napisany przez niego w młodości poemat o Sukurczach przypomina Mickiewiczowską wrażliwość na kresową historię i naturę.

Kim jest dziś dla tych, którzy poznają historię jego życia? Magdalena Janeczek śpiewająca w zespole Forteca mówi: – Poznanie rotmistrza wyznaczyło mi życiową ścieżkę. To właśnie na niej spotkałam niesamowitych ludzi i miejsca związane z jego obecnością, do których po prostu muszę wracać. Kiedy w 2013 r. przechodziłam trasę ucieczki rtm. Witolda Pileckiego z KL Auschwitz do Nowego Wiśnicza, zgłębiając jego biografię i raporty, nie wiedziałam, że ta historia zostanie ze mną po dziś dzień. Podświadomie czuję, że jest blisko, gdy tego potrzebuję, i pomaga mi w podążaniu jego śladami.

WIĘZIENNA CELA NA RAKOWIECKIEJ, W KTÓREJ PRZEBYWAŁ WITOLD PILECKI, STANOWI DZIŚ CENTRALNE MIEJSCE ODDAWANIA MU HOŁDU

Renata Koceluch, ucząca w LVI Liceum Ogólnokształcącym im. Rotmistrza Witolda Pileckiego w warszawskim Ursusie, uważa, że kto choć trochę pochylił się nad jego życiem i niezwykłą osobowością, temu rotmistrz nie pozwoli o sobie zapomnieć. – Jest przewodnikiem i nauczycielem najwyższych wartości, niedoścignionym wzorem, a zarazem kimś bliskim, jednym z nas. Autentyczny, kreatywny, oddany, w którym każdy może odnaleźć coś dla siebie i coś z siebie. To bohater i autorytet na każde czasy, a także wychowawca kolejnych pokoleń Polaków.

Pedagog z tego liceum Beata Sierańska wspomina o swoim doświadczeniu: – W pierwszym odruchu można pomyśleć: egoista albo szaleniec w imię wyimaginowanych wartości skazujący siebie i rodzinę na niewyobrażalne cierpienie, którego jedną decyzją mógł uniknąć. Lecz w głębi duszy, także z własnego doświadczenia, czuję i wiem, ile miłości, wiary i pokory musiał mieć w sobie, by poświęcić i oddać wszystko, co kochał. Ile odwagi i zaufania wymagały wszystkie jego decyzje, które podejmował ze świadomością, że dotkną nie tylko jego. To wszystko otwiera mi oczy na moje własne egoizmy i ograniczenia. Daje mi siłę do podejmowania niełatwych decyzji, do codziennych zmagania w odkrywaniu i pokonywaniu słabości. Daje mi wiarę w sens trudnej miłości

i jeszcze trudniejszej pokory. Daje nadzieję na spełnienie w niespełnieniu. Utwierdza w przekonaniu i wskazuje drogę, że kochać, to nie znaczy mieć dla siebie – podsumowuje.

Witold Pilecki wrócił do nas i jest obecny ze świadectwem swojego wyjątkowego życia. Grono osób, które fascynuje jego historia, z każdym dniem się poszerza.





„CHITRA LITWINA”

Świadectwo o księdzu Kardynale Henryku Gulbinowiczu

**KS. PRAŁAT JÓZEF
ROMAN MAJ**

**W ZWIĄZKU Z RÓŻNYMI PUBLIKACJAMI NA
TEMAT KARDYNAŁA HENRYKA GULBINOWICZA
JEST KONIECZNYM ZŁOŻENIE TEGO ŚWIADECTWA**

Duszpastersko ze środowiskiem akademickim jestem związany od 1973 roku, i to relacjami bardzo głębokimi. W tym czasie, przez trzy kadencje, Przewodniczącym Komisji Episkopatu ds. Duszpasterstwa

Akademickiego był ksiądz biskup Henryk Gulbinowicz. Za komunizmu w Polsce nie było trudniejszej przestrzeni starcia Kościoła z władzami w sprawach duszpasterskich jak problemy wynikające z funkcjonowania w Kościele Polskim Ośrodków Akademickich. Długotrwałe

powierzenie tej sprawy księdzu biskupowi Henrykowi świadczyło bez wątpienia, że Ksiądz Kardynał Stefan Wyszyński darzył go najwyższym zaufaniem. Przez cały czas tej posługi biskupa Gulbinowicza całe środowisko akademickie, a co więcej księża akademicy darzyli go >>

» powszechną sympatią i bardzo wyraźnym zaufaniem.

Chroniąc Duszpasterstwo

Gdzieś na przełomie września i października 1978 roku odbyła się u św. Anny w Warszawie jedna z najtrudniejszych odpraw, w jakich dane mi było uczestniczyć jako duszpasterzowi akademickiemu. Prowadził ją ksiądz biskup Henryk Gulbinowicz w obecności Księdza Kardynała Prymasa, bo sprawa była dużej wagi. Władze państwowe traktowały bowiem porozumienie podpisane z Watykanem w 1974 roku de facto jako konkordat. Tym tropem idąc, w oparciu o własną prawie że jednostronną interpretację tekstu, wypracowano „drogi pacyfikacji duszpasterstwa akademickiego”, jak to osobiście określił pan Mieczysław Rakowski. W ramach tego zamysłu od wiosny 1977 roku pracownicy Urzędu ds. Wyznań tak na szczęblu centralnym, jak i w Urzędach Wojewódzkich, oraz nasi „opiekunowie” z Urzędu Bezpieczeństwa podczas rozmów z duszpasterzami akademickimi zaczęli z coraz większą natarczywością mówić, że konkordat zobowiązuje nas formalnie do „poprawnych relacji z państwem” i – co „oczywiste” – poprawnego traktowania wszystkich jego istniejących organów i instytucji. Kłopot narastał zdecydowanie, bo nawet pan pułkownik Pudysz był łaskaw do mnie powiedzieć: „...i ksiądz musi zweryfikować swoją postawę, bo konkordat musimy wzajemnie traktować z odpowiedzialnością i należą sprawę powaga”.

Właśnie głównie tej sprawie poświęcona była wspomniana odprawa, podczas której ksiądz biskup Gulbinowicz powiedział do nas, że władze dokonują nadinterpretacji zawartego porozumienia, które konkordatem jeszcze nie jest, brak jest w nim wielu, i to nie tylko szczegółowych, ustaleń. Rozmawiać musimy, ale taktykę w rozmowach utrzymujmy taką jak dotychczas, bo i w postawie władz państwowych nie zauważamy zmian w odniesieniu do Duszpasterstwa Akademickiego, a co więcej, pojawiły się nowe formy opresji. (Szło o narastające trudności w organizowaniu pielgrzymek i w kontaktach międzynarodowych naszej młodzieży). Właśnie w tym kontekście przytoczył przykłady swoich osobistych doświadczeń ze spotkań z ubecją w ostatnich

miesiącach. Ksiądz Bernard Zieliński, duszpasterz z Gdańska, zażartował: „Oby nam księdza biskupa nie spacyfikowali” – i wtedy padła ta piękna wypowiedź Księdza Kardynała Wyszyńskiego: „Ksiądz biskup Henryk to chitra Litwina, nie wyobrażam sobie, by umieli, by potrafili go za nos wodzić”. Niedługo po naszym spotkaniu wybrano Jana Pawła II. To nas wyzwoliło z całej opresji – i to jak – choć generalnie władze państwowe nadal duszpasterstwo akademickie otaczały „specjalną i szczególną troską”.

STEFAN KARDYNAŁ WYSZYŃSKI: „KSIĄDZ BISKUP HENRYK TO CHITRA LITWINA, NIE WYOBRAŻAM SOBIE, BY UMIELI, BY POTRAFIŁI GO ZA NOS WODZIĆ”

Chroniąc „Solidarność”

Kiedy przyszedł czas „Solidarności”, ksiądz Kardynał Gulbinowicz, choć kontynuował swe relacje z różnymi środowiskami opozycyjnymi, to w sposób szczególny był otwarty na relacje z tym Związkiem. Ze szczególną satysfakcją przeżył posłanie – odezwę „Solidarności” do narodów środkowej Europy i wizytę Gorbaczowa w Warszawie. Jako kapelan wielu różnych środowisk opozycyjnych siłą rzeczy byłem bardzo intensywnie włączany w proces przekazu informacyjnego. Muszę więc na tę okoliczność podkreślić, że nie dochodziło do mnie nic, co by świadczyło, by ktokolwiek i kiedykolwiek poniósł jakąkolwiek szkodę wynikającą z postawy wrocławskiego metropolity. Nie można jednak ukrywać prawdy, że bardzo wielu duszpasterzy akademickich nie akceptowało realizowanej przez niego linii promocyjnej i nominacyjnej w Kościele, co

czynił z uporem godnym Litwina. Chcę jedynie zasygnalizować, że w tym okresie między mną a księdzem Kardynałem były dwie niezgodności. Nie umiałem się odnaleźć w tej atmosferze zaufania, jakim darzył on pana Frasyniuka, miałem bowiem od NZS-u wrocławskiego różne informacje. Druga zaś to w związku z naszą intensywną współpracą co do pomocy Polakom na Wschodzie. Wydawało mi się bowiem, że ksiądz Kardynał jest trochę niesprawiedliwy, bo wszystko, co mógł, to „pakował” na Wileńszczyznę, z której pochodził. Ksiądz Kardynał miał jednak jakiś wrodzony, naturalny spryt życiowy, to mu pomagało pomagać ludziom „Solidarności” w różnych zawiłych sytuacjach, i to nie tylko na Dolnym Śląsku. Tak na przykład wiem z osobistej relacji Kornela Morawieckiego, że gdyby nie materialna i logistyczna pomoc Kardynała, „nie wie, czy udałoby mu się dokonać tych wszystkich koniecznych wolt życiowych”. Szczegółów nie dopowiedział.

W Stronnictwie Pracy

Kardynał Henryk Gulbinowicz poparł bardzo zdecydowanie inicjatywę Konrada Sieniewicza, Stanisława Gebhardta i mecenasa Władysława Siły-Nowickiego, by Matkę Bożą Piekarską ogłosić Patronką Sprawiedliwości Społecznej. Ze Stanisławem Gebhardtem utrzymywał trwałe relacje i żywo interesował się wszystkim, co dotyczyło Stronnictwa Pracy. Był przekonany, że wcześniej czy później Stronnictwo znowu zaistnieje w polskim życiu publicznym. Powiedział to do mnie osobiście, bo wiedział dobrze, że jestem kapelanem Stronnictwa Pracy i kilkakrotnie odbyliśmy pogłębione rozmowy na ten temat. Uważał, że odrodzenie Stronnictwa będzie znakiem pełniejszego, ale prawdziwego odrodzenia się życia politycznego w Polsce. Mam pełne podstawy sądzić, że myśl polityczna Hallera, Korfatego, Paderewskiego, Sikorskiego była mu najbliższa, a piszę o tym, by podkreślić, że Ksiądz Kardynał Gulbinowicz umiał traktować sprawy polityczne z bardzo dużą odpowiedzialnością, rozpoznaniem i autentyczną ostrożnością. Pamiętam, z jaką troską powiedział do mnie, gdy rozmawialiśmy o Stronnictwie: „...ale czy oni będą umieli wybronić się przed tym zniżeniem chadecji, jakie się dokonało w Europie”.

Atak na św. Annę

Przyszł rok 1984, rok śmierci ks. Jerzego Popiełuszki i rok zdecydowanego natarcia władz stanu wojennego na św. Annę. W początkach czerwca dzięki księżnej Izabelli Radziwiłłowej dowiedzieliśmy się o ustaleniach dotyczących kościoła św. Anny, jakie zapadły na spotkaniu, które odbyło się, nie wiem w prywatnym czy służbowym mieszkaniu pana Mieczysława Rakowskiego. Znam dokładnie skład personalny tego spotkania, ale ta sprawa niech na zawsze będzie objęta milczeniem. To było haniebne spotkanie, haniebne dla wszystkich jego uczestników, tym bardziej dla mocodawców, a decyzje, jakie na nim zapadły, trudno określić inaczej niż zamach na kościół św. Anny. Ruchy formalne zaczęły się bardzo szybko, a ich istotą była całkowita wymiana składu personalnego duszpasterzy Ośrodka i całkowita eliminacja senioratu akademickiego z życia Ośrodka. Św. Anna straciła też zdolności integracyjne wobec Duszpasterstwa Akademickiego w Kraju, a była przecież ośrodkiem wiodącym dla całej Polski od 1927 roku. O ile mi wiadome, z ówczesnego składu Episkopatu Polski jedynie dwu hierarchów zdecydowało się na życzliwe zainteresowanie się losem św. Anny: ksiądz arcybiskup Bronisław Dąbrowski jako Sekretarz Konferencji Episkopatu Polski i Ksiądz Kardynał Henryk Gulbinowicz. Ten ostatni zdecydował się nawet przyjechać do Warszawy i interweniować u księdza Kardynała Józefa Glempa. Czekaliśmy w napięciu na jego powrót z rozmowy w składzie: Ksiądz Rektor Tadeusz Uszyński, ja jako prorektor św. Anny, ksiądz Marek Szumowski jako duszpasterz akademicki, pani Wacława Śliwowska jako kierująca sprawami Senioratu Akademickiego w towarzystwie Zbigniewa Biernackiego, profesora Henryka Knabe z Politechniki Warszawskiej i doktora Zbigniewa Szlenka. Po powrocie Kardynał Gulbinowicz poinformował nas, że zostały złamane wszystkie ustalenia dotyczące św. Anny z czasu Kardynała Wyszyńskiego, łącznie ze sprawą najważniejszą, bo już domówioną, sukcesą personalną, co przy wyrażnie pogarszającym się stanie zdrowia Księdza Rektora nie było sprawą bagatelną. Podczas rozmowy Kardynał był wyraźnie zmieszany i skrępowany. Pierwszą osobą, która znalazła się na celowniku zmian, byłem ja, ale muszę powiedzieć, że później przy każdej nada-

rzającej się okazji Kardynał Gulbinowicz okazywał mi ostentacyjnie życzliwość i pamięć.

W wolnej Polsce

Przyszł rok 1995 – już wolna Polska. Przed Trzema Królami odwiedziłem z powodów rodzinnych Trzebnicę. Jakże mógłbym nie złożyć przy okazji uszanowania

**PODZIĘKOWAŁEM
MU ZA JEGO
DYSKRETNE, ALE
BARDZO OWOCNE
ZAANGAŻOWANIE
W MODERNIZACJĘ
I DOPOSAŻENIE
STAREGO SZPITALA
TRZEBNICKIEGO.
W ODPOWIEDZI
MIAŁ ON TYLKO
JEDNO ZDANIE:
„USZCZKNAŁEM
TROSZKA
»SOLIDARNOŚCI«,
LECZ I TAK
DOSTAWALI ODE
MNIE WIĘCEJ, NIŻ
DEPONOWALI”**

Kardynałowi Wrocławskiemu. W sposób naturalny rozmowa nasza zeszła na temat Konwentu Św. Katarzyny. Zdziwiła mnie precyzyjna wiedza Kardynała na temat podstaw poszczególnych uczestników obrad „okrągłego stołu” w odniesieniu do spraw „wybijania się Polski na suwerenność”. Nie odbyłem w życiu drugiej rozmowy, w której te sprawy zabrzmiałyby tak czystą nutą

i z takim rozpoznaniem problemów oraz konotacji decyzyjnych. Był zaniepokojony rozwojem sytuacji w Polsce i powiedział: „Hydrze znowu łby odrastają”. Wyraził zaniepokojenie przedłużaniem ze strony polskiej procedur ratyfikacji konkordatu ze Stolicą Apostolską. Skutkiem tej rozmowy było moje osobiste, bardzo intensywne zaangażowanie w formie rozmów na temat konkordatu z wiodącymi osobami Konwentu św. Katarzyny, a głównie z Lechem Kaczyńskim, Janem Olszewskim i Januszem Tomaszewskim. Temat konkordatu poruszyłem też na spotkaniu ogólnym Konwentu. Efektem tych moich starań i zabiegów był bardzo dojrzały od strony politycznej tekst, w którym Konwent jako całość 5 lutego 1995 roku zapelował o jak najszybszą ratyfikację konkordatu. To stanowisko Konwentu było zauważone i docenione nie tylko w opinii publicznej, ale także przez papieża i w środowisku ówczesnej władzy. Bez wątpienia nasze wystąpienie miało realny wpływ na dalszy bieg rzeczy.

Korzystając ze sposobności podczas tej mojej ostatniej, osobistej rozmowy z Kardynałem we Wrocławiu, podziękowałem mu za jego dyskretne, ale bardzo, bardzo owocne zaangażowanie w modernizację i doposażenie starego szpitala trzebnickiego. W odpowiedzi miał on tylko jedno zdanie: „Uszczknąłem trozka »Solidarności«, lecz i tak dostawali ode mnie więcej, niż deponowali”. Chciałem też wykorzystać okoliczność tej rozmowy w sprawie ogromnej wagi – procesu beatyfikacyjnego pierwszego powojennego proboszcza i dziekana trzebnickiego: Księdza Bochenka. Ten temat rozpał Księdza Kardynała. Zaimponował mi znajomością geografii zasiedleń Kresowiaków na Śląsku, ale nade wszystko wiedzą o bohaterskich formach zaangażowania duszpasterskiego księdza dziekana szczególnie w odniesieniu do zainstalowanych tam władz radzieckich, władz realnie istniejących, bodaj do 1949 roku, choć o nieokreślonym statusie. Ksiądz Kardynał podziękował mi za świadectwo o księdzu Bochenku, a w konkluzji powiedział: „To się będzie jeszcze długo ciągnęło, ale to był na pewno bardzo wrażliwy na sprawy ludzkie, prosty, odważny święty kapłan polski”.

Świadectwo powyższe składał z intencją oddania Księdzu Kardynałowi Henrykowi Gulbinowiczowi wyrazów wdzięczności i szacunku za Jego udział w dobrych zmaganiach polskich.

Warszawa, 26 grudnia 2020 r.

GENERAL FRANCO

i jego ideał demokracji organicznej

**ŚWIETNA BIOGRAFIA FRANCISCO FRANCO
WPROWADZA NOWĄ JAKOŚĆ W PRZEDSTAWIANIU
PRAWDZIWEJ HISTORII HISZPANII W POLSCE**



**MACIEJ
BŁOGER**

W języku polskim książek na temat historii Hiszpanii jest niewiele, a skąpa wiedza Polaków na temat dziejów najnowszych tego kraju często niestety wciąż jest oparta na stereotypach wypracowanych przez historiografię i media PRL. I oczywiście przez dzieła lewicowych intelektualistów czy pisarzy w rodzaju Ernesta Hemingwaya. Jako przykład takiego manipulowania wiedzą potoczną można wskazać serial Pawła Komorowskiego pt. „Misja” z 1980 r., ostatnio zrekonstruowany cyfrowo i łatwo dostępny na portalach internetowych TVP czy YouTube. Ostateczny triumf frankizmu w 1939 r. w wojnie domowej jest tendencyjnie przedstawiany w najczarniejszych barwach, gdy strona przeciwna, republikańska, ukazywana jest niemal w białych szatach, jako nieskażeni ideałami poświęcający się za wolność nie tylko Hiszpanów, ale i całej ludzkości. Ta bajkowa wersja historii rodem z sowieckich komiksów propagandowych, znanych i w PRL, wciąż pokutuje w potocznym, a i szkolnym nauczaniu historii.

Tym bardziej należy potraktować z uznaniem każdą publikację próbującą się zmierzyć z takimi mitami i uproszczeniami. W ostatnim czasie za taką ambitną próbę zaradzenia temu opłakanemu stanowi wiedzy należy uznać grubo ponad tysiącstronicową (dwa tomy) monografię niezależnego historyka Sławomira Dawi-

dowskiego „Francisco Franco 1892–1975” wydaną przez Centrum Edukacyjne Polska. Książka posiada walory zarówno edukacyjne, jak i popularyzatorskie. Napisana jest przystępnie, barwnie, ale i skrupulatnie, w przypisach podając i charakteryzując mało znane fakty oraz zamieszczając biografie postaci ważnych w historii Hiszpanii i dla rządów Caudillo. Czym wyróżnia się ta monografia w stosunku do prac wybitnych poprzedników, takich jak Jacek Bartyzel czy Adam Wielomski? Wydaje się, że przede wszystkim połączeniem nacisku na kwestie ustrojowo-polityczne oraz ekonomiczne, ukazanie dążeń Franco do stworzenia maksymalnie sprawiedliwego ustroju życia zbiorowego narodu.

Demokracja organiczna

Myśl społeczno-polityczna Francisco Franco była ze wszech miar oryginalna, choć wywodziła się z wielowiekowej tradycji monarchicznej Hiszpanii, tradycji zachwianej i skruszonej przez nurty rewolucyjne i masońskie w XIX w. Od rewolucji francuskiej rozkładowe siły francuskiego oświecenia i wolnomularstwa skierowały swoje wysiłki także na katolicką Hiszpanię i rozpoczęły kampanię oczerniania, sprowadzając dorobek tego kraju do stereotypu inkwizycji. Kampania ta trwa do dzisiaj. Przykładem tego mowa noblowska Olgi Tokarczuk, w której wyprawa Krzysztofa Kolumba uznana została za początek ludobójstwa pochłaniającego rzekomo 60 mln ofiar. Tymczasem Hiszpania od XIX w. jest kolebką wybitnej myśli politycznej o charakterze kontrrewolucyjnym i nowocześnie konserwatywnym.

W Hiszpanii karlistowskiej od 1830 r. zaczęła się krystalizować oryginalna myśl



polityczna, która złożyła się na próbę stworzenia jedynej w swoim rodzaju ustroju państwowego, nazywanego przez Dawidowskiego demokracją organiczną. Cechą zasadniczą organicyzmu ustrojowego jest silne połączenie wymiaru praktyczno-realistycznego ze sferą etyczną i metafizyczną, a także dążenie do maksymalnie efektywnego łączenia zasady wolności indywidualnej i sprawiedliwości ogólnej: społecznej i państwowej. Takie połączenie może się efektywnie dokonać tylko w osoczu tradycji i religii, które w Hiszpanii wytworzyły monarchia i katolicyzm. Jako głęboki katolik i monarchista Franco dążył konsekwentnie do takiego połączenia. Demokracja zarówno liberalna, jak i socjalistyczna opiera się na materializmie i zawsze prowadzi społeczeństwo do rozkładu i chaosu, dzięki którym zwyciężają ciemne siły historii i ekonomii. Idzie zatem o usunięcie walki klas i stworzenie harmonii między kapitałem a pracą. Zatem partie polityczne, opierające się na demagogii i reprezentujące zawsze interes wąskiej grupy, klasy czy kliku finansowej, muszą zostać zastąpione przez zasadę reprezentacji parlamentarnej sprawowanej przez ludzi wyłonionych z naturalnych ciał, komórek organizmu państwowego: rodziny, gminy, zarządów miejskich, korporacji zawodowych i uniwersyteckich. Dzięki takiemu trybowi wyborca nie głosuje na anonimowego polityka, podlegając presji

mediów i politycznej propagandy, ale na organicznie bliskiego sobie kandydata. W ten sposób wybór jest racjonalny i praktyczny, a nie emocjonalny. Dzięki Franco demokrację organiczną można uznać za zrealizowany, dojrzały, pełnoprawny model ustrojowy, przełamujący skrajności dwóch dominujących w okresie nowoczesnym systemów: liberalizmu kapitalistycznego i kolektywizmu komunistyczno-socjalistycznego.

Kontekst polskiego organicyzmu

Była to próba nawiązania do średnio-wiecznej idei państwa korporacyjnego, którego wskrzeszenie rozważali także zresztą polscy myśliciele konserwatywni z kręgu tzw. młodokonserwatywnu warszawskiego, np. Aleksander Rembowski. W rozprawie „Stanisław Leszczyński jako statysta” z 1875 r. pisał: „Tylko osobista, nieustanna praca, tylko osobisty udział w obowiązkach i ciężarach publicznych, utrzymują w człowieku odpowiednią równowagę obyczajową, która godzi interes osobisty z dobrem ogółu i nie dozwala, aby pierwszy z nich pochłoniął drugi. Jedynie uznając pracę bliźniego i widząc w nim członka społeczeństwa, wyrabia się dokładne pojęcie publicznego obowiązku. Jeśli zaś jedni widzą w drugich rzecz, którą prawnie wyzy-skiwać mogą, wtedy występują egoizm stanowy i pragnienie, aby mu dobro publiczne służyło”. W okresie międzywojennym o taki ustrój postulowali wybitni polscy ekonomiści narodowi Wincenty Lutosławski, Adam Doboszyński i Roman Rybarski. O korporacyjny ustrój społeczny postulował ks. Antoni Roszkowski nawiązujący do myśli społecznej wybitnego filozofa narodowego i organicysty Augusta Cieszkowskiego. Zbyteczne jest dodawać, że ich myśl ekonomiczna nie jest uwzględniana w żadnym istniejącym podręczniku historii ekonomii czy myśli społecznej. Tym cenniejsze jest ukazanie Franco nie jako ciemnego dyktatora, ale jako światłego idealisty organicysty, co w kontekście polskich tradycji pracy organicznej i myśli ekonomii narodowej jest wymowne i olśniewające.

Praca Dawidowskiego, opisując szczegółowo system wypracowany przez Franco, przybliży zasady demokracji organicznej. Model został zrealizowany i jakiś czas funkcjonował, ale w efekcie został zatamowany w rozwoju i osta-

tecnie zniszczony przez napór sił zewnętrznych. Dokładnie tych samych sił, których miał być przeciwstawieniem: komunizmu i masońskiego liberalizmu.

Spisek światowy

Los Hiszpanii pod rządami Franco po raz kolejny pokazuje, że istnieje światowy spisek przeciw cywilizacji chrześcijańskiej i boskiemu naturalnemu porządkowi organicznemu. Awangardą tego spisku jest powołana do życia w Londynie w 1717 r. masoneria łącząca i organizująca wszystkie światowe siły sprzysięgające się przeciw Ewangelii. Świadomość działania i ogromnej mocy destrukcyjnej tej organizacji Franco posiadał zapewne od młodości, ale dał temu wyraz dopiero w 1946 r. w artykule prasowym. Stało się tak po utworzeniu ONZ, z której Hiszpania została wykluczona, co było tym większym skandalem, że do organizacji przyjęto nawet zbrodniczy Związek Sowiecki. Artykuły prasowe złożyły się na wydaną w 1952 r. książkę „Masoneria” wydaną pod pseudonimem Jakim Boor. W książce Dawidowskiego podanych jest wiele faktów pokazujących zadziwiającą zgodność działania przeciw frankistowskiej Hiszpanii sił sowiecko-komunistycznych, liberalno-kapitalistycznych, jak i liberalno-masońskich. Można tutaj dodać, zasygnalizowany tylko w omawianej książce, bulwersujący fakt zawłaszczenia i wywiezienia do Sowietów w 1936 r. hiszpańskiego złota na skutek decyzji części rządu republikańskiego. Gromadzonym przez wieki, bezcennym skarbem narodowym obłowili się przede wszystkim Sowiet, ale przy okazji także finansjera amerykańska i masoneria francuska, która od XIX w. miała duże wpływy w kręgach hiszpańskiej inteligencji mieszczańskiej, która z kolei miała znaczący wpływ na państwo do czasu zwycięstwa Franco.

Żydzi i masoneria

W książce poruszony jest również istotny wątek związków Żydów z masonerią. Franco, nie będąc antysemitą, daleki od rasizmu biologicznego, wielokrotnie pozytywnie i z sympatią wypowiadający się o Żydach sefardyjskich jako pełnoprawnych Hiszpanach, miał zarazem świadomość, że pewna wpływowa część elit żydowskich, posiadająca ogromne wpływy ekonomiczne i polityczne, kie-

ruje się w swych działaniach silnym resentymentem antychrześcijańskim, a judaizm jako podłoże cywilizacyjne tych elit koliduje w ich systemie wartości i postępowania z zasadami cywilizacji łańciskiej. Generał zapewne w całości zgodziłby się z polskim historiozofem Feliksem Konecznym, który kwestie te opracował naukowo np. w trzytomowej „Cywilizacji żydowskiej”, czy wybitnym a niedocenionym teoretykiem cywilizacji ks. Michałem Poradowskim, który dużą część swojego doświadczenia i wiedzy zdobył w Ameryce Południowej. Zacytujmy Franco: „Jeśli mnie pytacie, co jest większym niebezpieczeństwem, marksizmem czy masonerią, odpowiadam, że judaizm, w którym tkwią ich korzenie. Wszystko po to, by położyć kres chrześcijaństwu”. Symptomy rozkładu chrześcijaństwa widział więc także w ideach ekumenizmu i modernizmie religijnym, które nabrały tempa podczas Soboru Watykańskiego II.

Opus Dei – biała masoneria

Franco był członkiem Opus Dei, niezwykle wpływowej organizacji, którą utworzył św. José Maria Escrivá. W latach 60. ta organizacja ukierunkowana zwłaszcza na inteligencję (lekarzy, bankierów, prawników) stała się najsilniejszą grupą wpływu, wykraczającą daleko poza granice Hiszpanii. Za jej sprawą Franco coraz bardziej odchodził od zasad demokracji organicznej i autarkii gospodarczej (autonomii ekonomicznej) i otwierał się na zewnętrzne wpływy ekonomiczne i obcy kapitał. Był do tego poniekąd przymuszony blokadą gospodarczą i różnymi sankcjami, które wywoływały kryzysy gospodarcze. Pragmatyczne podejście przywódcy uczyniło z Hiszpanii 12. potęgę gospodarczą świata, ale zarazem zapoczątkowało proces liberalizacji ustroju, najpierw w aspekcie gospodarczym, ale z czasem w konsekwencji także kulturowym i politycznym, co dzisiaj, jak widzimy, owocuje zupełną destrukcją tego kraju i nawrotem komunistycznego terroru. Udział elitarnego zakonu katolickiego w tym procesie jest niebagatelny, ale nie do końca zbadany, co jest kolejną zagadką historii i ważnym przymiarem dowodzącym, że poważnie należy traktować tzw. spiskowe aspekty dziejów. Rozważania Dawidowskiego na ten temat są niezwykle intrygujące i dające do myślenia, tak jak cała jego monografia. ■

ZIMNA WOJNA OCZAMI KUKLIŃSKIEGO



W TYM ROKU MIJA 15 LAT OD ROZPOCZĘCIA DZIAŁALNOŚCI PRZEZ IZBĘ PAMIĘCI GENERAŁA KUKLIŃSKIEGO W WARSZAWIE



JAN
ŁADA

inicjatorem powstania Izby był dr Józef Szaniawski, historyk, pełnomocnik Ryszarda Kuklińskiego w Polsce, ostatni więzień polityczny PRL (wyszedł na wolność dopiero w końcu grudnia 1989 r.).

Ten był współpracownik polskiej sekcji Radia Wolna Europa przez lata nosił się z zamiarem utworzenia placówki edukacyjnej, która upamiętniałaby konspiracyjne dążenia Polaków do niepodległości. Wobec niespodziewanej śmierci Kuklińskiego, 11 lutego 2004 r. w Tampie na Florydzie, Szaniawski zdecydował o utworzeniu ekspozycji poświęconej wyłącznie misji wywiadowczej pułkownika. 3 maja 2006 r. doszło do uroczystego otwarcia muzeum „pierwszego polskiego oficera w NATO”. Tego dnia na tyłach Bazyliki Archikatedralnej pw. św. Jana Chrzciciela w Warszawie zgromadziło się blisko 3 tys. osób uczestniczących w wydarzeniu.

Muzeum, wielokrotnie wystawiane na rozmaite próby, ukazuje historyczny wymiar misji gen. Kuklińskiego w kontekście powojennej sytuacji geopolitycznej Polski i Europy. Nadal mieści się w swojej początkowej staromiejskiej lokalizacji przy ul. Kanonia. Jego prowadzeniem zajmuje się dziś Filip Frąckowiak, który powołując Fundację Józefa Szaniawskiego, kontynuuje działania swojego tragicznie zmarłego 4 września 2012 r. ojca.

Sytuacja epidemiologiczna przyniosła całkowicie nowe realia. Muzeum z własnej inicjatywy zostało na pewien czas przekształcone w bazę dla żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej, którzy opuszczając swoje domy i rodziny, pomagali warsza-



wiakom podczas pierwszej fali pandemii. Izba Pamięci Generała Kuklińskiego przeniosła się do przestrzeni internetowej.

Postawiono na nową rozszerzoną ekspozycję – wirtualne Muzeum Generała Kuklińskiego, umożliwiając zwiedzającym samodzielne poznanie świata przedzielnego żelazną kurtyną. Kwerenda i prace nad edukacyjnym projektem trwały przez ostatnie półrocze. Do jego realizacji wykorzystano najnowszą technologię, nadając muzeum niepowtarzalny wygląd i formę. Przy tworzeniu przedsięwzięcia pracował zespół muzeum oraz specjaliści od aranżacji techniką 3D. Wykorzystano digitalizację zbiorów oraz metodę fotogrametryczną do przenoszenia fizycznych eksponatów do form wirtualnych. Eksponaty pochodzą z archiwów polskich, sowieckich, amerykańskich oraz prywatnych pamiątek gen. Ryszarda Kuklińskiego.

Co istotne, ta ekspozycja nie jest odwzorowaniem przestrzeni istniejącej placówki. Wirtualne muzeum zostało zaprojektowane od nowa, dzięki czemu składa się z kilkunastu przestrzeni. Znajdziemy tam m.in. gabinet ze Sztabu Generalnego w Warszawie, wnętrze kwatery CIA w Langley, jacht „Legia” czy salę sądową, w której Kukliński został skazany wyrokiem zaocznym na karę śmierci. Można tam spotkać

sowieckich przywódców spoglądających z trybuny Mauzoleum Lenina czy oficera sztabu pochylonego nad sowieckimi planami uderzenia jądrowego na basen Morza Śródziemnego. Notabene te opisane cyrylicą oryginalne mapy wojskowe, pozyskane przez Centralną Agencję Wywiadowczą Stanów Zjednoczonych, nie są prezentowane w żadnym innym miejscu.

Na podstawie istniejących zdjęć odtworzono również niedostępne obiekty, np. sowiecką „Car-bombę” – największą zdetonowaną bombę wodorową stworzoną na zamówienie Nikity Chruszczowa, samolot Tu-95 – sowiecki strategiczny bombowiec służący przez cały okres zimnej wojny, bramę nr 2 Stoczni Gdańskiej im. Lenina czy fragment muru berlińskiego.

Starając się sprostać oczekiwaniom najbardziej wymagających zwiedzających, którzy w muzeum pojawiali się wraz z rodzicami, nieodpłatnie opublikowano dla dzieci i młodzieży e-book i audiobook, w wersji dwujęzycznej, „Tajemniczy oficer”.

Wirtualne Muzeum Generała Kuklińskiego dostępne jest pod adresem:
<https://virtual.generalkuklinski.com>

Autor jest kustoszem Izby Pamięci Generała Kuklińskiego w Warszawie



GRZEGORZ
GÓRNY

W węgierskiej historiografii za drugiego najwybitniejszego władcę w dziejach kraju (po założycielu dynastii Arpadów św. Stefanie Wielkim) uchodzi król św. Władysław I (László I), panujący w latach 1077–1095. Jeżeli w kulturze naszych bratanków istnieje wzór średniowiecznego rycerza chrześcijańskiego, to jest nim bez wątpienia właśnie on.

W Polsce jego postać jest dziś niemal zupełnie nieznana, mimo że był wnukiem Mieszka II, urodził się w Krakowie, wychował na dworze Kazimierza Odnowiciela, a swą chrześcijańską formację wyniósł właśnie z Polski, którą traktował jak drugą ojczyznę. Już jako król przyjął u siebie Bolesława Śmiałego, wygnanego z kraju po zamordowaniu św. Stanisława. Jego zasługi dla Węgier są nieocenione. Odparł najazdy wojowniczych pogańskich plemion Kumanów i Pieczyngów, zabezpieczając na niemal 150 lat południowo-wschodnie granice nie tylko Węgier, lecz także Europy. Podczas bitew wyróżniał się osobistym męstwem, dzięki czemu zyskał przydomek „Bożego atlety”.

Odbudował i skonsolidował państwo po okresie zapaści, tworząc nowe ustawodawstwo i wprowadzając nowoczesny na tamte czasy system sądownictwa. To on położył fundamenty pod przyszłą świetność Królestwa Węgier w średniowieczu.

Sprzeciwiał się ekspansji niemieckich wpływów w Europie Środkowej, opowiadając się w sporze o inwestyturę za papieżem Grzegorzem VII, a przeciw cesarzowi Henrykowi IV. Wzmocnił również sojusz polsko-węgierski, co można tłumaczyć tym, że – jak pisze Gall Anonim – stał się prawie Polakiem, przyjmując polskie zwyczaje.

Zasłużył się też niezwykle dla chrystianizacji Węgier, odbudowując kościoły zniszczone w czasie recydywy pogańskiej oraz fundując liczne klasztory i świątynie katolickie. To właśnie jego licznym darowiznom Kościoł na Węgrzech zawdzięczał swoją pozycję w późniejszych wiekach. Ta hojność związana była z przeświadczeniem, że

László, czyli Władysław



„Pojednanie między św. Władysławem a Salomonem”,
mal. Ferencz Klimkovics

sprawiedliwy ład ziemski da się zbudować jedynie na fundamencie wiary chrześcijańskiej.

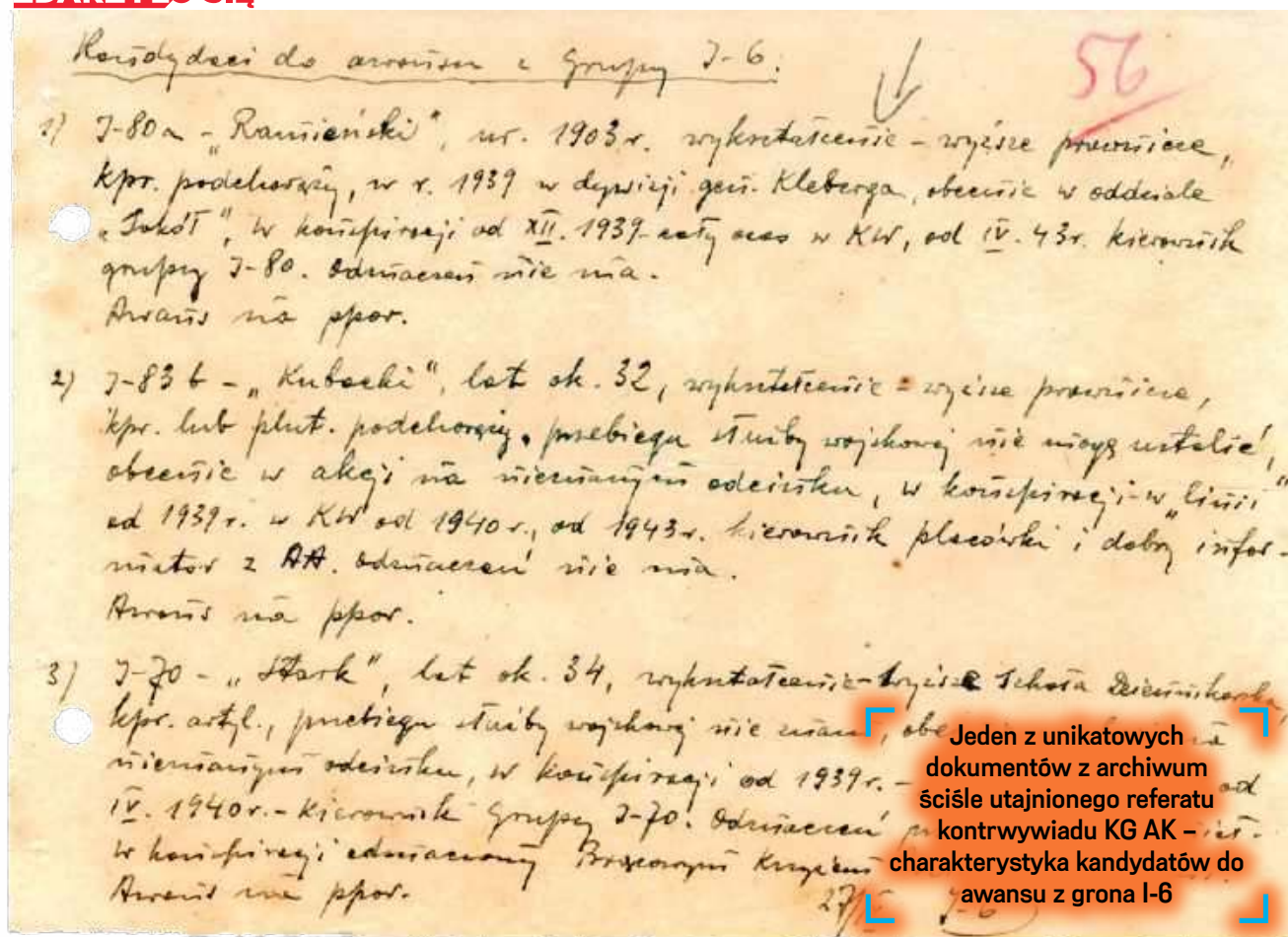
Dzięki staraniom Władysława w roku 1083 podczas synodu w Białogrodzie Stołecznym (Székesfehérvár) doszło do kanonizacji kilku wybitnych Węgrów: króla Stefana Wielkiego, jego syna Emeryka, biskupa Gellérta oraz dwóch eremitów – Andrzeja Świerada i Benedykta. Posiadanie własnych świętych pociągało za sobą powstawanie centrów duchowych, rozwój miejsc pielgrzymkowych oraz wzrost znaczenia w Europie.

Sam Władysław był osobą niezwykle pobożną. Potrafił godzinami modlić się w świątyniach, często nawet w środku nocy. Szczególnie upodobał sobie kościół w Wielkim Waradynie (dziś Oradea w Rumunii). W 1092 r. doprowadził do erygowania w tym mieście biskupstwa. Kiedy zmarł, do jego grobu zaczęli pielgrzymować wierni z całej Korony Węgierskiej, by prosić go o wstawiennictwo. Ten kult spowodował, że król Bela III wystąpił do Rzymu z prośbą o wyniesienie świątobliwego monarchy na ołtarze.

W roku 1192, niemal sto lat po swej śmierci, Władysław I został kanoni-

zowany przez papieża Celestyna III. Dziś jest patronem katedry w Zagrzebiu – nieprzypadkowo, ponieważ to właśnie on był inicjatorem powstania w tym mieście biskupstwa. Został też współpatronem (razem ze św. Stanisławem Biskupem i Męczennikiem) katedry rzymskokatolickiej w Wilnie, co było głównie zasługą św. Jadwigi, która żywiła wielki kult dla św. Władysława.

Z tego samego powodu wynikał wybór imienia, jakie przyjął na chrzcie mąż Jadwigi – litewski książę Jagiełło. Patron miał być dla konwertyty wzorem władcy chrześcijańskiego. Nic więc dziwnego, że w 1412 r. pierwszy polski król z dynastii Jagiellonów udał się z pielgrzymką do grobu św. Władysława w Wielkim Waradynie. Gdy wjeżdżał do miasta, na spotkanie wyszedł mu orszak niosący relikwiarz z głową świętego monarchy. Później Jagiełło długo klęczał przed złotą trumną z ciałem władcy złożoną pod ołtarzem katedry. Być może modlił się o syna, ponieważ nie miał następcy. 12 lat później jego prośby zostały wysłuchane. Pierworodny otrzymał na chrzcie imię Władysław.



Jeden z unikatowych dokumentów z archiwum ściśle utajnionego referatu kontrwywiadu KG AK – charakterystyka kandydatów do awansu z grona I-6

„USZY KONSPIRACJI” – WIELKA SIĘĆ INFORMACYJNA



**MARIUSZ
OLCZAK**

**993/I TO JEDEN Z NAJWIĘKSZYCH REFERATÓW
KONTRWYWIADU KG AK. TA LICZĄCA PONAD 100 OSÓB
GRUPA INFORMATORÓW DOSTARCZAŁA PODSTAWOWYCH
INFORMACJI DOWÓDZTWU KONTRWYWIADU**

Referat 993/I jest bardzo mało znany i mało rozpracowany zarówno przez powojenne śledztwa, jak i późniejsze historyczne badania. Warto mu poświęcić ten artykuł oraz dalsze badania. Dlaczego o tej komórce kontrwywiadu pisano tak mało? Złożyło się na to wiele przyczyn. Przede wszystkim, tak jak w przypadku innych struktur kontrwywiadowczych, zaważył

na tym okres komunistyczny. Podobne tematy, jeżeli były badane, to w celach śledczych, a następnie operacyjnych przez funkcjonariuszy najpierw UB, a później MO i SB oraz innych służb bezpieczeństwa. Właśnie z tego okresu pochodzą pierwsze informacje zachowane w sprawach osobowych przeciwko żołnierzom I-6 oraz w zeznaniach i opracowaniach analitycznych szefa kontrwywiadu Oddziału II KG AK Bernarda Zakrzewskiego ps. Oskar.

Zakrzewski o I-6

Zakrzewski dość dokładnie opisał zadania tego oraz innych referatów kontrwywiadu w opracowaniu „Schemat organizacyjny i skład personalny komórki kontrwywiadu KG AK...”, które przygotował po aresztowaniu w 1949 r. w MBP. Podał kryptonim referatu i stwierdził, że zajmował się on aktualną informacją z terenu Warszawy. Miał się dzielić na sekcje określone numerami



Feliks Wiązowski (na zdjęciu siedzi w środku) przed wojną działał w Stowarzyszeniu Mechaników Lotniczych, z którego członków rekrutował część kadry dowódczej referatu 993/I

I 60, I 70 itd. Wspominał również o I-6 kierowniku referatu Feliksie Wiązowskim ps. Andrzej, który miał prowadzić biuro techniczno-handlowe przy ul. Sikorskiego 33/27. Zanotował także jego rysopis: „Wysoki, szatyn, często nosi okulary, ale nie zawsze, ma charakterystyczny tik nerwowy głowy”. Dość stanowczo oceniał w tej analizie jego pracę: „Maniak jeśli chodzi o ilość – mocno wodnięty – jeśli chodzi o treść”. Co ciekawe, „Oskar” podał, że pracował również w produkcji uzbrojenia AK i był członkiem RPPS. O Wiązowskim powiem więcej poniżej.

Struktura i zadania

993/I to centralna sieć informacyjna, która była częścią referatu operacyjnego o kryptonimie 993 dowodzonego przez Stefana Rysia ps. Fischer. Sieć ta i jej agenci gromadzili podstawowe informacje, które znajdowały się w zasięgu ich działalności, pracy czy kontaktów. Gromadzili je, bezpośrednio prowadząc obserwacje, rozmowy, lub też pośrednio za pomocą swoich kontaktów. Z uwagi na ich bezpieczeństwo i możliwość dekonspiracji nie byli wykorzystywani do rozpracowywania spraw, które „podali” dalej w meldunkach. Wyjątkiem były sytuacje, w których dane sprawy zainteresowały władze zwierzchnie, a nie było możliwości ich rozpracowywania innymi metodami. Sieć referatu pozyskiwała informacje, które masowo zbierano od informatorów mających dostęp do różnych instytucji, organizacji, policji, gestapo, mniejszości, środowisk, Zarządu Miejskiego, kolei, instytucji ochrony zdrowia, szkół, z zakładów przemysłowych, księgarni, banków, restauracji, hoteli, z poszczególnych dzielnic, z przedmieść. Gromadzono dane z obserwacji

ulicznych, aresztowań, łapanek, różnych zdarzeń w miejscach publicznych, słowem wszystko to, co mogło przydać się w analizach prowadzonych dalej w innych komórkach. Były to informacje podstawowe, które uznawano za ważne. Z nich wyławiano najbardziej istotne lub aktualne i przysyłano dalej do dowództwa Wydziału Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu, w którym z kolei umieszczano je w informacjach kartotecznych oraz zlecano sprawę do dalszego rozpracowania czy śledztw. Kierownictwo referatu nie przeprowadzało analiz pozyskiwanych informacji, ale w jak najkrótszym czasie przekazywało je dalej do właściwych referatów w zależności od rodzaju informacji. Materiały zbędne, z gruntu fałszywe, nieprzydatne niszczone. Nie były to rozbudowane analizy z wnioskami, lecz konkretne dane. Na poszczególnych meldunkach widzimy krótkie dekrety, pisane najczęściej czerwoną kredką przez Wiązowskiego, datę oraz kryptonim I-6. Jak oceniał po wojnie „Oskar”, informacje z sieci I-6 stanowiły ok. 60 proc. materiału umieszczanego w kartotece głównej kontrwywiadu. Kierowane do niego były wszelkie informacje na temat współpracy czy kontaktu z okupantem. Referat ten, z uwagi na pozyskiwane informacje o komunie, skontaktowano na wiosnę 1944 r. (miało to być według powojennych zeznań Stefana Rysia jeszcze latem 1943 r.) z referatem 999. Współpraca jednak pozostała formalna, gdyż Wiązowski i Ostoja-Chrostowski, jak podawał „Oskar”, nie przypadli sobie do gustu.

Poza Warszawą sieć miała informatorów nawet w Tarnowie, Siedlcach, Zwoleniu, Piotrkowie, Częstochowie i Dęblinie. Co ważne, poszczególni agenci sieci nie musieli być zaprzysiężonymi żołnierzami AK.

Zdarzało się, że byli już zaprzysiężeni w innych komórkach AK. „Oskar” oceniał, że „Informatorzy i komórki były we wszystkich możliwych skupiskach ludzi”.

W rozpisanej w maju 1944 r. strukturze funkcjonalnej określającej miejsca pracy poszczególnych informatorów sieci mamy zaznaczony nawet rodzaj pozyskiwanych informacji: czy są one pośrednie, czy bezpośrednie. Całość aparatu miał zorganizować Wiązowski sam z wyjątkiem Różyckiego, którego przekazał z „Muskietierów” Kazimierz Leski ps. Bradl.

Struktura zbudowana przez I-6 była największą siecią informacyjną w KW KG AK. Bez względu na to, czy informatorów szacuje się na 200, czy na ponad 100, bo takie są różnice w ocenie, liczba osób wciągniętych do pracy na rzecz kontrwywiadu na pewno robi wrażenie. W marcu 1944 r. I-6 wykazała 105 informatorów, w czerwcu 1944 r. już 129. Dane te dotyczą okresu już po wzmocnieniu referatu agentami zlikwidowanego na początku 1944 r. Referatu 993/L małych afer.

Opis numeryczny polegał na rozszerzaniu numeracji w dół struktur. I tak komórki miały kryptonim dziesiętny od I-30 do I-90. W nich kolejne sieci i ich agentów dzielono ponownie dziesiętnie, tak że podstawowy informator miał trzy- i czterocyfrowy I-601, I-701, I-6023, I-7231. Uzupełniano je niekiedy literami a lub ukośnikiem /1, jak w przypadku czterech agentów I-6021/1, I-6021/2 itd. Według zeznań Bernarda Zakrzewskiego z 1951 r. dodatek do kryptonimu w postaci litery a lub łamanych cyfr oznaczał, że przekazywane wiadomości zostały uzyskane od innego informatora lub osoby. Kolejność numeryczna wcale nie określała kolejności powstawania, gdyż np. I-30 była najmłodszą podgrupą. Co ciekawe, I-6 panował nad wielką strukturą, mając dobrą wiedzę także o sytuacji prywatnej i majątkowej swoich podkomendnych.

Ludzie

Z całej sieci 993/I z imienia i nazwiska znamy dzisiaj jedynie kilkanaście procent składu.

Kierownikiem Referatu 993/I i de facto jego twórcą był Feliks Wiązowski ps. Andrzej, Gustaw, Weiss, Marciniak, Jerzy, I-6, I-60. Przed wojną używał nazwiska Charlak (Szarlach, Szarlak), które zmienił na Wiązowski. Niemniej funkcjonariusze UB po wojnie podejrzewali, że nazywał się Wianowski lub też Janowski. Przed >>

>> wojną był prywatnym przedsiębiorcą, działał również w Stowarzyszeniu Mechaników Lotniczych, którego został prezesem i – co ważne – z którego członków uformował później część kadry dowódczej referatu 993/I. W konspiracji początkowo w Tajnej Armii Polskiej, następnie był kierownikiem grupy informacyjnej w kontrwywiadzie „Muszkietarów”. Od lutego 1942 r. służył w AK, przechodząc do kontrwywiadu wraz z grupą podkomendnych i szerokimi kontaktami. Wiązkowski był bardzo dobrze oceniany przez przełożonych, którzy w kolejnych wnioskach awansowych i odznaczeniowych wystawiali mu dobre opinie. We wniosku na Krzyż Zasługi z Mieczami z 1943 r. zapisali: „I-6 – Kierownik Ref. 993/I. W konspiracji od listopada 1939, w PZP od lutego 1942. Bardzo pracowity, ruchliwy, inteligentny, samodzielny, z inicjatywą, solidny, oddany sprawie całkowicie. Doskonałe wyniki pracy”. Z kolei we wniosku awansowym do Wd-61 z 26 sierpnia 1943 r. Wd-69 napisał w grupie oficerów stanu wojny: „I-6, »Gustaw«, bez służby wojskowej, przemysłowiec. Od 1939 mieś. X prowadzi sam. Kom. Inf. I wywiadu, najpierw przy »Mu«, a od II 1942 w PZP w Wd 69. Opinia: bardzo pracowity, inteligentny, z inicjatywą, obowiązkowy, duży talent organizacyjny”. We wniosku odznaczeniowym na Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami rozszerzono opis: „I-6. ppor. st. wojny. – w konspiracji X.39 r., w 46-b od IV 1942 r. Kierownik komórki I-6. Odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Z zawodu przedsiębiorca prywatny. We własnym zakresie w toku 4-letniej pracy zorganizował aparat informacyjny z wszystkich możliwych instytucji, urzędów oraz ośrodków przemysłowych. Ma wartościowy nasłuch na »K«. Stworzenie tego aparatu obejmującego kilkuset agentów-informatorów jest jego osobistą zasługą. Pracuje dobrze, nie poddaje się żadnym inspiracjom”. Podobnie oceniono go we wniosku na Krzyż Zasługi z Mieczami z 1943 r.: „I-70 – referent in. Ogólnej. W konspiracji od listopada 1939 r., w PZP od lutego 1942. Nie wojskowy. Bardzo pracowity, ruchliwy, doskonałe wyniki pracy”. W pracy konspiracyjnej Wiązkowski używał lokali przy ul. Chłodnej 40/56 i przy ul. Tamka 46/28. Po wojnie z kolei lokalu przy ul. Birżańskiej 8/1. Krótko był nawet dyrektorem Wytwórni „Wedel”, od przełomu 1947–1948 prowadził zaś własne biuro przy Al. Jerozolimskich 27. Został aresztowany 27 stycznia (lub też 4 lutego) 1948 r. UB znalazło u niego archiwum referatu z okresu wojny,

Grupa "I".

1/Weiss	36/Sokół	71/Alex
2/Szary	37/Granat	72/Wacek
3/Wyśki	38/Stach	73/Antek
4/Zapaska	39/Niewypał	74/Kasik
5/Marta	40/Sokwar	75/Andrzej
6/Kwiat	41/Bursa	76/Staniław
7/Zużniew	42/Kujawiak	77/Zenon
8/Laboda	43/Ostoj	78/Maciek
9/Witold	44/Wiktor I	79/Ramienicki
10/Stes	45/Zawrat	80/Mira
11/Gryf	46/Lankowski	81/Wiktor II
12/Tadeusz	47/Ludwik	82/Maciek
13/Tomasz I	48/Zaramba	83/Zygmunt
14/Roch	49/Chromy	84/Marcin
15/Korab	50/Sep	85/Wrona
16/Ciechanowicz	51/Barbara	86/Zarek
17/Baranowski	52/Wawer	87/Korczyński
18/Sas I	53/Jankowski	88/Mura
19/Zakrzewski	54/Ina	89/Pisut
20/Wojciech	55/Ag	90/Kubacki
21/Swa	56/Stark	91/Rene
22/Labacki	57/Motek	92/Muszkietier
23/Masowiecki	58/Wanda	93/Piotr
24/Decki	59/Michał	94/Władysław
25/Cichy	60/Marek	95/Zarys
26/Wróblek	61/Robert	96/Specialny
27/Anna	62/Marian II	97/Tonicki
28/Lubisz	63/Jurand	98/Kurawski
29/Jotka	64/Jurek	99/Konrad
30/Lena	65/Władysław	100/Sas II
31/Milk	66/Wróbel	101/Lech
32/Tolo	67/Stward	102/Swoboda
33/Sak	68/Józef	103/Roman
34/Marian I	69/Tomasz II	104/Sam
35/Sienak	70/Steif	105/Walek.

23.III.44.

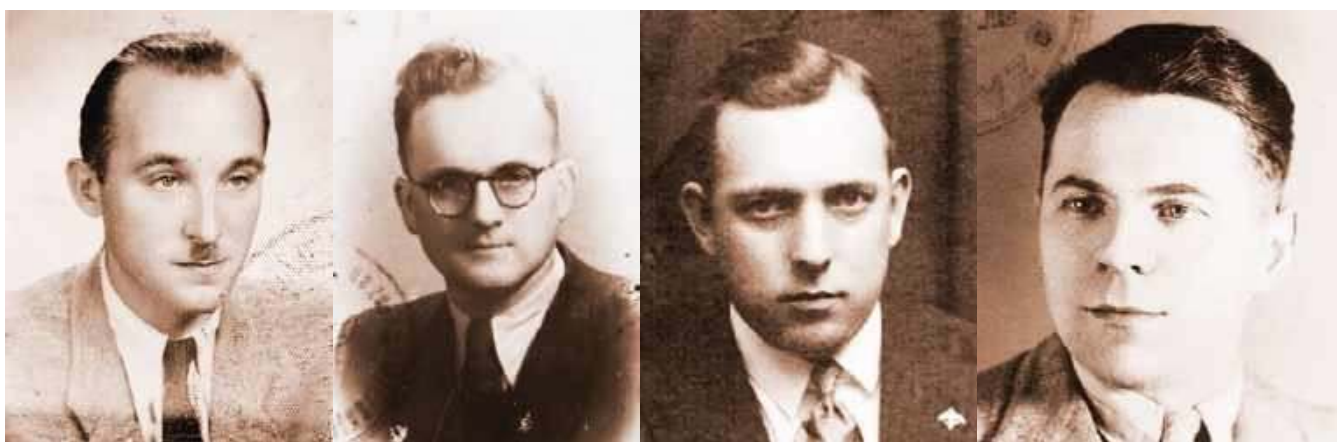
I-6.

Struktura zbudowana przez I-6 była największą siecią informacyjną w KW KG AK. W marcu 1944 r. I-6 wykazała 105 informatorów

które niestety posłużyły do późniejszego śledztwa przeciwko jego podkomendnym. Nie znamy szczegółów przesłuchań przez UB, jednak wszystko wskazuje na to, że na skutek brutalnego przesłuchania prowadzącego do uszkodzeń ciała Wiązkowski zmarł już 13 lutego 1949 r. Nie uzyskano od niego zbyt wielu informacji, o czym może świadczyć to, że jeszcze w 1951 r. Departament III MBP chciał przesłuchać Wiązkowskiego, by wydobyć z niego skład osobowy jego referatu. Jego teczka i akta sprawy zostały zresztą jeszcze zamówione przez ówczesną dyrektorkę Departamentu III MBP Julię Brystiger. Z pewnością warto upamiętnić postać Wiązkowskiego i miejsce jego pochówku. Śledztwami objęto jeszcze kilku członków siatki, jednak MBP nie uzyskało dokładnych danych żołnierzy referatu 993/I.

Wśród tak licznej sieci znamy z imienia i nazwiska stosunkowo niewielu, bo kilkunastu jej agentów. Pierwszych kilku, jak wspominałem, zdekonspirowało MBP, kolejnych Andrzej K. Kunert i Władysław Bułhak oraz A. Leśniewski. Wielu zostało członkami Koła Żołnierzy KG AK Światowego Związku Żołnierzy AK. Innych musimy dalej identyfikować i przypisywać do znanych numerycznych kryptonimów oraz pseudonimów. Poniżej grupa znanych podkomendnych Wiązkowskiego. Wielu związanych było przed wojną, jak wspominałem, z lotnictwem i przemysłem lotniczym. Wśród nich znany UB był Tadeusz Lipiec

ps. I-603, Dzik, ppor., ur. 17 czerwca 1903 r. Przed wojną członek Stowarzyszenia Mechaników Lotniczych, był kontrolerem jakości w fabryce Ursus. Zamieszkiwał przy ul. Lipowej 7/9. W referacie miał nasłuch na PPR i RPPS oraz niektóre zakłady przemysłowe. W okresie powstania w wytwórni materiałów wybuchowych Mydlarnia. Po wojnie był sekretarzem KW PPR w Warszawie i posłem na Sejm. Z kolei Mieczysław K. Przepiórkiewicz (1908–1989) ps. I-601, Marek. Ur. 20 sierpnia 1908 r. przed wojną kontroler w PZL Warszawa-Okęcie, ppor., służył razem z Wiązkowskim w „Muszkietarach”, gdzie był jego zastępcą. Ważną postacią związaną z „Bradlem” był Michał (Tadeusz) Różycki ps. Stark, Roman, I-7, I-70. Podobnie Władysław Skura, ps. Andrzej, Kowalski, Pawlak, I-602, ur. 14 lipca 1910 r. w Nieprowicach, pow. Pińczów. Przed wojną monter Doświadczalnych Warsztatów Lotniczych RWD, pracownik PZL Warszawa-Okęcie i członek Związku Zawodowego Pracowników Zakładów Lotniczych. Wciągnął go do konspiracji Wiązkowski. Oddał on swoje mieszkanie przy ul. Wilczej 74/3 na cele organizacyjne. Służył w „Muszkietarach”. Po wojnie członek ZNP i Stowarzyszenia Inżynierów, Techników i Mechaników. Aresztowany 30 stycznia 1949 r. w swoim mieszkaniu we Włochach przy ul. Parkowej 34/3. Dnia 21 sierpnia 1951 r. skazany został na siedem lat więzienia. Uwolniony warunkowo z więzienia w Rawiczu w stanie skrajnego wycieńczenia 4 września 1954 r.



Od lewej: Stanisław Zamecki, Michał Różycki, Feliks Wiązowski-Szarlak, Mieczysław Przepiórkiewicz

Stanisław Zamecki (1919–2004) ps. I-73, Pobóg – lekarz. Ur. 5 listopada 1919 r. w Radzyminie, w powstaniu warszawskim w batalionie „Ruczaj”. Nasłuch referatu na środowisko sportowe zapewniał były znany pięcioboista, mistrz i rekordzista Polski w biegach oraz dwukrotny olimpijczyk Stefan Szelestowski (1900–1987) ps. I-712. W Referacie 993/I służyli również: Eugenia Kochanowska-Wiśniewska ps. Giga (1914–1995), po wojnie znana trójmiejska pisarka, Jan Szmidt ps. Konrad, I-6021 i członkowie jego piątki: Sochacki-Suchocki, Nalewajko; Antoni Bonert ps. I-6021? i Chwaszczewski z fabryki „Avia” ps. I-6022, I-6023; Władysław Ligaszewski ps. I-6022, I-6023?; Lech Alojzy Sawicki (1903–1983) ps. I-80, I-80a, Ramieński, Jasiński, kierownik grupy I-80, por. w czasie powstania w batalionie „Sokół”, z-ca dowódcy grupy technicznej; Tadeusz Okolski ps. Dzik – w grupie I-80; Aniela Fajudзка-Sienkiewicz ps. I-81, Elżbieta; Wacław Kaflński (1904–1985) ps. Jur, mjr, Zgrupowanie Gurt, Szef Sanitarny Podobwođu Śródmieście-Południe, a po powstaniu lekarz naczelny szpitala ewakuacyjnego PCK; Apolinary Karpiński ps. Michał; A. Ludwiska ps. I-713; M. Malanowicz; Ryszard Najberg ps. I-7231, w czasie powstania w żandarmerii w Batalionie „Ruczaj”. I. Rybicka ps. I-7004; Małgorzata Stankiewicz z d. Gołębiowska ps. Wanda, I-7001. Warto również wspomnieć grupę związaną w większości z PZL Eugeniusza Piotrowicza, Hilarego Gąsiorowskiego, Czesława Mackiewicza, NN Panaka, Bronisława Wiernickiego, Telesfora Ryńskiego, NN Krzyczkowskiego i Leopolda Balińskiego. Związki z referatem tych ostatnich zasługują jeszcze na opisanie.

Lokale

Referat używał aż 15 lokali konspiracyjnych utrzymywanych z pieniędzy służbowych. Znamy ich kryptonimy. Były to: Hala (se-

cretariat referatu), Izba, Iglarnia, Interes, Heblarnia, Hafciarnia, Spółdzielnia, Hangar, Sorbona, Salon, Stadion, Stolarnia, Sadyba, Spójnia i Hortensja. Oczywiście były one opłacane przez referat, a kwoty czynszu wynosiły od 100 do 450 zł. Były to lokale grzecznościowe lub sublokatorskie. Jedynie lokal Sadyba z trzema pokojami i tyłoma kuchniami był wynajęty dla spalonych na kwarantannie lub ukrywających się. Lokale zamieszkiwane były z reguły przez jednego lub dwóch „pracowników Firmy”, jak to określano w opisach. Nie znamy niestety ich dokładnych lokalizacji, które były ze zrozumiałych względów objęte największą tajemnicą i niepodawane w zapisach ewidencyjnych. Najczęściej mieszczyły się w typowych mieszkaniach, jednak w kilku przypadkach były to warsztaty i sklepy. Wszystkie z wyjątkiem spaleniuwej Sadyby znajdowały się w samej Warszawie. Ze znanych obecnie lokali można wymienić te używane przez szóstkę Władysława Skury przy ul. Szczygłej 4/6 (sekretariat), przy ul. Wilczej 74/3, na rogu Opaczewskiej i Szczęśliwickiej. Lokale służyły jako sekretariaty, miejsca kontaktowe, skrzynki lub miejsca pracy. Pamiętajmy jednak, że głównym obszarem działalności poszczególnych informatorów były miejsca, w których mieli kontakty lub które mieli rozpracowywać.

Sprawy

Ważniejsze sprawy zebrane przez sieć były kontynuowane i analizowane przez 993, a następnie podawane dalej. Ich liczba rosła wraz ze zdobywaniem przez informatorów doświadczenia. Do takich spraw należał m.in. sprawa śmierci Jana Czarnomskiego, Kupeckiego, Miecza i Pługa, czy spraw nazywanych „aferami”, które opisywano bardzo dokładnie. Nadal sieć przesyłała informacje o komunie do kartoteki referatu 999. Wraz jednak ze zbliżaniem się frontu zadania 993/I były uściślane w stronę niemiecką.

19 lipca 1944 r., tuż przed wybuchem powstania, Stefan Ryś ps. Fischer w rozkazie do I-6 pisał o zadaniach dla tej sieci na najbliższe tygodnie: „Żadnych zmian etatowych ani podwyżki budżetowej nie przeprowadzimy. W związku z rozwojem sytuacji proszę raczej skoncentrować wysiłek na dotykach do Niemców, jeśli się pojawia gdzieś możliwości dobrego nasłuchu. Z tematów interesując nas w pierwszym rzędzie sprawy planów niemieckich na najbliższy czas, a więc ewakuacja, wyjazdy VD czy przymusowe, czy dobrowolne, w jakich terminach, dokąd, czy wyjeżdżają również osoby zatrudnione w instytucjach publicznych, / były jakieś zebrania w SA z pogrózkami pod adresem Polaków, czy coś o tym wiecie/. Czy wykonanie robót ziemnych wstrzymane? Jakże instytucje już wyjechały, kiedy się wybierają i dokąd? Czy są jakieś dowody demoralizacji u Niemców, czy Austriacy różnią się w ocenie sytuacji od partyjniaków? Czy szkolenie ludności niemieckiej trwa? W ogóle trzeba z szkodą dla sumy wiadomości koncentrować się na zagadnieniach ogólnych i najważniejszych. Czy opracowuje się jakieś listy, czy zaprzyjaźnieni Niemcy ostrzegają Polaków i przed czym? Na istotne i źródłowe wiadomości w tej sprawie mogą wydać dodatkowe sumy. Aparatu jako całości proszę nie rozbudowywać”. Krótko potem wybuchło powstanie warszawskie. Etatowi pracownicy oraz informatorzy referatu wzięli udział w walkach w szeregach różnych powstańczych oddziałów. W ewidencjach unikali podawania faktu swojej służby w sieci i w referacie. Po wojnie, o ile zostali w kraju, również nie chwalili się swoimi przydziałem, a rozpracowania UB dotarły li tylko do nielicznych. Dopiero wraz z powstaniem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej i Koła Żołnierzy KG AK zaczęli podawać w ankietach informacje o swojej służbie w referacie wraz z charakterystycznymi kryptonimami z literą I. Komunistyczne władze zabrały im jednak kilkadziesiąt lat życia w państwie, o które walczyli swoją służbą.

DRAMATYCZNA HISTORIA „OJCA” DYZMY

FASCYNOWAŁ GO ŚWIAT
WIELKICH RAUTÓW,
GŁĘBOKIEJ PROWINCJI
ORAZ MECHANIZMY
ZDOBYWANIA WŁADZY,
KARIER OD PUCYBUTA
DO MILIONERA – TYL ŻE
W WARUNKACH POLSKICH.
POZOSTAWIŁ PO SOBIE
DZIEŁA WIELKIE, ALE
I UTWORY POPULARNE.
ZGINĄŁ W CZASIE, GDY
HOLLYWOOD PRAGNAŁ
KUPIĆ PRAWA DO
EKRANIZACJI JEGO
KILKU POWIEŚCI,
A NAJSTRASZLIWSZA
WOJNA XX w. DOPIERO
NABIERAŁA ROZPĘDU



MARTA
CYWIŃSKA

Tadeusz Dołęga-Mostowicz przyszedł na świat 10 sierpnia 1898 r. w guberni witebskiej, w majątku Okuniewo, oddalonym 10 km od Głębokiego. Dołęga to herb rodu matki. Jego ojciec Stefan był majętnym i wziętym prawnikiem. Matka Stanisława, de domo Popowicz, godziła wychowanie trójki dzieci z administrowaniem folwarkiem. Tadeusz ukończył gimnazjum

w Wilnie w 1915 r. Następnie rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu w Kijowie. W tamtym okresie wstąpił do konspiracyjnej Polskiej Organizacji Wojskowej. W 1917 r. przerwał studia i wyjechał do Warszawy, gdzie zaciągnął się do tworzącego się Wojska Polskiego. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Dopiero w 1922 r. zrzucił mundur.

„Tu trzeba elegancko, panie drogi, z szykiem, z fasonem”

Jego portfel świecił pustkami, a niepełne wykształcenie nie gwarantowało mu wymarzonej pracy. W stolicy pracował najpierw jako zecer, później jako korektor, a wreszcie jako reporter. Dopiero w 1925 r. otrzymał posadę w redakcji „Rzeczpospolitej”, dziennika jawnie artykułującego swą niechęć wobec Marszałka. Jako felietonista używał podówczas pseudonimu C. hr. Zan i podejmował tematy ważne, a drażliwe dla wielu odbiorców (np. okoliczności aresztowania gen. Juliusza Malczewskiego czy wreszcie pobicia posła Jerzego Zdziechowskiego).

Po przewrocie majowym naraził się definitywnie zwolennikom Piłsudskiego. 8 września 1927 r. na ul. Grójeckiej został napadnięty przez „nieznanych sprawców”, brutalnie wciągnięty do samochodu, przewieziony do lasu nieopodal podwarszawskich Janek, tam dotkliwie pobity oraz wrzucony do glinianki przez sanacyjną bojówkę. Od samotnej śmierci uratował go przechodzący nieopodal włościanin.

Bandyckie pobicie za przyzwoleniem władzy spotkało się z ostrą reakcją większości wychodzących wówczas gazet, nawet tych, których profil polityczny daleki był od linii chadecko-narodowej „Rzeczpospolitej”, w której pracował podówczas Dołęga. Redaktorem naczelnym był weteran Narodowej Demokracji Stanisław Stroński. Wśród współpracowników gazety znajdowały się takie wybitne postacie jak Jan Pa-



randowski, Kazimierz Bartoszewicz, Kornel Makuszyński czy Adolf Nowaczyński.

Bezpośrednimi sprawcami okazali się funkcjonariusze policji z por. Bolesławem Kusińskim na czele. Uprowadzenia dokonali przy użyciu buicka należącego do samego płk. Janusza Jagryma-Maleszewskiego – komendanta głównego. Mimo mocnych dowodów zgromadzonych przez śledczych sąd uznał je za niewystarczające i sprawcy pozostawiali bezkarni.

„Strój balowy – orderzy”

Dołęga-Mostowicz przypłacił pobicie depresją i zdecydowanie złagodził ton, w jakim wypowiadał się o rządach pomajowych. Uraz psychiczny zniechęcił go do uprawiania dziennikarstwa. Zaczął pisać pierwsze powieści – po trosze z chęci zemsty na sanacji. I to one otworzyły mu drzwi do wielkiej kariery literackiej. Odnosił sukces za sukcesem. W ciągu zaledwie kilku lat stał się jednym z najbardziej poczytnych pisarzy II RP, którego dzieła eksponował z sukcesem krajowy przemysł filmowy. Popularność i pozycję dała mu jednak dopiero „Kariera Nikodema Dyzy” (1932), po której pisarz wydawał po dwie powieści rocznie (w sumie napisał ich 17!), uzyskując ogromne – jak na ówczesne czasy – honoraria. Około 1935 r. zamieszkał w luksusowym apartamencie na pierwszym piętrze pałacu Rembielińskiego przy ul. Piusa XI 10 (obecnie Aleje Ujazdowskie 6a).

W przygranicznym miasteczku Kutry, gdzie organizował obronę, 20 września 1939 r. dosięgła go kula z ręki żołnierza wkraczających oddziałów radzieckich. To jedna z kilku wersji ostatnich chwil Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Okoliczności



FOT. WIKIPEDIA

Tadeusz
Dołęga-
Mostowicz

tego wydarzenia nie są jasne. Prawdopodobnie stało się to w czasie walki polskiego patrolu osłonowego, którym dowodził.

Wedle innej wersji rozdawał głodującym mieszkańcom chleb pozostawiony w budynku koszar. W tym czasie do miasta wkroczyły wojska sowieckie. Trzy czołgi ostrzelały samochód z niosącymi pomoc polskimi żołnierzami, którzy wycofali się w stronę mostu. Wedle innej wersji pisarza zabili sowieccy żołnierze, gdy zwlekał z poddaniem się i oddaniem broni. Jest również relacja mówiąca, że Dołęgę zabił sowiecki żołnierz zainteresowany jego butami. Pierwotnie został pochowany w Kutach 22 września 1939 r. przez miejscowych Polaków, którzy ufundowali pomnik nagrobny. Ciało pisarza zostało ekshumowane i złożone na warszawskich Powązkach w 1978 r. Poświęcone pisarzowi epitafium znajduje się w krużgankach (ciąg lewy) warszawskiego kościoła św. Antoniego Padewskiego.

„Wspaniały! Wspaniały!”

W 1932 r. ukazała się najważniejsza jego powieść – „Kariera Nikodema Dyzmy”, w której na przykładzie ówczesnej Polski

ukazał uniwersalne mechanizmy kierujące elitami władzy. Cyniczny „Nikt” to urzędnik z prowincji, który wyrusza do stolicy w poszukiwaniu pracy. I to lepiej konkretnej, dobrze płatnej, by nie przemęczyć się przy tym zanadto. Znalezienie na ulicy zaproszenie zaprowadza go na przyjęcie dyplomatyczne. Chociaż w większości postaci i opisanych sytuacji nie można dopatrzeć się rzeczywistych pierwowzorów, to w postaci pułkownika Waredy, przyjaciela Dyzmy, można bez trudu rozpoznać Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego.

Niewielu odbiorców współczesnych zna jego wszystkie powieści, a Dołęga-Mostowicz napisał ich kilkanaście. Do najlepszych – poza wspomnianą „Kariery Nikodema Dyzmy” – należą m.in. „Ostatnia brygada” (druk w odcinkach 1930, wyd. książkowe 1932), „Kiwony-Kiwony” (druk w odcinkach 1932, wyd. książkowe 1987), „Prokurator Alicja Horn” (1933), „Bracia Dalczyński” (1933), „Doktor Murek zredukowany” i „Drugie życie doktora Murka” (1936), „Znachor” (1937), „Trzy serca” (1938), „Profesor Wilczur” (1939) czy „Pamiętnik pani Hanki” (1939). Popularnymi w latach 30. powieściami są zaliczane do tzw. literatury dla

kobiet: „Trzecia płeć” (1934), „Świat pani Malinowskiej” (1934) oraz dylogia „Złota maska” (1935) i „Wysokie progi” (1935), swobodnie nawiązująca do kariery Hanki Ordonówny i jej małżeństwa (1931) z hr. Tyszkiewiczem.

Ostatnią jego książką powstałą tuż przed wybuchem II wojny światowej był „Pamiętnik pani Hanki” (1939) – lekka, humorystyczna powieść sensacyjna w formie pamiętnika z licznymi przypisami autora i dowcipnymi odniesieniami do samego siebie, ukazująca postać młodej, pełnej życia i wiary w siebie bogatej mężatki (żony dyplomaty), z akcją rozgrywającą się w środowisku tzw. wyższych sfer Warszawy. Bohaterka, podejrzewająca męża o romans z inną kobietą, mimo woli wpłataje się w aferę szpiegowską; w tle powieści obecne są już zapowiedzi nadchodzącej wojny.

Przez wiele lat krytycy literaccy przypisywali Dołędze także autorstwo powieści „Czeki bez pokrycia”, będącej ostrą krytyką rządów sanacyjnych. W rzeczywistości autorem tej powieści był wspomniany tu Jerzy Zdziechowski, który świadomie stylizował ją na prozę poczytnego w latach 30. pisarza i wydał w 1933 r. pod pseudonimem W.M. Dęboróg.

Jednakże to finalne przesłanie z „Kariery Nikodema Dyzmy” wypowiedziane przez Zorzę Poniemirskiego do dziś zachwyca profetyczną błyskotliwością:

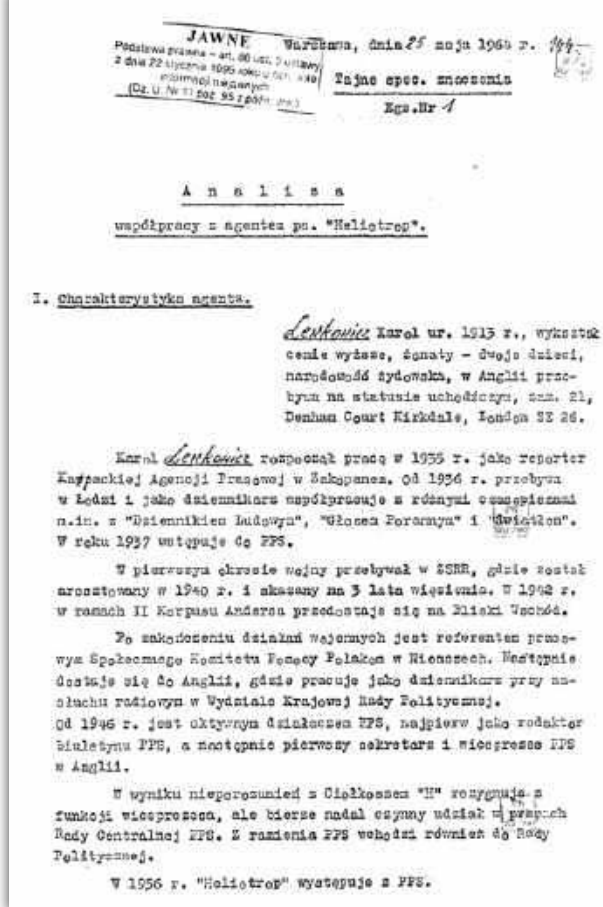
„Otóż oświadczam wam, że wasz mąż stanu, wasz Cincinnatus, wasz wielki człowiek, wasz Nikodem Dyzma to zwykły oszust, co was za nos wodzi, to sprytny łajdak, Szaleniec, Prawda fałsz, i jednocześnie kompletny kretyn! Idiota, niemający zielonego pojęcia nie tylko o ekonomii, lecz o ortografii. To cham, bez cienia kindersztuby, bez najmniejszego okrzęszenia! Przyjrzyjcie się jego muzycznej gębie i jego prostackim manierom! Skończony tuman, kompletne zero! Daję słowo honoru, że nie tylko w żadnym Oksfordzie nie był, lecz żadnego języka nie zna! Wulgarna figura spod ciemnej gwiazdy, o moralności rzezimieszka. Sapristi! Czy wy tego nie widzicie? Źle powiedziałem, że on was za nos wodzi! To wy wywindowaliście to bydlę na piedestał! Wy ludzie pozbawieni wszelkich rozumnych kryteriów! Z was się śmieję, głupty! Z was! Motloch!...”

Wszystkie śródtytuły oraz cytaty pochodzą z <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/kariera-nikodema-dyzmy.pdf> dostęp 20.03.2021

eprasa.pl 30bf7f225a

lowi i Juliuszowi Mieroszowskiemu. Zapewniał ich, że „Odgłosy” są rzekomo finansowane przez polsko-angielskie firmy prowadzące interesy handlowe z krajem. Kusił też wysokim honorarium. Broncel zapalił się do propozycji Lewkowicza. Namawiał Mieroszewskiego, by razem weszli do redakcji „Odgłosów”, a następnie faktycznie przekształcili pismo w popularniejsze, tygodniowe wydanie „Kultury”. Mieroszewski był bardziej ostrożny. Nie mógł uwierzyć, że znalazły się jakieś firmy, które w ciemno ofiarowały pieniądze na wydawanie tygodnika. W liście do Jerzego Giedroycia z 4 lipca 1957 r. pisał: „Coś tu nie gra! Wydaje mi się, że albo facet gdzieś pożyczyl trochę pieniędzy i ryzykuje, albo ktoś [czytaj: władze PRL – K.T.] go finansuje”. Przyjęcie propozycji Lewkowicza uważał za zbyt ryzykowne: „Niech wyjdzie z tego jakiś smród, to wówczas będzie się nazywało, że p. Mieroszewski współpracował z pismem finansowanym przez reżimową ambasadę”. Sceptycznie do inicjatywy Lewkowicza odniósł się również Giedroyc. Ostatecznie ani Mieroszewski, ani Broncel nie podjęli współpracy z „Odgłosami”.

Wydarzenia międzynarodowe na łamach tygodnika komentował znany publicysta Kazimierz Smogorzewski, przed II wojną światową wieloletni korespondent zagraniczny najpoważniejszych polskich czasopism. Polityką emigracyjną zajmował się Stanisław Olszewski, przewodniczący Komitetu Zagranicznego Stronnictwa Demokratycznego, członek Tymczasowej Rady Jedności Narodowej i Zgromadzenia Ujarmionych Narodów Europejskich (ACEN). Artykuły na łamach „Odgłosów” zamieszczał również działacz jednego z odłamów Stronnictwa Pracy – Józef Żywina (wszyscy trzej podjęli także tajną współpracę z wywiadem PRL). Lewkowiczowi nie udało się jednak skupić przy „Odgłosach” grupy ludzi, która mogłaby odegrać poważniejszą rolę polityczną na emigracji. Od



Wiosną 1966 r. w kierownictwie MSW zapadła decyzja o likwidacji „Oblicza Tygodnia”. O zakończeniu współpracy przesądziły coraz bardziej ograniczone zaufanie do Lewkowicza oraz wysokie koszty wydawania pisma. Na zdjęciu notatki funkcjonariuszy wywiadu MSW z 1966 r. z analizą i wnioskami ze współpracy z agentem ps. Heliotrop

współpracy z tygodnikiem odstręczały emigrantów pogłoski o finansowaniu pisma przez warszawską ambasadę.

„Beatyfikacja” Października

Zachowując pozory niezależności i samodzielności, „Odgłosy” propagowały ideę współpracy wychodźstwa z krajem. Pismo demaskowało również „szkodliwą” działalność emigracji. Nagłaśniając konflikty między poszczególnymi ugrupowaniami oraz wewnątrz nich, redakcja siłą zamęt, pogłębiała rozbięcie wychodźstwa. Dla „równowagi” tygodnik mógł krytykować niektóre posunięcia władz PRL. Rola quasi-opozycji miała w rzeczywistości ułatwiać realizację zadań postawionych przez peerelowski wywiad.

Redaktor „Odgłosów”, odcinając się od emigracyjnego legalizmu i koncepcji państwa na wygnaniu, za prawowite uznawał władze urzędujące nad Wisłą,

a nie nad Tamizą. Obronę popaździernikowych zdobyczy uważał wręcz za obowiązek każdego Polaka. Opowiadając się za gospodarczą i polityczną pomocą Zachodu dla Polski, podkreślał jednak „konieczność współpracy z Rosją”. Wskazywał również na potrzebę umocnienia granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Emigracja miała według niego spełniać funkcję adwokata interesów kraju na Zachodzie. Zabiegać o pomoc i uznanie „nowej” Polski, pośredniczyć w kontaktach gospodarczych, kulturalnych czy naukowych.

W innym artykule, krytykując „kacykarstwo” małomiasteczkowych dygnitarzy w kraju, równocześnie wytykał bezkarność i sobiepaństwo politykom emigracyjnym. Zakłamanie i protekcyjizm miały drażnić polską politykę niezależnie od ustroju i szerokości geograficznej. Pod tym względem sytuacja na wychodźstwie była – według Lewkowicza – nawet gorsza niż w kraju. „Choroba” zaatakowała już emigracyjne elity, nad Wisłą najbardziej uciążliwi byli natomiast prowincjonalni dygnitarze.

Przekonywał, że po Październiku '56 zasadniczej zmiany uległa polityka zagraniczna PRL. Twierdził, że choć Polska Gomułki nie była jeszcze krajem suwerennym, to przestała już być sowieckim sate- litą, a władze w Warszawie kierowały się interesem Polski. Uznając, że rządzący w kraju komuniści reprezentują polską rację stanu, publicysta podważał nie tylko etos, ale i sens emigracji politycznej.

Miał też nadzieję na uzyskanie debitu dla „Odgłosów” w kraju. Jednak tygodnik tylko sporadycznie i nieregularnie docierał do adresatów nad Wisłą. Nawet egzemplarze wysyłane w zamkniętych kopertach były konfiskowane na poczcie. Zawiedziony krytykował politykę „debitową” i „pocztową” władz PRL.

Likwidacja tygodnika „Po Prostu” w pierwszą rocznicę polskiego Października była dla „Odgłosów” przykrym zaskoczeniem. Lewkowicz otwarcie sympatyzował ze studentami demonstrującymi w obronę zamkniętego tygodnika. Apelował do władz o stosowanie „metod perswazji, a nie policyjnego kneblowania ust”. Decyzję >>

» w sprawie „Po Prostu” uznał za jedno „z najbardziej niefortunnych posunięć obecnego polskiego kierownictwa politycznego i państwowego”.

Lewkowicz osobiście odpowiadał za linię polityczną pisma. Jego mocodawcy nie ingerowali szczegółowo w treść każdego numeru. Jednak kolejne krytyczne głosy pod adresem władz PRL na łamach tygodnika zostały negatywnie odebrane w Warszawie. Po kilku miesiącach ukazowania się „Odgłosów” kierownictwo wywiadu zarzucało mu niezachowanie odpowiednich proporcji między artykułami krytycznie oceniającymi sytuację w kraju a tekstami popierającymi politykę władz PRL. Centrala uważała również, że pismo zbyt wiele uwagi poświęcało na komentowanie sytuacji nad Wisłą, na boku zostawiając problematykę emigracyjną.

Innym razem redaktor „Odgłosów”, zarzucając emigracyjnym politykom głupotę, oportunizm, wysługiwanie się obcym interesom, przekonywał, że Polacy nie mogą liczyć na wyzwolenie przez Zachód. Krytykował emigrantów za „bezmąslną wiarę” w obcą protekcję i próbę budowania na tym polskiej polityki: „Nawet smutne doświadczenia minionej wojny i niedotrzymane [przez Zachód – K.T.], konkretne zobowiązania sojusznicze nie nauczyły ich patrzenia na palce przyjaciółom, nie nauczyły ich stawiania warunków czy dostrzegania faktu, że nie zawsze interes naszych przyjaciół czy tym bardziej potencjalnych przyjaciół – jest naszym interesem”. Podważając wiarę w politykę Zachodu, przyczyniał się do demobilizowania nastrojów na emigracji, utrwalania postaw zniechęcenia, poczucia beznadziejności i braku politycznej alternatywy.

Wielokrotnie wytykał też emigracyjnym politykom brak zasad, cynizm, interesowność.

W nowej szacie

Wiosną 1958 r. Lewkowicz wystąpił z propozycją uatrakcyjnienia „Odgłosów”. Od października tego roku pismo zmieniło tytuł na „Oblicza Tygodnia”. Przy zmniejszonym formacie objętość wzrosła z czterech do dwunastu stron. Zmieniła się szata graficzna, pojawiły się też nowe działy (sportowy, powieść w odcinkach, porady prawne i lekarskie). Kierunek polityczny tygodnika pozostał jednak bez zmian.

Gdy dwa lata później Lewkowicz przedrukował notatkę Mieroszewskiego z „Kultury” paryskiej dotyczącą powojennych granic Polski, opuścił tylko jedno zdanie:

„Potrzebna jest nam nie zmiana granic, ale niepodległość”. Jak celnie skomentował Mieroszewski w liście do Giedroycia: „To zdanie opuścił dla słowa »niepodległość«. Jak można się zdradzić jednym słowem!”.

Oficer wywiadu kpt. Zbigniew Mikołajewski, z zajmującego się emigracją polityczną Wydziału V Departamentu I MSW, analizując w kwietniu 1959 r. współpracę z Lewkowiczem, stwierdził: „»Lina« jest dobrym naszym agentem inspiracyjno-politycznym, który poprzez wydawany tygodnik, a także zamieszczane przez niego osobiście w nim artykuły rozwija i utrwała wśród emigracji ideę zbliżenia i współpracy emigracji z krajem oraz demaskuje w sposób właściwy z pozycji emigracyjnej wroga, antynarodową działalność przywódców emigracji politycznej”.

Choć Lewkowicz realizował stawiane przed nim zadania, to jednak co jakiś czas pojawiały się problemy. Rezydent wywiadu PRL w Londynie ppłk Czesław Makowski nie wykluczał nawet, że redaktor „Oblicza Tygodnia” może równocześnie współpracować z angielskim kontrwywiadem. Choć podejrzewano „Heliotropa” (nowy pseudonim Lewkowicza) o dwulicowość, nie zamierzano zrywać z nim kontaktu. Mimo zastrzeżeń kierownictwo wywiadu całokształt współpracy z Lewkowiczem oceniało dodatnio.

Na początku lat 60. sprzedaż tygodnika wynosiła ok. 4,5 tys. egzemplarzy. Pismo ciągle było jednak deficytowe i bez dotacji z Warszawy nie miało szans na przetrwanie. Całkowity koszt wydawnictwa kwartalnie sięgał 3,2 tys. funtów. Przychód ze sprzedaży, prenumeraty i ogłoszeń wynosił 1,5 tys. funtów. Deficyt w wysokości 1,7 tys. funtów pokrywany był z funduszu operacyjnego wywiadu PRL (koszt jednego numeru wynosił średnio 260–290 funtów, w tym dotacja 140–150 funtów). W centrali wywiadu podejrzewano, że Lewkowicz zawyżał wydatki, ciągnąc z tego procederu osobiste korzyści. Oprócz stałej dotacji czerpał też znaczne dochody z wierszówki jako główny autor tygodnika.

Nerwową reakcję kierownictwa wywiadu wywołała obrona na łamach „Oblicza Tygodnia” Listu 34 krajowych intelektualistów do premiera PRL Józefa Cyrankiewicza z 1964 r. Jego sygnatariusze protestowali przeciwko ograniczeniom przydziału papieru na druk książek i czasopism oraz zaostreniu cenzury. Z uznaniem podkreślono również, że „znaleźli się odważni, którzy protest podpisali. Świadczy to dobrze nie tylko o charakterze

i poziomie moralnym wybitnych przedstawicieli polskiej nauki i literatury, ale i o tym, że obecny ustrój Polski daleki jest od klasycznych wzorów totalizmu i dyktatury”. W rezultacie w Warszawie rozważano nawet natychmiastowe wstrzymanie dotacji i zakończenie współpracy z Lewkowiczem, ostatecznie przeważała jednak opinia, że tygodnik ciągle jest potrzebny.

Jednak zamknięty

Zresztą po „chwilowym nieporozumieniu” pismo kontynuowało dywersyjną działalność wśród emigracji. W tym samym roku na łamach „Oblicza Tygodnia” ukazało się kilkanaście artykułów pod wspólnym tytułem „Na tropach niemieckiej dywersji i infiltracji”, w których Lewkowicz odślaniał kulisy „penetracji niemieckiej wśród polskiej emigracji” i przestrzegał przed „umizgami” emigrantów wobec RFN. Jako germanofilów demaskował czołowych publicystów: Aleksandra Bregmana, Wacława Zbyszewskiego czy Kazimierza Okulicza.

Wiosną 1966 r. w kierownictwie MSW zapadła jednak ostatecznie decyzja o likwidacji „Oblicza Tygodnia” (ostatni numer ukazał się w końcu sierpnia). O zakończeniu współpracy przesądziły coraz bardziej ograniczone zaufanie do Lewkowicza oraz wysokie koszty wydawania pisma. W ciągu dziewięciu lat dotacja dla „Odgłosów”, a następnie „Oblicza Tygodnia” wyniosła ponad 62 tys. funtów (kolejne 3,6 tys. funtów agent otrzymał za przekazywane informacje). Poza tym tygodnik Lewkowicza nie był już jedynym prokrajowym czasopismem na emigracji. Z punktu widzenia władz PRL nawet lepiej ze swej roli wywiązywał się redaktor „Kroniki” Bolesław Świdorski. (Szerzej o Bolesławie Świdorskim i wydawanym przez niego w Londynie piśmie pisaliśmy na łamach „wSieci Historii” nr 11–12/2020).

W połowie lat 60. widoczna była rywalizacja o względy władz PRL między Lewkowiczem a Świdorskim. Byli oni też swego rodzaju konkurentami na dość wąskim emigracyjnym rynku czytelnictwa. Jeśli redaktor „Oblicza Tygodnia” stawiał na partyjnych „rewizjonistów” i szukał kontaktów z lewicową inteligencją katolicką ze środowiska „Więzi” czy „Znaku”, to Świdorski wiązał nadzieję ze zdobywającymi coraz większe wpływy „partyzantami”. Być może tym należy również tłumaczyć fakt, że tygodnik Lewkowicza został zamknięty, a „Kronika” ukazywała się nadal. ■

PAWEŁ
SKIBIŃSKI

W czerwcu 1954 r. w Gwatemali doszło do prawicowego zamachu stanu – inspirowanego przez CIA – w którego wyniku został obalony lewicowy prezydent tego kraju – płk Jacob Arbenz Guzman. W Polsce wydarzenia te znane są z zapisków publikowanych na łamach paryskiej „Kultury” przez Andrzeja Bobkowskiego w jego cyklu „Z notatek modelarza”. Bobkowski twierdził, że w wyniku obalenia Arbenza – które uważał za równoznaczne z usunięciem z Gwatemali zagrożenia komunizmem – czuł się bardziej wolny niż po wyzwoleniu Paryża z rąk Niemców w 1944 r. Czy opinie Bobkowskiego na temat komunizmu Arbenza były usprawiedliwione?

Jacob Arbenz pochodził z bogatej rodziny przedsiębiorców wywodzących się ze Szwajcarii. Jego ojciec był jednak narkomanem, doprowadził swoją rodzinę do ruiny i ostatecznie targnął się na własne życie. Arbenz ożenił się z córką wielkich posiadaczy ziemskich z Salwadoru, z którą połączyły go lewicowe poglądy polityczne.

Był zdolnym wojskowym. W 1944 r. został jednym z triumwirów junty rewolucyjnej, która przejęła siłą władzę w Gwatemali, obalając dotychczasowe rządy liberalne. Jej celem było zmodernizowanie kraju, czego symbolem stało się zniesienie instytucji więzienia i niewoli za długi oraz przyznanie kobietom pełni praw cywilnych i wyborczych.

Od 1945 r. Arbenz był ministrem obrony w reformistycznym rządzie prezydenta Arevalo. Funkcję tę sprawował do 1950 r., gdy w wyborach powszechnych został wybrany na prezydenta. Okres ten nie był jednak wolny od tajemniczych epizodów – np. dokonanego w 1949 r. inspirowanego przez Arbenza zabójstwa jego czołowego rywala w armii, związanego z prawicą płk. Arany.

Głównym elementem programu prezydenckiego płk. Arbenza było przeprowadzenie reformy rolnej. To naruszało

1954

– rok przewrotu w Gwatemali

Płk Jacob
Arbenz
Guzman

jednak interesy United Fruit Company, amerykańskiej firmy, która jako monopolista kontrolowała rynek rolny Gwatemali. Reforma rolna doprowadziła do fali oskarżeń Arbenza o komunizm. Faktem jest, że najbliższym doradcą Arbenza był lider komunistycznej Partii Pracy Gwatemali – Jose Manuel Fortuny, a sam Arbenz także należał do partii i utrzymywał bliskie kontakty dyplomatyczne z państwami komunistycznymi, które miały obiecywać poparcie dla jego „rewolucji”.

Prezydent Arbenz przeprowadzał swoje reformy społeczne za pomocą sieci komitetów agrarnych, które były często kontrolowane przez komunistów. Powstawały one niezależnie od lokalnej administracji państwowej, celowo radykalizowały nastroje społeczne i destabilizowały sytuację w kraju. Jednocze-

śnie rząd Arbenza całkowicie pominął wątpliwości prawne, jakich nastroczał sposób wykonania przezeń reformy rolnej. Polityka Arbenza spotkała się także z jednoznacznie negatywną oceną Kościoła. Arcybiskup Gwatemali Mariano Rossell y Arellano wydał jasny list pasterski, krytykując w nim ateizm oraz komunizm rządu i zainicjował przebiegłą narodową pielgrzymkę przeciwko komunizmowi.

W tej sytuacji – na fali panujących wówczas w USA nastrojów antykomunistycznych – Amerykanie wsparli i sfinansowali zamach stanu przeciwko Arbenzowi. Został on zorganizowany przez Carlosa Castilla Armasa i przeprowadzony w czerwcu 1954 r. Po jego zwycięstwie i dobrowolnym ustąpieniu Arbenza Castillo Armas obwołał się nowym prezydentem.

Arbenz udał się na emigrację. Został jednak zaatakowany przez prasę amerykańską, której kampania trwała także po wyjeździe byłego prezydenta Gwatemali z kraju. On sam przebywał w różnych miejscach, m.in. odwiedzając kilkakrotnie Związek Sowiecki, Chiny maoistowskie oraz Kubę. W Hawanie spędził kilka lat, zaznając jednak stałej pogardy ze strony Fidela Castro, dla którego Gwatemalczyk był politykiem całkowicie przegranym.

Porażka polityczna wpędziła Arbenza w alkoholizm i doprowadziła do rozpadu małżeństwa. Jego najstarsza córka Arabella, która próbowała kariery modelki, zasłynęła z ekscesów seksualnych, będąc kochanką kolejnych producentów telewizyjnych, torreadorów i piosenkarzy obu płci. Doprowadziło ją to do samobójstwa, które dodatkowo załamało ojca. Jeszcze na początku lat 70. XX w. Arbenz starał się wrócić do polityki, nawiązując w Meksyku kontakty z organizacją rewolucyjną FAR, odpowiedzialną za partyzantkę miejską w Gwatemali i mającą na koncie m.in. zabójstwo ambasadora USA. Do śmierci pozostał członkiem partii komunistycznej.

Obalony w 1954 r. prezydent Gwatemali zginął w niezwykłych okolicznościach. W 1971 r. podczas pobytu w Meksyku porażony został prądem, gdy do jego wanny wpadło włączone radio. Nigdy nie zostało wyjaśnione, czy był to wypadek, samobójstwo, czy też morderstwo. ■



Delfina
z Orłowskich
Krasicka

POLSKA ARYSTOKRATKA I JEJ INDIAŃSKIE INSPIRACJE


**JAROSŁAW
KOSSAKOWSKI**

W INDIAŃSKIM RODOWODZIE DELFINY KRASICKIEJ (1944–2012) ZNALAZŁY SIĘ TAKIE POSTACIE JAK WICEPREZYDENT REPUBLIKI ARGENTYŃSKIEJ I AUTOR KONSTYTUCJI TEGO KRAJU CZY ŻONA WIELKIEGO POETY CHILIJSKIEGO PABLA NERUDY

Delfina z Orłowskich Krasicka (ważne osoby z rodu Orłowskich h. Lubicz z Podola przedstawione zostały w „wSieci Historii” nr 01–02/2021) w roku 2010 bardzo ciekawie opowiadała o swoich odległych przodkach: „Mówiąc o moim latynoskim rodowodzie, nie mogę pominąć prababki. Nie miała w ogóle nazwiska panieńskiego. Była po prostu Indianką – Carmen. Z tej krwi indiańskiej w moich żyłach byłam i będę zawsze dumna”.

Przypomnieć również należy dawno nawiązane kontakty Orłowskich, obywateli ziemskich z Podola, z odległą Argentyną. Otóż Xawery hr. Orłowski, właściciel majątku i imponującego pałacu w Malejowcach, w roku 1911, przebywając w austriackim kurorcie Marienbad, poznał córkę Benigna del Carril, właściciela ziemskich majątków w Argentynie, Ignację, z którą już w roku 1912 w Paryżu zawarł związek małżeński. Ich syn Karol Stefan Orłowski (1914–1990), wykształcony w Paryżu dyplomata, w czasie II wojny światowej był łącznikiem rządu polskiego w Londynie w sprawach przerzucania żołnierzy polskich do armii gen. Władysława Sikorskiego w Anglii. Później został przydzielony do attachatu wojskowego przy poselstwie polskim w Portugalii, koniec wojny zastał go jako attaché wojskowego w Buenos Aires. Karol Stefan pojął za żonę Różę z Sobańskich primo voto Chłapowską, z którą oczekiwał się kilkorga urodzonych w Anglii i w Argentynie dzieci.

W Buenos Aires i Paryżu

Po zakończeniu II wojny światowej i po likwidacji polskiego poselstwa w Argentynie Orłowscy postanowili pozostać w tym kraju. W Buenos Aires na świat przyszła Delfina, która wczesne dzieciństwo spędziła w wiejskiej posiadłości rodziny w Soledad, położonej około 300 km od stolicy kraju. Na całe życie zapamiętała folklor „gauchos”, argentyńskich pasterzy i hodowców bydła, także wtedy po raz pierwszy zetknęła się z latynoskim ludowym taktwem, które w jej później-

szym artystycznym życiu odegrało ważną rolę. Pytana kiedyś przez dziennikarzy o indiańskie wpływy na twórczość Delfiny Krasickiej jej przyjaciółka, znana malarka Anna Trochim, mówiła tak: „Moim zdaniem raczej na nikim się nie wzorowała, nie ma w jej pracach takich bezpośrednich odniesień. Ale oczywiście w twórczości widoczne były wpływy dzieciństwa, młodości, podróży... Prace Delfiny to często przetworzone, zapamiętane obrazy z lat najmłodszych (nieraz wspominała cudowne lata dzieciństwa spędzone w Argentynie); przestrzenne pejzaże, pod wpływem których tworzyła abstrakcyjne, przesycane kolorem, własną energią i witalnością kompozycje. Przerabiała w tkaninie to, co miała w podświadomości – swój pejzaż”.

Ojciec Delfiny, Stefan Karol Orłowski, posiadał również apartament w Paryżu, w pobliżu Łuku Tryumfalnego przy reprezentacyjnej Avenue Foch oraz galerię sztuki w tym mieście, drugą zaś w Buenos Aires. Sam był znanym kolekcjonerem i miłośnikiem sztuki, z łatwością więc rozpoznał w córce rodzący się ogromny talent plastyczny. Delfina często podkreślała, iż fascynację sztukami pięknymi odziedziczyła po swoich utalentowanych, arystokratycznych przodkach: „Moja Mama, Róża z Sobańskich (1917–1969), wywodziła się z rodziny o bogatych tradycjach artystycznych. Jej babka, Ludwika z Wodzickich Sobańska (1857–1944), była utalentowaną malarką, uczennicą Jana Matejki. Zginęła bestialsko zamordowana przez hitlerowców w czasie powstania warszawskiego, kiedy nie chciała opuścić swoich pacjentów w szpitalu na Lesznie”. W czasie powstania w 1944 r. zginęły także dwie młodsze siostry matki Delfiny, Róży Sobańskiej – obie, Teresa i Elżbieta były żołnierzami Armii Krajowej.

Po decyzji ojca, który nie akceptował jej szkoły w Buenos Aires, Delfina opuściła Argentynę i dalsze nauki zaczęła pobierać w Paryżu w Otwartych Pracowniach słynnej L'Ecole du Louvre. Zwiedzając

muzea paryskie, bywając też w Londynie, gdzie studiowała jej starsza siostra Consuela, poznawała malarstwo francuskie i angielskie. Jednak nie uchodziły jej artystycznej uwadze także ekspozycje wystawiane w paryskiej galerii jej ojca. Były tam również dzieła sztuki i przedmioty rzemiosła artystycznego, które pochodziły z bogatej kolekcji w pałacu Orłowskich w Malejowcach na Podolu i które prawie cudem udało się uratować przed bolszewicką rewolucją roku 1918 i przez Odessę wywieźć do Francji. Były to rzeźby, obrazy, gobeliny, starodruki i historyczne pamiątki związane z Polską. Stamtąd pochodził też sławny klawesyn muzy polskiego romantyzmu, Delfiny z Komarów Potockiej (1807–1877), na którym śpiewając, akompaniowała Fryderykowi Chopinowi. Zainteresowanie Delfiny jeszcze wtedy Orłowskiej Polską, ojczyzną rodziców, wzrastało wraz z poznawaniem w Paryżu i Londynie przedstawicieli polskiej emigracji, także spotykanych tam polskich artystów. Duże znaczenie miały oczywiście też ziemiańskie, staropolskie tradycje rodu Orłowskich, zwłaszcza ojca Karola Stefana, dyplomaty o stałych, konserwatywnych poglądach.

Spotkanie z Polską

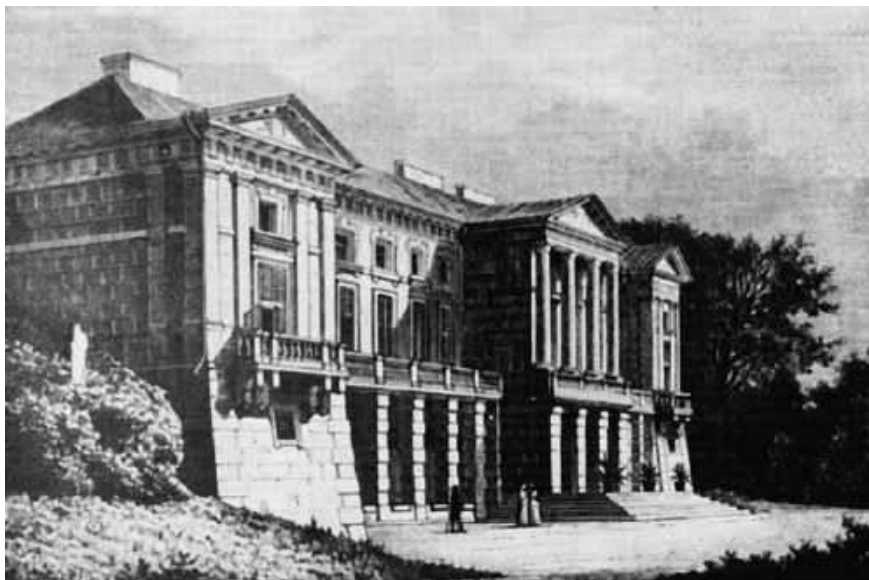
Do zwiedzenia Polski Delfinę i jej siostrę Consuelę w roku 1964 namówiła ich mama Róża z Sobańskich Orłowska, która bardzo chciała nawiązać bliższy kontakt z pozostałą w kraju liczną rodziną. Spotkanie z krewnymi (m.in. z kompozytorem Hubertem Rostworowskim), z ocalałymi polskimi zabytkami i polską sztuką oczarowały Delfinę i skłoniły do pozostania na dłużej w Polsce. Tu poznała przyszłego męża, swojego dalekiego kuzyna Ignacego Krasickiego, korespondenta zagranicznego „Trybuny Ludu”, centralnego organu PZPR w komunistycznej Polsce. Wraz z nim kilka lat spędziła w Rzymie, zwiedzając włoskie zabytki, z których największe >>

>> wrażenie na niej wywarła architektura i klimat urokliwej Florencji. Później były kraje północnej Afryki. Przebywając w Algierii, Tunezji, Maroku, Libii, Delfina Krasicka zetknęła się z zawsze ją interesującą egzotyczną ludową tkaniną w postaciach widzianych na targach kobierców, dywanów, dekoracyjnych chust i szali. I wtedy właśnie sama rozpoczęła pierwsze swoje próby tkackie.

W roku 1980 Krasiccy powrócili na stałe do Warszawy, gdzie Delfina zapisała się na kurs tkactwa artystycznego zorganizowany w warszawskim Zakładzie Doskonalenia Zawodowego. Poznała podstawowe zasady sztuki tkania oraz zaprzyjaźniła się z wykładowcą tam znaną polską malarką Anną Trochim (1952), od tamtej pory jej wierną towarzyszką w artystycznej drodze. Był to czas stanu wojennego, który oprócz oczywistych represji niósł w sobie gospodarcze kłopoty, w tym ogromne braki zaopatrzeniowe. Początkującym więc tkaczkom brakowało wszystkiego. Jak później opowiadała Anna Trochim: „Szukałyśmy przędzy po całym kraju. Moja rodzina na wsi (w Sokółce na Podlasiu) hodowała barany. Strzygłyśmy je, wełnę prałyśmy w rzece, a następnie moja mama przędła ją na kołowrotku. Z braku gwoździ przy krosnach używałyśmy haceli do podkuwania koni. Delfina na prace z tkaniną poświęcała nawet sznurówki od swoich tenisówek”. Pierwsza wystawa tkanych prac Delfiny Krasickiej miała miejsce w pracowni Anny Trochim przy ul. Żąbkowskiej. Był to rok 1982, więc wystawa wpisywała się w nurt tzw. kultury niezależnej. Kolejne, organizowane wspólnie z Anną (Trochim – obrazy, Krasicka – tkanina artystyczna) odbywały się już w renomowanych galeriach i przyniosły artystkom ogólnopolski rozgłos.

Służyć sztuce i artystom

Pełne twórczej pasji życie Delfiny Krasickiej uzupełniała jej wrażliwość społeczna, która nakazywała jej w najróżniejszy sposób wspierać artystów mających życiowe kłopoty czy tych zamieszkałych na dawnych polskich Kresach. Głośno było o organizowanych przez Delfinę aukcjach charytatywnych, np. na rzecz Fundacji Hospicjum Onkologicznego w Warszawie czy Ogólnopolskiej Aukcji Dzieł Sztuki na rzecz powodzian. Jednak zawsze pierwsze miejsce w twórczym życiu Delfiny Krasickiej zajmowała tkanina artystyczna.



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Malejowice 1885, pałac Orłowskich, drzeworyt Stanisława Antoszewicza

„Gobeliny i hafty Delfiny Krasickiej w większym stopniu przypominają obrazy, niż dzieje się to zazwyczaj w tkaniu współczesnej... W niektórych pracach autorka obok nielicznych aplikacji stosowała równocześnie podmalowywanie. Można sądzić, że środki tkackie traktowała jako jeszcze jedno z możliwych tworzyw malarskich, co uwidacznia się szczególnie w jej haftach. Naszywane na różne podkłady gęste pasma haftu grubą włóczką w pewien sposób spełniały funkcje tradycyjnej materii malarskiej” – pisał znany krytyk sztuki Zbigniew Taranienko. Kapitałnie wzajemnie uzupełniające się tkaniny Krasickiej i obrazy Anny Trochim zauważone zostały w całej Europie. Obie artystki pokazywały swoje prace na wystawach w Szwecji, we Francji, na Węgrzech, na Litwie i w zaprzyjaźnionej Argentynie. „W Szwecji, gdzie Krasicka wraz z Trochim wystawiała swoje prace w Polskim Instytucie Kultury w Sztokholmie, jej gobeliny tak bajecznie kolorowe i kompozycyjnie wręcz fantastyczne wywołały powszechny zachwyt. Dowodem tego były nie tylko liczne pozytywne opinie krytyków sztuki, ale także wykonany przez angielskiego reżysera dokumentalny film poświęcony tej ekspozycji” – donosiło „Życie Literackie” w 1988 r.

Galeria Delfiny

Zorganizowany w 1999 r. przez Krasicką i Trochim salon artystyczny w Warszawie przy ul. Smulikowskiego 10 na Po-

wiślu od razu nazwany został „Galerią Delfiny”. To chyba jedyne w Warszawie takie miejsce, które przetrwało próbę czasu i na trwałe wpisało się w polskie życie kulturalne. Otwarcie w roku 1999 zainaugurowane zostało wystawą „Delfina Krasicka i zaprzyjaźnieni artyści”. Ci zaprzyjaźnieni plastycy to najślawniejsi polscy malarze, tacy jak prof. Stefan Gierowski, Jan Tarasin, Tadeusz Dominik, bracia Młodożeńcy i in. Wśród celów galerii wymieniana była prezentacja artystów współczesnych młodego i średniego pokolenia, natomiast założona równocześnie Fundacja Artystyczna Delfiny Orłowskiej-Krasickiej im. Gabrieli z Sobańskich Krasickiej kładła nacisk na promocję artystów pochodzących z dawnych polskich Kresów. Galeria i fundacja działały non profit, ale bardzo szybko stały się miejscem wręcz magicznym, w którym spotykali się już nie tylko plastycy, ale również poeci, pisarze, dziennikarze, działacze kulturalni, politycy. Głośno było o organizowanych tam wystawach, a ich uczestnicy jednogłośnie przyznawali, iż urok tego miejsca i swoboda w wymianie myśli to głównie zasługa Delfiny Krasickiej, jej charyzmatycznego podejścia do ludzi i do sztuki. Biorąc pod uwagę znaczenie popularyzacji sztuk pięknych, zaangażowanie i troskę o ludzi kultury, wreszcie jej własny znaczący dorobek artystyczny, władze państwowe przyznały zmarłej w roku 2012 Delfinie z Orłowskich Krasickiej Złoty Krzyż Zasługi. ■

GÓRNA PÓŁKA

Demiurg



ANTONI
DUDEK

Taki tytuł nadał Roman Graczyk swojej biografii redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”. Wprawdzie Adamowi Michnikowi daleko było kiedykolwiek do roli demiurga w rozumieniu filozofii Platona, widzącego w nim twórcę całego świata materialnego, ale niewielu ludzi wywarło w minionym półwieczu równie silny wpływ na polskie życie umysłowe. Jednych ten fakt oburzał, innych radował, ale i jedni, i drudzy nie potrafili się od Michnika, jako punktu odniesienia, uwolnić.

Książka Graczyka pozwala lepiej zrozumieć, jak to się stało, że przez tak długie lata Michnikowi udawało się koncentrować na sobie uwagę polskich elit i często skutecznie aspirować do posiadania w nich tego,

co nieco poetycko w ślad za Mickiewiczem określa się mianem „rządu dusz”.

Najpierw było formowanie legendy. Niesforne licealisty, o którego awanturniczej postawie wspominał w przemówieniu już na początku lat 60. Władysław Gomułka, później zaś niepokornego studenta, będącego jednym z symboli studenckich protestów Marca '68. Dalej było więzienie i doświadczenie KOR, wreszcie aktywny udział w solidarnościowej rewolucji i konspiracji lat 80. Graczyk drobniawo pokazał, w jaki sposób w tych trzech dekadach Michnik zbudował potężny osobisty kapitał polityczny i ideowy, którego najważniejszą część stanowiły kontakty na Zachodzie – pracowicie i konsekwentnie rozwijane już od lat 60.

Jednak najciekawsza była dla mnie lektura drugiej części jego książki, w której odtworzył proces konwersji owego kapitału na najpotężniejsze centrum polskiego życia intelektualnego, jakim aż do wybuchu afery Rywina pozostawała redakcja „Gazety Wyborczej”. I właśnie wyprawa do wnętrza tej ostatniej części wydaje mi się najwartościowszym informacyjnie fragmentem tej książki. Graczyk, który przez wiele lat sam pracował w redakcji „GW”, zebrał bowiem relacje kilku znaczących dziennikarzy

tego pisma, którzy jak autor stracili (z różnych powodów) wiarę w nieomylność swojego szefa i podzielili się swoimi wspomnieniami.

Warto to docenić, zwłaszcza gdy na końcu książki przeczyta się naprawdę długą listę osób dobrze znających Michnika, które odmówiły Graczykowi udzielenia relacji. One najwyraźniej poważnie potraktowały ostrzeżenie, jakie otrzymał jeden z niedoszłych biografów Michnika, czyli Roman Kurkiewicz, wspominający, że gdy pozytywnie wypowiedział się na temat demaskatorskiej biografii Ryszarda Kapuścińskiego pióra Artura Domosławskiego, doczekał się telefonu od Michnika: „Adam zadzwonił: – To koniec. Zabraniam Ci pisać o mnie książki, zarówno za życia i po śmierci”. Na szczęście do Romana Graczyka Michnik nie zadzwonił.



Roman Graczyk,
„Demiurg. Biografia
Adama Michnika”,
Zona Zero,
Warszawa 2021

POLSKIM OKIEM

Cichy bohater



RYSZARD
CZARNECKI

Był rodzonym bratem mojej babci Franciszki Zbijewskiej. Wysoki, pogodny, z turalnym głosem i zaraźliwym śmiechem oraz wielkimi krzaczastymi brwiami, jeszcze większymi niż miał Piłsudski. Był więc ciotecznym dziadkiem i mówiliśmy do niego „wuj-dziadek” albo po prostu „wuj”.

Wuj Walery miał dar opowiadania, ale przede wszystkim mnie, małolata, traktował poważnie, jak dorosłego i mówił do mnie zupełnie inaczej niż reszta dorosłych. Nie wypytywał, co tam w szkole,

czy jestem grzeczny, ani nawet co chcę robić w przyszłości. Za to dzielił się tym, czego doświadczył. Opowiadał, jak poszedł na ochotnika walczyć z Sowietami w 1920 – zresztą cała jego klasa poszła. Ale wuj Walery miał, jak się okazało, sokoli wzrok i został, ku zazdrości rówieśników, strzelcem wyborowym. Mówił, jak zastrzelił snajpera z Armii Czerwonej, który celował do naszych z dzwonnicy kościelnej – to był pierwszy człowiek, którego zabił. Zdziwiłem się, że się z tego nie cieszy, bo przecież zabić wroga, „Ruska” to dobra rzecz!

Ale były rzeczy, o których wuj Zbijewski, niestety, nie mówił. I do dzisiaj mam o to do niego pretensję. Tak, słyszałem, że studiował w Grenoble, że zrobił karierę w bankowości, pracując w Banku Polskim (poprzednik NBP) na bardzo wysokich stanowiskach, że świetnie mu się powodziło, a jego żona Marylka była pianistką. Mówił też, że grał w tenisa i wygrał nawet jakiś turniej. Dopiero po latach, już jako człowiek dorosły, usłyszałem to, o czym mi nigdy nie powiedział. Mojej Mamie, a swojej siostrzenicy, chyba też, skoro nigdy mi o tym nie wspomniała!

Minęło już ponad pół wieku mojego życia, reprezentowałem nasz kraj w Parlamencie Europejskim. Był rok 2016. Z przejściem odbierałem słowa prezydenta największego mocarstwa świata Baracka Obamy, który mówił w Waszyngtonie o bracie mojej babci i jego żonie, na uroczystości wręczania im pośmiertnie medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata: „Słuchając tych historii, musimy zadać sobie pytanie, jak my byśmy zareagowali? Czy pokazalibyśmy miłość Walerego i Maryli Zbijewskich, którzy mogli być zastrzeleni za otwarcie swego domu dla pięcioletniej dziewczynki? Ale dbali o nią jak o własne dziecko i zapewnili jej bezpieczeństwo, schronienie i ciepło”.

Jestem bardzo dumny z wuja Walerego za to, że uratował żydowskie dziecko. Jego syn Maciej, ostatni żyjący z jego dzieci, i trzech wnuków: Kamil, Witek oraz Wojtek, mogą być dumni tym bardziej. Ale jestem zły, że w jego pokoleniu – pokoleniu II RP – nie mówiło się o swoim bohaterstwie. Ilu w naszych rodzinach jest takich cichych bohaterów, o których dzielności dowiadujemy się wtedy, kiedy nie można się już im pokłonić i podziękować...



Niemieckie zdjęcia dokumentujące okupację terenów polskich zaboru rosyjskiego w latach I wojny światowej

ROZDROBNNIENIE VERSUS INTEGRACJA

W DZIEJACH LUDZKOŚCI
NORMĄ W STOSUNKACH
MIĘDZYNARODOWYCH SĄ
IMPERIA, PODCZAS GDY
PAŃSTWA NARODOWE TO
RZADKOŚĆ. TE OSTATNIE,
MAŁE CZY NAWET
ŚREDNIE, EGZYSTUJĄ
TYLKO Z ŁASKI POTĘG
IMPERIALNYCH. Z TYCH
POWODÓW WYSIŁEK
INTEGRACYJNY JEST
PERMANENTNYM
I NAJBARDZIEJ
PRZEWIDYWALNYM
PROCESEM STOSUNKÓW
MIĘDZYNARODOWYCH



**MAREK JAN
CHODAKIEWICZ**

Bez względu na to, jak nie-
szczęśliwi mali gracze jawią
się w roli podwładnych, bar-
dzo często żarłoczne apetyty
imperialne kontrują oni wolą
własnej suwerenności. Potężni
zaś postrzegają to jako „fragmentację”, „par-
tykularyzm”, „nacionalizm”. Z punktu wi-
dzenia gospodarczej wydajności wolą oni
zadawać się z podobnymi do siebie wielkimi
jednostkami ekonomicznymi raczej niż
z rozdrobnionymi, mizernymi regionami.
Mają również tendencję do ignorowania in-
teresów mniejszych podmiotów, depczą
po nich w trakcie pościgu za zyskami i wy-
dajnością. Pamiętajmy o tym, zanim zapo-
znamy się z nowym studium o Intermarium.

Przed i po rozpadzie imperium

W swej świetnie udokumentowanej
pracy „Fragmentation in East Central Eu-

rope: Poland and the Baltics, 1915–1929”
(Oxford: Oxford University Press, 2020),
Klaus Richter poddał analizie relację mię-
dzy suwerennością narodową i rozdrob-
nieniem podczas I wojny światowej i po
niej. Historyk spenetrował 17 archiwów
i odniósł się do przynajmniej 83 tytułów
prasowych, co powoduje, że jego mono-
grafia jest ważna także dla historii prasy.
Autor zna niemiecki, angielski i francu-
ski, a ponadto potrafi czytać po polsku
i w językach bałtyckich, co jest rzadką
zaletą wśród zachodnich badaczy. Jego
metodologia jest logocentryczna i empi-
ryczna, co jawi się jako odświeżające we
współczesnej postmodernistycznej na-
uce. Każde stwierdzenie ilustruje wieloma
przykładami.

Badacza interesują kontynuacja i jej
brak na poziomie gospodarczym, spo-
łecznym, politycznym i dyplomatycznym
w Polsce, Estonii, Łotwie oraz na Litwie.
Sworzeniem jego opowieści jest Wielka
Wojna m.in. dlatego, że „I wojna światowa
przekształciła strukturę demograficzną
Europy Środkowo-Wschodniej jak żaden
inny fakt historyczny przedtem” (s. 107).
Są też inne powody.



Richter twierdzi, że nowe niepodległe państwa zaledwie podążały za logiką wydarzeń, trendów oraz instytucji, które odziedziczyły po byłych imperialnych hegemonach. Po odrzuceniu ich przez system międzynarodowy, który odzwierciedlał się w Lidze Narodów, środkowo-wschodnioeuropejskie państwa spadkobiercy zwróciły się ostro w stronę etatyzmu, a nawet autarchii. Tym samym małe narody zyskały szansę na przeżycie.

Mimo że liberalizm stanowił od drugiej połowy XIX w. ideologię dominującą, zwłaszcza na polu gospodarczym, był on stopniowo eliminowany przez etatyzm, zwłaszcza w dziedzinie obronności. Proces ten wzmógł się po wybuchu I wojny światowej, gdy wojujące potęgi biły się o dominację i broniły dostępu do swoich rynków. Klaus Richter nazywa to „socjalizmem państwowym”, a na jego twórcę wskazuje Walthera Rathenaua, niemieckiego wojennego dyktatora gospodarczego (s. 207).

Po upadku monarchii Romanowych, Hohenzollernów i Habsburgów państwa spadkobiercy odziedziczyły ich wojenne systemy i układy. Budowały zatem swą państwowość na fundamentach etatyzmu. „Dlatego też państwa stały się najważniejszymi graczami ekonomicznymi w regionie, podczas gdy sektor prywatny, który miał nadzieję, że przedwojenny ład liberalny powróci, został odesłany na margines. Polski »etatyzm«, ze swoim podkreśleniem centralizmu i terytorialnej inżynierii, dostarczył ideowej i naukowej podstawy pod politykę, która wykorzystwała ten rozpad” (s. 311).

Można dowodzić, że największy wpływ na młode państwa miała okupacja niemiecka. Do połowy 1915 r. Berlin podbił rosyjskie wówczas ziemie, które uprzednio należały do Rzeczypospolitej. Na zajętych terenach Niemcy ustanowili dwie jednostki administracyjne: Królestwo Polskie na zachodzie oraz Ober-Ost na wschodzie. Po twardym traktacie brzeskim z Rosją bolszewicką w marcu 1918 r. II Rzesza rozszerzyła swą jurysdykcję jeszcze dalej na wschód Intermarium. Na północnym wschodzie władza niemiecka docierała właściwie aż po przedmieścia

Petersburga. To oznaczało zdominowanie wszystkich ziem Łotyszy oraz kraju Estończyków. Ponadto na południowym wschodzie ponownie we współpracy z Austro-Węgrami Niemcy zajęły ziemie ukraińskie. W ten sposób Berlin rozszerzył swą strefę nie tylko do Morza Czarnego, ale i do Kaukazu. Ukrainę zmieniono na państwo marionetkowe pod dyktando niemieckim. Świeżo zdobyte terytoria na północnym wschodzie podporządkowano Ober-Ost.

Niemcy narzucili rządy wojskowe. Wprowadzili mocne mechanizmy kontroli nad wszelkimi aspektami życia gospodarczego, społecznego i politycznego – kontrolowali wszystko i wszystkich.

W Ober-Ost większość impetu centralizującego skierowano na Polaków, zwłaszcza na ziemian. Stanowili oni bowiem czołową elitę, która reprezentowała chwałę starej I RP i stanowiła warstwę przywódczą dla lokalnych społeczności. Teraz albo skonfiskowano ich majątki, albo poddano ich potężnemu opodatkowaniu. Ziemianom zabroniono handlu na wolnym rynku. Zamiast tego Niemcy konfiskowali owoce ich pracy, zwłaszcza w formie przymusowych kontyngentów. Te mechanizmy okupacyjne doprowadziły polski potencjał gospodarki leśnej i rolnej do ruiny.

W tym samym czasie Niemcy wspomagały mniejszościowe nacjonalizmy ludowe, szczególnie litewskie i rusińskie, po to by z jednej strony usprawnić ich gospodarkę, z drugiej zaś by podgrzewać ich antypolskie nastawienie (s. 211). Początkowo wspierali baronów bałtyckich, którzy byli właścicielami większości ziem. Później, chcąc zachować swe wpływy w powojennym okresie, Berlin i Ober-Ost przerzucili swe poparcie na germanofilskich przywódców tubylczych. Niektórzy z nich to po prostu podli pachołkowie, inni to oportuniści, którzy palili się, aby w odpowiednim czasie użyć II Rzeszy jako trampoliny do niepodległości.

Berlin unikał dzielenia się władzą, dozwolił jednak na powstanie ciał kolaboracyjnych.

W Królestwie Polskim odgrywały one bardzo ważną rolę samorządową. Tworzyły się polskie instytucje. W Ober-Ost instytucje były po prostu marionetkowe. Mimo tego na bazie takich sponsorowanych przez Niemców instytucji z zawieruchy wojennej wynurzyły się wolne Estonia, Łotwa i Litwa.

Budowanie po rozpadzie

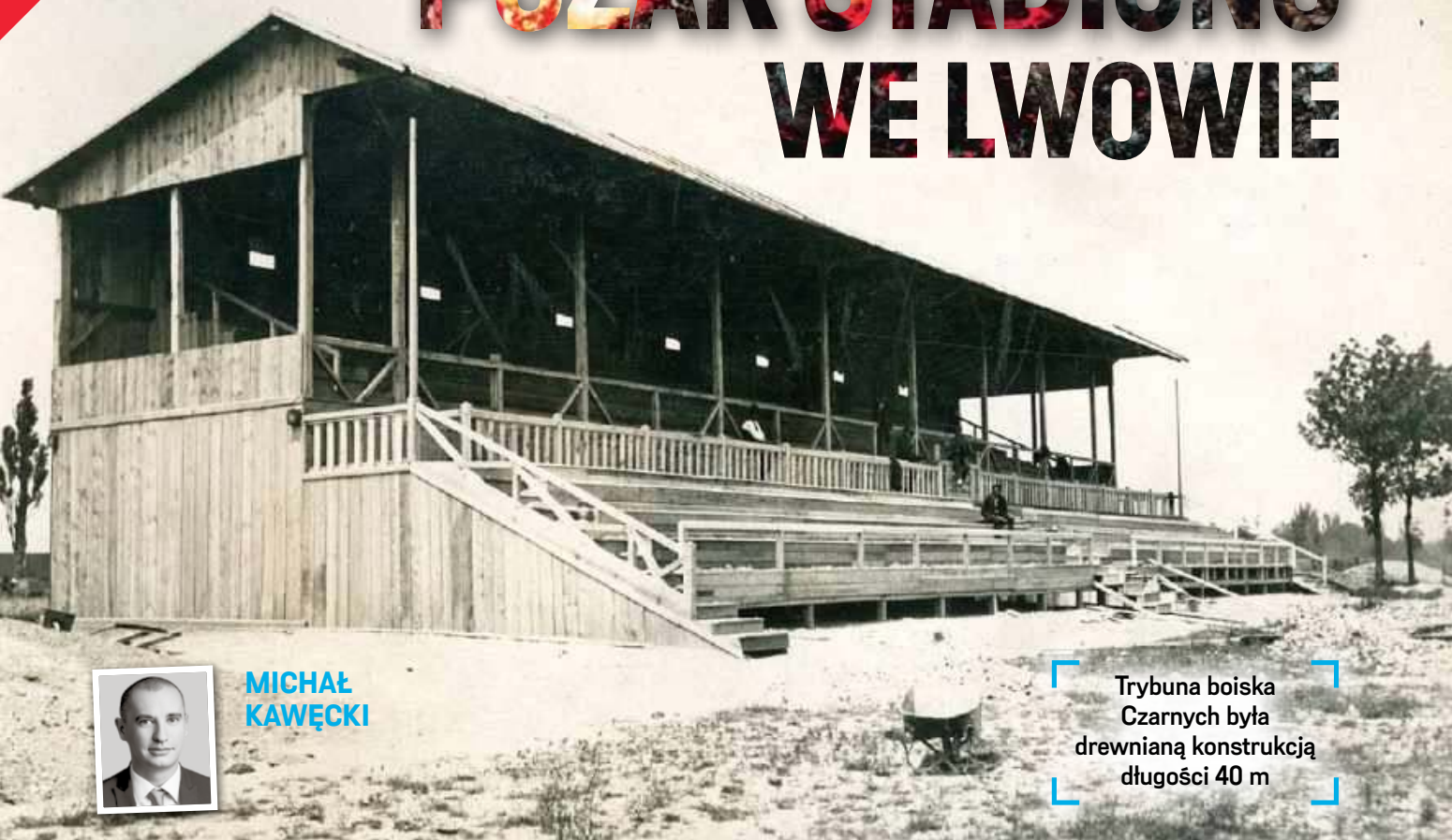
Cały ten niemiecki wysiłek rozsypał się w pył po upadku potęg centralnych w listopadzie 1918 r. „Stworzenie ładu brzeskiego jako ładu antypolskiego nasiliło antagonizmy między polskimi a innymi nacjonalizmami (szczególnie Litwa i Ukraina). [...] Po klęsce Niemiec konflikt kontynuowano, a odzwierciedlał się on w bojach o międzynarodowe uznanie państwowości i granic. Te bitwy toczyły się nie tylko przeciw sceptycznej zachodniej Entencie, ale przynajmniej tak samo pomiędzy nowymi państwami, z oskarżeniami o bolszewizm, antysemityzm czy o funkcjonowanie głównie jako narzędzie niemieckich spisków geopolitycznych” (s. 57).

„Struktury systemu okupacyjnego zostały zaadaptowane przez nowe państwa na lepsze czy gorsze” (s. 309). W tym miejscu (albo przynajmniej w konkluzji) chciałoby się, aby Richter przeprowadził porównanie stworzenia państw bałtyckich i odbudowania Polski z procesami dekolonizacyjnymi w Afryce i Indiach. Pomogłoby to zrozumieć choćby proces kontynuacji zaborczych praw i regulacji w niepodległych już państwach (s. 294). Czujemy tylko przedsmak takich kwestii, gdy autor opowiada, że niemieccy specjaliści kolonialni, z doświadczeniem z Kamerunu, nadzorowali gospodarkę rabunkową Puszczy Białowieskiej (s. 158).

Według Richtera analiza okupacji niemieckiej Intermarium stanowi podstawę dla zrozumienia okresu międzywojennego. Co więcej, historyk podkreśla, że istnieją niesamowite analogie w stosunkach międzynarodowych po 1918 r. z jednej strony, a po 1989 r. z drugiej. Szczególnie dotyczy to postępowania krajów Intermarium przez pryzmat antysemityzmu, nacjonalizmu oraz innych pejoratywnych skojarzeń. Ale to już inna historia.



POŻAR STADIONU WE LWOWIE



**MICHAŁ
KAWĘCKI**

Trybuna boiska
Czarnych była
drewnianą konstrukcją
długości 40 m

W 1909 r. Czarni otrzymali w dzierżawę trzy morgi terenu w lwowskim parku Stryjskim. Członkowie klubu wyremontowali płytę boiska i bieżnię, na których wcześniej rozgrywano zawody piłkarskie i lekkoatletyczne.

Na uroczystości jubileuszu 20-lecia powstania klubu 29 czerwca 1923 r. Czarni przenieśli się na tor Cetnera. Otworzono tam znakomicie wyposażony park gier i zabaw. Teren o wielkości 11 morgów pod budowę obiektów przekazały władze miasta. Był to dla drużyny ogromny przeskok organizacyjny. Nowy park sportowy Czarnych powstał według projektu inżyniera Ludwika Christelbauera. Składał się z trzech drenowanych boisk (jednego głównego i dwóch treningowych), bieżni, skoczni i rzutni, toru dla cyklistów oraz kortów tenisowych. Prawdziwą chlubą była trawiasta,

CZARNI LWÓW OBOK POGONI BYLI JEDNĄ Z NAJBARDZIEJ UTYTUŁOWANYCH PRZEDWOJENNYCH DRUŻYN PIŁKARSKICH Z LWIEGO GRODU. MIMO ŻE SPORTOWO USTĘPOWALI SWOIM DERBOWYM RYWAŁOM, W CAŁYM KRAJU CIESZYLI SIĘ OGROMNYM SZACUNKIEM I ESTYMĄ. W 1930 r. SPORTOWĄ POLSKĄ WSTRZĄSNĘŁA WIADOMOŚĆ O SPALENIU STADIONU LWOWSKIEGO KLUBU SPORTOWEGO PRZEZ UKRAIŃSKICH NACJONALISTÓW

idealnie gładka nawierzchnia głównego boiska piłkarskiego. Koszona dwa razy dziennie, w całym kraju nie miała sobie równych. Po wizycie na stadionie Czarnych w czerwcu 1925 r. tak opisał ją jeden z członków zespołu Wiener Sportclub: „Dwa pierwsze spotkania odbyły się na boisku Czarnych, które swą doskonałą murawą sprawiło graczom naszym miłą niespodziankę; w bieżącym roku nie

graliśmy jeszcze na tak dobrym boisku”. Na nowo powstałym stadionie odbył się 2 września 1923 r. pierwszy mecz międzypaństwowy rozgrywany we Lwowie, w którym Polska zremisowała z Rumunią 1:1. W 1928 r. Czarni zwrócili się do marsz. Józefa Piłsudskiego o zezwolenie na nazwanie swojego parku sportowego jego imieniem. Piłsudski wyraził zgodę, co było olbrzymim wyróżnieniem dla

najstarszego klubu sportowego, który poniósł w swojej historii wielokrotnie ciężką ofiarę krwi w obronie ojczyzny.

Tragiczna noc

W nocy z 3 na 4 września 1930 r. we Lwowie doszło do tragicznych wydarzeń. Doszczętnie spłonęły trybuny na boisku Czarnych. Pożar powstał po północy. Drewniana konstrukcja długości 40 m zaczęła się palić jednocześnie w kilku miejscach. Ponieważ materiał drzewny był zupełnie suchy, cała trybuna szybko stanęła w płomieniach. O pożarze natychmiast telefonicznie zawiadomiono z rogatki Stryjskiej i pl. Targów Wschodnich miejską straż pożarną. Z remizy przy pl. Strzeleckim bezzwłocznie wyjechał oddział strażaków pod komendą naczelnika Spaczyńskiego. Wyjechały również samochodowe sikawki „Zuch” i „Zorza”. Po przybyciu na miejsce strażacy zabrali się energicznie do gaszenia ognia.

W ciągu kilku minut za miejską strażą ogniową samochodami przyjechał oddział posterunkowych. Akcją dowodził wojewódzki komendant policji inspektor Grabowski. Wraz z nim przybył nadkomisarz Fuchs (komendant policji Lwów-miasto) ze swoim zastępcą nadkomisarzem Sędzimirem. Na miejscu pożaru pojawił się również naczelnik Urzędu Śledczego podinspektor Sztaba oraz naczelnik Wydziału Śledczego nadkomisarz Schwarzwald. Niedługo później przybył zawiadomiony o tragicznych wydarzeniach starosta grodzki Gallas. W czasie akcji ratunkowej starano się przede wszystkim zabezpieczyć teren Targów Wschodnich, który sąsiadował ze stadionem Czarnych. Targi były coroczną lwowską wystawą przemysłu polskiego. Z powodu dość silnego wiatru iskry z pożaru były obficie niesione na budynki targowe. Kłopot był też z ciśnieniem wody, ponieważ boisko było położone na wzgórzu. Kwadrans po przybyciu strażaków runęło całe wiązanie drewnianej trybuny. Na miejscu pozostała tylko olbrzymia sterta palących się desek i różnego drewna. Straż szybko opanowała groźny żywioł, wobec czego wszelkie dalsze niebezpieczeństwo zostało oddalone. Na boisku pozostały tylko zgłiszczka. Spalił się cały dobytek Czarnych, m.in. garderoba sportowa klubu oraz bufet.



**Zniszczona zbrodniczą ręką
Trybuna „Czarnych”
musi być niezwłocznie odbudowana!
Apel do społeczeństwa polskiego.**

Podpalenie wywołało niesłychane oburzenie wśród mieszkańców Lwowa. Mimo późnej godziny ludność tłumnie zgromadziła się na ulicach miasta, chcąc zaatakować obiekty należące do Ukraińców, którzy byli podejrzewani o udział w nocnych wydarzeniach. Musiały interweniować patrole policyjne, które wezwały zebranych do rozejścia się.

Policyjne śledztwo

Od początku policyjne śledztwo było prowadzone bardzo energicznie. Dochodzenie wskazywało, że sprawcami pożaru mogli być ukraińscy terroryści. Już w ciągu nocy zostało aresztowanych kilku akademików ukraińskich jako podejrzanych o ten czyn. Jak twierdzili świadkowie, późnym wieczorem dookoła pl. Targów uwijali się różni osobnicy. Ponieważ nie mogli dostać się na teren Targów, postanowili wzniecić ogień w sąsiedztwie. Mając przy sobie materiał zapalny, w kilku miejscach benzyną oblali belki. Następnie na sygnał wystrzału rewolweru równocześnie zapalnikami podpalili płyn i oddalili się niepostrzeżenie w ciemnościach nocy. Funkcjonariusze policyjni przeprowadzili szczegółową rewizję w ukraińskim Domu Akademickim przy ul. Supińskiego. Zatrzymano ok. 80 studentów. Część z nich następnego dnia została wypuszczona na wolność.

Straty klubu Czarnych wyniosły ponad 63 tys. zł. Wojewoda lwowski Bronisław Nakoniecznikow-Klukowski wystąpił bezzwłocznie do rządu z prośbą o udzielenie I. Lwowskiemu Klubowi Sportowemu subwencji. Jednocześnie zaapelował do prasy lwowskiej, by wezwała społeczeństwo o dobrowolne ofiary na

**Na boisku pozostały tylko
zgłiszczka. Spalił się też cały
dobytke Czarnych, m.in.
garderoba sportowa klubu oraz
bufet. Obok nagłówek „Wieku
Nowego” z 6 września 1930 r.**

odbudowanie tej placówki sportowej. Sam wojewoda ofiarował z własnych funduszy na ten cel kwotę 100 zł.

4 września policja przeprowadziła przegląd boisk innych klubów sportowych we Lwowie. Przeszukując teren Towarzystwa Zabaw Ruchowych, funkcjonariusze znaleźli pod schodami przygotowany do podpalenia i działający aparat wybuchowy. Paczka wypełniona była silnym materiałem zapalającym, w którym tkwiła rurka szklana z płynem. Gdyby przeciekł on przez korek do materiału wybuchowego, nastąpiłaby eksplozja. Korek był już wypełniony płynem i niewiele zabrakło, aby doszło do kolejnej tragedii. Obok paczki znajdowały się jeszcze dwie pięciolitrowe butle z benzyną. Dodatkowo drewniane budynki stadionu były nią podlane. Według funkcjonariuszy w razie ewentualnego pożaru trybuny palilyby się jak smolne łuczywa.

Wielki ruch solidarności

6 września 1930 r. na łamach „Wieku Nowego” opublikowano ważną odezwę (pisownia oryginalna – M.K.): „Jeden z najstarszych i najzasłużniejszych klubów sportowych w Polsce padł onegdaj ofiarą ohydnej zbrodni. Ręce opętanych nienawiścią do wszystkiego, co polskie, szaleńców pod osłoną nocy podłożyły żagiew płomieni pod trybunę Czarnych, niszcząc całe ich mienie, a wraz z niem 28-letni dorobek ich pracy. Na wzgórzu za rogatką stryjską, gdzie do niedawna wrzało życie sportowe na jednym z najpiękniejszych w Polsce boisk, z którego Lwów >>

» słusznie był dumny – dziś przerażliwa ruina i zgłiszczcza, świadczące wymownie o kulturze sprawców potwornego dzieła zniszczenia. Ze zgrozą i oburzeniem patrzy społeczeństwo polskie na ten nikczemny postęp i na jego katastrofalne w swych rozmiarach skutki. Cała Polska, jak długa i szeroka, odczuła to jako cios, wymierzony nie przeciw jednemu klubowi, ale przeciw naszej pracy nad wychowaniem fizycznym młodzieży w ogóle, przeciw naszemu tak bujnie rozwijającemu się ruchowi sportowemu. Ale na samych tych uczuciach poprzestać nam nie wolno! Odpowiedź nasza na zamach zdziczałych fanatyków musi być godna i męska — a może nią być tylko czyn, czyn twórczy! Na zgłiszczczach spalonych trybun, nad obróconym w perzynę całym sprzętem sportowym stoją na razie jeszcze bezzilni, ale nie zrozpaczeni, bo ufni w pomoc i poparcie całego ogółu polskiego, nie tylko założyciele Klubu, nie tylko weterani Sportu polskiego, lecz także rzesze członków I. L. K. S. »Czarni« – bojujących o wolność, którzy dzisiaj przewodzą zastępom młodzieży, wszczepiając w nią hart ducha i ciała. Ostała się jednak placówka – bo ziemi naszej nikt nam nie wydrze! Niech ofiarnością społeczeństwa polskiego odbuduje się w grodzie Orłąt przystań wychowania fizycznego lwowskiej młodzieży, by stanąć mogły młode Orłęta, jak zawsze, na apel w potrzebie! Niech nie minie bez echa nasze wołanie i niech każdy doloży cegiełkę do odbudowy zniszczonej polskiej reduty!».

Równocześnie rozpoczęto starania o odbudowę stadionu Czarnych wraz z trybunami. Redakcja „Wieku Nowego” stworzyła na łamach gazety listę składkową. Niezależnie wydawnictwo przeznaczyło na ten cel 200 zł. Wkrótce pokażne sumy zaczęły napływać z całego kraju. Ofiarności społeczeństwa miała udowodnić Ukraińcom, że polskiego mienia we Lwowie zniszczyć się nie da, gdyż na zgłiszczczach spalonego stanie nowe – okazalsze. Dzięki publikowanej w gazecie liście każdy wpłacający mógł łatwo skontrolować, czy jego wpłata doszła do celu. Uprawnione do zbierania składek były jedynie osoby, które posiadały odpowiednio drukowane listy składkowe oraz zaopatrzone były w pieczęć klubu.

Utworzony został również komitet odbudowy trybuny Czarnych Lwów, nad którym honorowy protektorat objęli: wojewoda lwowski Nakoniecznikow-Klukowski, dowódca korpusu generał brygady Popowicz oraz prezydent miasta

Lwowa Brzozowski. Z pomocą pośpieszyli również lwowscy sędziowie piłkarscy. Zarząd Lwowskiego Okręgowego Kolegium Sędziów na swoim posiedzeniu 9 września wyraził współczucie za poniesione straty. Chcąc przyczynić się do odbudowy trybuny, wpłacił na rachunek odbudowy kwotę 200 zł. Także kierownictwo Lwowskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej zaapelowało o wsparcie Czarnych w tych ciężkich dla klubu chwilach.

Polski Związek Piłki Nożnej zwrócił się do wszystkich klubów sportowych w Polsce, by rozegrały między sobą manifestacyjne zawody piłkarskie. Dochód z nich miał zostać przeznaczony na odbudowę zniszczonych urządzeń sportowych. Dodatkowo postanowiono wszystkie zawody ligowe do końca sezonu opodatkować kwotą 10 gr od biletu. Do każdego sprzedanego biletu dołączano specjalny znaczek z odpowiednim napisem tłumaczącym cel ofiary. Natomiast Zarząd Główny Polskiego Związku Narciarskiego udzielił Czarnym subwencji na odbudowę spalonych przez dywersantów trybun w kwocie 200 zł. Do komitetu odbudowy wpłynęło wiele innych ofiar i datków, zarówno od osób prywatnych, jak i klubów oraz stowarzyszeń.

Jak Feniks...

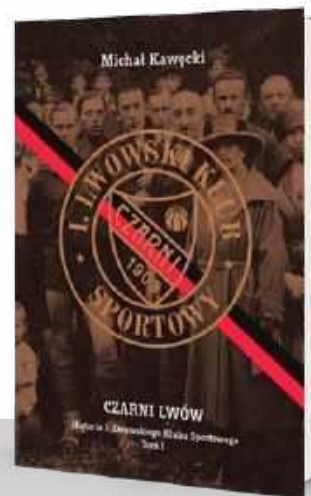
29 października prezes Czarnych Tadeusz Hoflinger oraz sekretarz Franciszek Mirzyński w imieniu klubu wyrazili na łamach lwowskiej gazety „Wiek Nowy” podziękowania „Towarzystwu Wzajemnych Ubezpieczeń »Vesta« w Poznaniu, a specjalnie Kierownictwu lwowskiego Oddziału tegoż Towarzystwa za niezwykle lojalną i liberalną likwidację szkody, jaką ponieśliśmy przez spalenie naszej trybuny. Likwidacja ta jest niezbitym dowodem, że ta rdzennie polska Instytucja nie kieruje się wyłącznie interesem materialnym, lecz daje się powodować również i innym uczuciom. O tym powinna pamiętać, choćby we własnym interesie, ta część społeczeństwa, która dla braku należytego zrozumienia rzeczy, ubezpiecza się w licznych zagranicznych Towarzystwach, przyczyniając się w ten sposób do odpływu rodzimych kapitałów poza granice Państwa”.

Pierwsze zawody Czarnych po spaleniu stadionu rozegrano 14 września. Pogoń Lwów, postępując po bratersku wobec swoich lokalnych rywali, ofiarowała bezinteresownie swe boisko. Mieszkańcy miasta, chcąc pomóc Czarnym w odbudowie ich spalonej trybuny,

tłumnie pośpieszyli na trybuny, aby zasilić kasę komitetu odbudowy stadionu. Również piłkarze I. Lwowskiego Klubu Sportowego pokazali tego dnia charakter i w obecności pięciotysięcznej widowni pokonali Ruch Hajduki Wielkie 2:1.

Czarni korzystali nieodpłatnie z boisk Pogoni aż do czasu otwarcia swojego nowego stadionu. W inauguracyjnym meczu rozegranym 2 sierpnia 1931 r. pokonali oni lwowską Lechię 3:2. Zmodernizowany obiekt posiadał dwie zadaszone trybuny. Konstrukcja z betonu pancernego mogła pomieścić 1,8 tys. osób. Łączna pojemność trybun wynosiła 12 tys. widzów. W kondygnacji piwnicy znajdowały się sale gimnastyczne, szatnie i pomieszczenia usługowe. Żaden inny stadion w ówczesnej Polsce nie mógł się z nim równać. Boiskowy czas liczyły zegary firmy Etera, a później Oteda. W północnej części obiektu znajdowały się baseny, boiska do siatkówki i koszykówki. Obok pola treningowego był mały ogród, który prowadził do głównej trybuny. W sezonie piłkarskim 1933 Czarni świętowali jubileusz 30-lecia klubu. Z tej okazji 1 lipca rozegrano mecz z Gedanią Gdańsk, a na froncie stadionu odsłonięto pomnik marszałka Józefa Piłsudskiego.

Po zakończeniu II wojny światowej Lwów znalazł się w granicach Związku Sowieckiego. Na terenie obiektu Czarnych swoje mecze rozgrywała miejscowa drużyna Dynamo. Stadion przez lata był marginalizowany i nieremontowany, aż pod koniec lat 70. XX w. został ostatecznie zlikwidowany. Obecnie na jego miejscu stoi budynek izby skarbowej. ■



Michał Kawęcki, „Czarni Lwów. Historia I. Lwowskiego Klubu Sportowego”, Tom I, nakładem autora

KRYPTONIM „ŻUŻEL 88”

6 SIERPNIA 1988 r. W LESZNIE NA STADIONIE IM. ALFREDA SMOCZKA ODBYŁ SIĘ FINAŁ KONTYNENTALNY INDYWIDUALNYCH MISTRZOSTW ŚWIATA NA ŻUŻLU. SUKCES W ZAWODACH ODNIEŚLI NIE TYLKO POLSCY ŻUŻLOWCY, LECZ TAKŻE SŁUŻBA BEZPIECZENSTWA



**GRZEGORZ
MAJCHRZAK**

W Finale Kontynentalnym Indywidualnych Mistrzostw Świata na Żużlu brało udział 16 żużlowców (szesciu z Polski, po czterech z Czechosłowacji i Węgier oraz po jednym z Republiki Federalnej Niemiec i Włoch). Był on dość udany dla Polaków. Zawody wygrał Zenon Kasprzak, a oprócz niego w szóstce zawodników, którzy awansowali do finału światowego, znaleźli się jeszcze Roman Jankowski i Andrzej Huszcza (jako rezerwowi).

Była to jedna z większych imprez sportowych na terenie Leszna. Nic zatem dziwnego, że czujna bezpieka podjęła w związku z nią działania. Były one prowadzone przez Komendę Wojewódzką MO w Lesznie – głównie jej Wydział III – w ramach sprawy obiektywnej pod kryptonimem „Żużel 88”, założonej 19 lipca 1988 r. Jej celem było rozpoznanie operacyjne uczestników mistrzostw (głównie z krajów kapitalistycznych), a także operacyjne zabezpieczenie przebiegu imprezy głównie przed – jak to określono – „negatywnymi wydarzeniami politycznymi, w tym szczególnie o charakterze terrorystycznym”.

W związku z finałem postanowiono zaktywizować pracę z agencją pracującą w obiektach, w których mieli przebywać goście zagraniczni (sportowcy, działacze, dziennikarze). Jej zadaniem było rozpoznawanie tych osób, ustalanie danych Polaków, którzy będą próbowali nawiązywać kontakty z zawodnikami z RFN



i Włoch, czy tych, którzy mogą podjąć „działania o charakterze negatywnym politycznie, a także ujawnianie wszelkich nieprawidłowości, które miałyby negatywny wpływ na spokojny przebieg zawodów”. Oczywiście goście mieli również pozostawać pod czujnym okiem funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, głównie tych zajmujących się obserwacją zewnętrzną. Mieli ich wspierać milicjanci z miejscowych posterunków. Ich celem było nie tylko zapobieganie „jakimkolwiek zjawiskom lub wydarzeniom [...] o charakterze kryminalnym lub politycznym”, lecz również niedopuszczenie do kontaktu miejscowych działaczy opozycji z obcokrajowcami, a także do prób kontaktów gości zagranicznych z Polakami (w tym prób przekazywania paczek lub innych przedmiotów).

Nie zapomniano również o innych obcokrajowcach – w tym przypadku jedynie z państw zachodnich – którzy przyjadą do Leszna z innych powodów niż plano-

wane zawody sportowe. Mieli oni zostać poddani „aktywnej kontroli operacyjnej”. Zabezpieczany miał być także (fizycznie i operacyjnie) przebieg samego finału. Nie zapomniano też o zabezpieczeniu – we współpracy z gospodarzem zawodów, klubem Unia Leszno – sprzętu żużlowców przed kradzieżą lub uszkodzeniem.

Służba Bezpieczeństwa w ramach swych działań ustaliła m.in. nazwiska dziennikarzy, którzy przyjechali na mistrzostwa – co ciekawe, jedynie z państw kapitalistycznych oraz z Polski, ci z bratnich państw socjalistycznych jej nie interesowali. Tak na marginesie ogółem zawody miało relacjonować blisko 150 dziennikarzy.

Widzów było ok. 40 tys., w tym prawdopodobnie ok. 1 tys. z Republiki Federalnej Niemiec. Funkcjonariusze oczywiście czujnie obserwowali przygotowania do samych zawodów (w tym działalność komitetu organizacyjnego finału kontynentalnego w Lesznie) oraz ich przebieg. Jak potem stwierdzali: „Kontrola operacyjna nie wykazała żadnych negatywnych zjawisk politycznych, a zachowanie uczestników i osób obsługujących zawody nie wykazywało poza sportowy charakter imprezy”. I dodawali: „Wśród osób przybyłych [...] nie było takich, które wymagałyby szczególnej kontroli operacyjnej”. Nie stwierdzono również „zakłóceń porządku publicznego”. Na to ostatnie zapewne nie bez wpływu pozostał dobry występ polskich żużlowców.

Finał w Lesznie był ostatnią żużlową imprezą rangi mistrzowskiej „zabezpieczaną” przez SB, ale oczywiście nie ostatnim sportowym wydarzeniem, którym interesowali się „smutni panowie”. Również na odcinku sportu pozostali oni czujni, aż do końca PRL.

*Autor jest pracownikiem
Biura Badań Historycznych IPN*



Jedna z głów wawelskich odzyskana z Rosji, Zamek Królewski na Wawelu

TROFEA WIELKIEGO ZWYCIĘSTWA

TRIUMF W WOJNIE Z ROSJĄ W 1920 r. STAŁ SIĘ MITEM ZAŁOŻYCIELSKIM ODRODZONEJ POLSKI. ZŁOŻYŁY SIĘ NA TO ZNAKI I SYMBOLE OBECNE W TYSIĄCACH DZIEŁ KULTURY NARODOWEJ ODZYSKANYCH Z ROSJI W WYNIKU WYGRANEJ WOJNY I PODPISANIA TRAKTATU RYSKIEGO



JERZY MIZIOŁEK

W czasie rozmaitych wojen za trofea uważano przede wszystkim broń i inne przedmioty zdobyte na polu walki, ale często wśród nich były również dzieła sztuki zabierane z pokonanego kraju. Wielkim, ale jednocześnie smutnym doświadczeniem polskiej historii jest to, że po zwycięstwie w 1920 r. łupami stały się przede wszystkim dobra kultury i symbole narodowe zrabowane z terenów Polski przez carską Rosję w okresie od 1772 do 1915 r. Skala rabunków była ogromna, gdyż chodziło o „konieczność – jak czytamy w tajnej konwencji petersburskiej rosyjsko-pruskiej z 1797 r. – zlikwidowania wszystkiego, co mogłoby przywołać pamięć Królestwa Polskiego”. Po traktacie ryskim, podpisanym 18 marca 1921 r., przez długie lata toczyły się negocjacje w sprawie odzyskania z Rosji wszystkich polskich dóbr kultury. Ten wielki wysiłek jest ciągle zbyt słabo znany w szerokich kręgach polskiego społeczeństwa i zasługuje na krótkie omówienie.

Dramatyczną sytuację naszego kraju w sferze kultury dobrze charakteryzuje Mieczysław Treter, powołany w 1922 r. na dyrektora Państwowych Zbiorów Sztuki, instytucji utworzonej po to, by te odzyskiwane dobra kultury katalogować i tworzyć wizję polskiego muzealnictwa: „Polska od-

rodzona znalazła się jako państwo w osobliwych wprost warunkach: nie posiadała żadnych zbiorów artystycznych, żadnych muzeów, gdyż zaborcy i okupanci nie zostawili jej dosłownie nic po sobie w tej dziedzinie, poza przedmiotami związanymi ściśle z architekturą dawnych polskich zamków królewskich oraz gmachów państwowych. W ten sposób Polska stała się wśród państw, nie tylko Europy, ale całego cywilizowanego świata, istotnie jedynym państwem nieposiadającym zgoła żadnych artystycznych ani historycznych kolekcji, ani jednego muzeum państwowego”.

Rabunek polskich dóbr kultury

Wspomniane tajne porozumienie rosyjsko-pruskie z 1797 r. nakreśliło kolejny etap likwidacji wszelkich śladów po Rzeczypospolitej. Już 21 listopada 1794 r. Katarzyna II specjalnym reskryptem poleciła Aleksandrowi Suworowowi, aby wszystkie archiwa cywilne i polityczne, a w szczególności obie Metryki, Koronną i Litewską, wysłał do Petersburga. Tego samego roku złupiono gmach Komisji Skarbowej. Jako trofeum wojenne do Petersburga zabrano wszystkie arrasy króla Zygmunta Augusta, w liczbie 156, znajdujące się w Warszawie od 1764 r., a także sztandary, broń i regalia Stanisława Augusta. Na osobisty rozkaz bezlitosnej carycy wywieziono

ogromną Bibliotekę Żałuskich. Jej dzieło kontynuował Mikołaj I, „ten zimny brutal o koszarowym światopoglądzie”, jak go nazwał jeden z brytyjskich historyków. Po upadku powstania listopadowego miał powiedzieć: „Znam tylko dwa typy Polaków: tych, którzy się zbuntowali przeciwko mnie, i tych, którzy pozostali mi wierni – jednych nienawidzę, drugimi gardzę”. W zemście za wybuch powstania i detronizację z Uniwersytetu Warszawskiego i z Towarzystwa Przyjaciół Nauk do Petersburga zabrano wszystkie książki, ryciny, rzeźby, obrazy, pamiątki narodowe. Szczególnie bolesna była utrata na 91 lat uniwersyteckiego Gabinetu Rycin z ponad 110 tys. obiektów. Po powstaniu styczniowym do Moskwy trafiły nie tylko sztandary i broń pokonanych, lecz również słynne głowy wawelskie, które od zniszczenia uratowała Izabela Czartoryska, przewożąc je do Puław.

Sięgnijmy do niemal zapomnianej dziś książki Georga Brandesa z 1885 r. „Polska” (polskie tłumaczenie ukazało się w roku 1898), w której odnajdujemy taką oto głęboko poruszającą opowieść: „Przechodząc w wielkim pałacu carów moskiewskiego Kremla przez to boczne skrzydło, w którym znajduje się zbrojownia (Orużejnaja pałata), spotyka się na parterze 22 marmurowych biustów królów i sławnych mężów polskich, na piętrze wyższym w wielkiej okrągłej sali stoi polski tron, a przy nim korona, którą nosił ostatni król polski, Stanisław August; w sali sąsiedniej, wprost naprzeciw lektyki Karola XII, z bitwy pod Połtawą, 60 sztandarów zdobytych na Polakach w r. 1831 i 1863, poszarpanych od kul i z polskimi napisami, zaś obok nich, na prawo, misternej roboty zamknięta szafka. W tej szafce spoczywa

konstytucja 3-go maja, »ów dyplom szlachectwa Polski wobec innych ludów Europy« – przechowana jako okaz muzealny. Rosjanin, który mnie oprowadzał po Kremlu, zrobił tu uwagę, że widok tych sztandarów i owej szafki bolesne przecież sprawia wrażenie. A cóż dopiero uczuwać musi Polak, gdy tu, w pałacu carskim i w obcej stolicy ujrzy te curiosa na pokaz wystawione, a wśród nich: sławnych mężów Polski, insygnia królewskie, te widome znaki niepodległości ojczyzny, sztandary z białym orłem i nawet tę Wielką kartę, którą naród wydał na świat w najpodnioslejszej chwili swego żywota i która legalnie nie utraciła swej mocy obowiązującej po dzień dzisiejszy. Polak, patrząc na to wszystko, doznaje niewątpliwie uczucia, jak gdyby czytał swe nazwisko na kamieniu grobowym”.

Duńczyk mylił się wprawdzie w niektórych kwestiach. Wspomniane przez niego brązowe biusty ukazują tylko sławnych mężów (nie ma wśród nich królów), a w wymienionej przez niego szafce była nie Konstytucja 3 maja, lecz ta nadana Królestwu Polskiemu (Kongresowemu) przez Aleksandra I, ale jego słowa dobrze charakteryzują smutną rzeczywistość Polski w końcu XIX w. z „kamieniem grobowym” w tle. Trzeba było bez mała jeszcze trzech dekad, by nadzieja na odrodzenie nabrała kształtów, a następnie wojny polsko-rosyjskiej i traktatu ryskiego, by otworzyć drogę do odzyskania utraconych symboli i pamiątek narodowych oraz ogromnej liczby dokumentów i dzieł sztuki.

Działalność Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości

Zanim jednak do tego doszło, wielki wkład w walkę o odzyskanie dziedzictwa kulturalnego Rzeczypospolitej wniosły polskie organizacje rozsiadane po Rosji. Ta długa walka rozpoczęła się już na przełomie wieków, w 1905 r. starano się m.in. o powrót do Warszawy pomnika księcia Józefa Poniatowskiego. Starania przybrały na sile, kiedy na początku I wojny światowej Rosja zaczęła czynić obietnice odrodzenia Królestwa Polskiego. Wraz z nimi pojawiały się również

plany rewindykacji polskich skarbów narodowych. W 1915 r. w Moskwie powstał Wydział Opieki nad Ruchomą Własnością Ewakuowaną i Zabytkami Sztuki. Dwa lata później przekształcono go w Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Sztuki i Kultury, które rozpoczęło katalogowanie polskich zbiorów wywiezionych do Rosji. Podjęte wówczas, niezwykle sprawnie prowadzone działania stały się po wojnie polsko-bolszewickiej podstawą licznych wniosków rewindykacyjnych. Już w 1917 r. udało się zlokalizować i zabezpieczyć m.in. znaczną część arrasów wawelskich oraz meble z Zamku Królewskiego.

Artykuł XI traktatu ryskiego

Polsko-rosyjskie rozmowy pokojowe toczyły się najpierw w Mińsku, a od połowy września w Rydze, w atmosferze kolejnych polskich zwycięstw i wreszcie przerwanych działań wojennych. Umowę preliminaryjną podpisano 12 października, a więc dwa tygodnie po bitwie nad Niemnem. W piątym punkcie rozdziału X zapisano (z myślą o ostatecznym traktacie): „Będzie ustalone zobowiązanie zwrotu Polsce archiwów, bibliotek, dzieł sztuki, historycznych trofeów wojennych, zabytków i tym podobnych przedmiotów do robku kulturalnego, wywiezionych z Polski do Rosji od czasu rozbiorów Rzeczypospolitej Polskiej”. W traktacie ryskim kwestie te zostały ujęte w rozdziale XI. Podpisanie go było dopiero początkiem ogromnej pracy, jaką musiały wykonać zespoły ekspertów. Piotr Wojkow, prezes delegacji rosyjsko-ukraińskiej, w tajnym raporcie, który został opublikowany dopiero w 1991 r., napisał: „Polacy żądają dosłownie wszystkiego, co tylko przy-

pomni się komuś z ich uczonych lub laików, aż po karetę króla Stanisława Augusta, którą po jego śmierci przywłaszczył sobie Paweł I, a która oczywiście już od dawna nie istnieje”. Kluczowe sformułowania zawarte w interesującym nas rozdziale XI traktatu brzmią tak: „Rosja i Ukraina zwracają Polsce następujące przedmioty, wywiezione do Rosji lub Ukrainy od 1 stycznia 1772 r. z terytorium Rzeczypospolitej Polskiej:

a) wszelkie trofea wojenne (np. chorągwie, sztandary, wszelkie znaki wojskowe, działa, broń, regalia pułkowe itp.), jak również trofea zabrane od roku 1792 Narodowi Polskiemu w jego walce o niepodległość przeciw carskiej Rosji. Nie podlegają zwrotowi trofea polsko-rosyjsko-ukraińskiej wojny 1918–1921 r.;

b) biblioteki, księgozbiory, archeologiczne i archiwalne zbiory, dzieła sztuki, zabytki oraz wszelkiego rodzaju zbiory i przedmioty o wartości historycznej, narodowej, artystycznej, archeologicznej i naukowej lub w ogóle kulturalnej”.

Efekty traktatu ryskiego

Po podpisaniu traktatu powstała Polska Komisja Reewakuacyjna i Specjalna. Jej prace zaplanowane mniej więcej na trzy lata trwały do 1937 r. Po stronie polskiej uczestniczyło w nich ok. 80 osób pod przewodnictwem ministra Antoniego Olszewskiego, prezesa Komisji. Sekretarzem generalnym w latach 1922–1924 był Stefan Starzyński, legionista, uczestnik zwycięskiej bitwy pod Komarowem z Konarmią Budionnego i następnie prezydent Warszawy. Ta część komisji, która zajmowała się realizacją postanowień zawartych w rozdziale XI traktatu, składała się z wybitnych specjalistów z zakresu archiwistyki, muzeologii, historii, historii sztuki i bibliotekarstwa. Komisja posiadała ekspozyturę w Warszawie, Moskwie i Petersburgu.

Zapowiedź tego, jak ogromna praca czekała na polskich ekspertów, daje list Rady Uniwersytetu w Petersburgu, opublikowany 4 kwietnia 1921 r., a więc nieco ponad dwa tygodnie po podpisaniu traktatu w Rydze. Ten kuriozalny dokument, zredagowany w duchu kontynuacji tradycji „świętej Rusi”,

posuwa się do nadania Rosji statusu kraju wyjątkowego, którego „nie można znieważać” zbyt daleko idącymi rewindykacjami. „Art.

XI traktatu pokojowego – czytamy w tymże liście – zawiera groźbę operacji tym cięższej i niebezpieczniejszej, że w wielu wypadkach będzie ona musiała wyrwać z żywego ciała organicznie z nim >>



Portrety królów – Kazimierza Wielkiego i Augusta III z Sali Marmurowej, zwrócone po traktacie ryskim



„Wystawa rewindykacyjna” (1929)

Mimo że proces odzyskiwania dóbr kultury narodowej nie został w pełni zakończony, zapadła decyzja o zorganizowaniu wystawy w celu pokazania wybranych dokumentów i dzieł sztuki odzyskanych w latach 1922-1929. Idąc konsekwentnie za tą ideą, wystawiono m.in. sześć spośród 22 odlanych w brązie portretów znakomitych mężów z Sali Rycerskiej, 107 obiektów z liczącego ponad 100 tys. sztuk zbioru sztychów i rysunków Gabinetu Rycin BUW, 15 dzieł antycznych spośród 150 i bez mała 50 z setek odzyskanych obrazów rozmaitych szkół artystycznych. Pokazano tylko małą część rewindykowanej broni, sztandarów i mundurów. W isticie znakomitym wyborze zaprezentowano – w pierwszej części wystawy – regalia i przedmioty królewskie. Znalazły się wśród nich m.in. Szczerbiec, chorągiew koronna Zygmunta Augusta, dary papieża Innocentego XI i Ludwika XIV dla króla Jana III, takie jak kapelusz, miecz honorowy, płaszcz Orderu Ducha Świętego oraz berło Stanisława Augusta, jego miecz koronacyjny i łańcuch Orderu Orła Białego.

W konkluzji swego „Zarysu rewindykacji polskiego mienia muzealnego z Rosji” Witold Suchodolski zawarł warte zapamiętania słowa: „Jeśli w latach niewoli usiłowali zaborcy zrobić z nas, narodu historycznego, jeno materiał etnograficzny, to dziś każda nie wiążąca nas z dorobkiem kulturalnym przodków naszych musi być wydobyta i włączona do spłotu więzi historyczno-kulturalnej, która z masy etnograficznej czyni Naród”.

Czy w tym heroicznym odzyskiwaniu dóbr kultury po zwycięskiej wojnie osiągnięto pełny sukces? Dziś z perspektywy czasu wiemy, że niezupełnie, albowiem wiele cennych dzieł kultury polskiej pozostało w Rosji. Warto wszakże pamiętać słowa niezwykle zasłużonego członka Mięszanej Komisji Specjalnej Mariana Morelowskiego. W jednym ze swoich artykułów wokółrewindykacyjnych zawarł taką myśl: „O ile zwrot archiwów przy cesjach terytorialnych jest zjawiskiem z dawna znany [...], to zagwarantowanie drogą traktatów zwrotu mienia muzealno-kulturalnego jest zjawiskiem bardzo rzadkim”. Dlatego właśnie stulecie traktatu ryskiego warte jest stosownego celebrowania.

>> zrosnięte części. [...] Cała stuletnia praca [kustoszy i badaczy petersburskich] zostanie zniweczona, a tradycja badania źródeł cofnięta. [...] Akt wynikający z wymienionego warunku traktatu [odnoszący się do archiwów, bibliotek i muzeów] nie może nie zadać kulturze ogólnoludzkiej ciosu niedającego się powetować i usprawiedliwić. W świetle powyższych poglądów staje się szczególnie nieusprawiedliwioną i dotkliwą raną, zadawaną godności narodowej nowej Rosji, wierzącej pośród przeżywanych cierpień w przyszłe odrodzenie. Zostaje zadany cios tej nowej, wyzwolonej Rosji, której jednym z pierwszych czynów było przywrócenie wolności narodowi polskiemu”.

Tak więc dla rosyjskich uczonych nade wszystko liczył się majestat „nowej, wyzwolonej Rosji”, która na dodatek mianowała się krajem, pomimo 20-miesięcznej wojny, obdarowującym naród polski wolnością (sic!). W ostatnim akapicie listu pojawia się nawiązanie do tej wojny i swoista groźba: „Szczęście jest zmienne w niepewnych losach wojny. Prawa i godność zwycięzców i zwyciężonych chwieją się na nie zrównoważonych jeszcze szalach”.

Pomimo wielu podobnych pism, memoriałów i działań utrudniających działalność Komisji Reewakuacyjnej dzięki kompetencji i uporowi polskich ekspertów sprawy szły do przodu. Do 16 maja 1922 r. do Warszawy wysłane zostały akta gubernialnych urzędów ds. własności w 85 pakach i dokumenty Zarządu Wzajemnych Ubezpieczeń Królestwa Polskiego w 55 pakach. W tym samym czasie powrócili do Polski m.in. 24 głowy z Sali Poselskiej na Wawelu, 41 arrasów z kolekcji

króla Zygmunta Augusta, pomnik księcia Józefa Poniatowskiego, obraz Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem”, wyposażenie pałacu Na Wodzie w Łazienkach i Zamku Królewskiego (375 skrzyń), m.in. z regaliaми Stanisława Augusta, sztandarami, obrazami Bernarda Bellotta w liczbie 21, z widokami Warszawy, brązowymi popiersiami z Sali Rycerskiej, sześcioma obrazami Marcella Bacciarellego z tejże Sali, ze scenami z historii Polski.

Czym byłby Zamek Królewski bez odzyskania wspomnianych dzieł? O przerażającej pustce jego pomieszczeń pisze w swoich wspomnieniach Helena Paderewska, żona Ignacego Jana Paderewskiego. Zaświadczają o tym również fotografie wnętrza zamku wykonane w latach 1915–1918. „Tego samego wieczoru na cześć Herberta Hoovera – pisze Paderewska – po raz pierwszy otwarto apartamenty Zamku Królewskiego i wydano wspinały obiad. Na przygotowania pozostało mało czasu, a zadanie wydało się przytłaczające, jako że czego z Zamku nie zabrali Rosjanie, wywieźli to Niemcy; wzięli nawet mosiężne klamki z drzwi i praktycznie nie pozostało nic z wyjątkiem dekoracji na ścianach, których nie dało się zerwać, oraz pięknych posadzek”.

Zmagania polskiej Delegacji w Rosji, w których niemal każdy obiekt restytucji należało odszukać i przeprowadzić dowód własności, były po ośmiu latach prac dalekie od zakończenia. Rosjanie piętrzyli problemy, ale polscy eksperci wiedzieli, że ich determinacja nie może osłabnąć. Do kraju wracały kolejne, bezcenne skarby kultury, jak Szczerbiec i następne arrasy.

BLIŹNIACY

Z POKOLENIA MOICH RODZICÓW
ZOSTAŁA MI JUŻ TYLKO CIOCIA
ELA. NIECZĘSTO JĄ ODWIEDZAM,
ALE ZAWSZE TE SPOTKANIA
TO PRZEŻYCIE I EMOCJONALNE,
I INTELEKTUALNE



**MICHAŁ
KARPOWICZ**

Zajrzałem do niej w okolicy moich imienin – św. Michała Archanioła 29 września. Rozmawialiśmy przy herbacie o świecie, były rodzinne wspominki i takie tam. Aż naraz ciocia zaczęła:

– A wiesz, że jeden z obrazów, które zrobiły na mnie w życiu największe wrażenie, to właśnie wizerunek świętego Michała Archanioła?

Nadstawiłem ciekawie uszu.

– Kiedy udało mi się pierwszy raz wyjechać do Londynu, to biegałam z wywieszonym ozorem po wszystkich muzeach i galeriach. Zaszłam też oczywiście do National Gallery. Muzeum samo w sobie męczące, ale w jednej z sal wisi wizerunek Archanioła pędzla Carla Crivellego. Od razu mi się spodobał. Długo patrzyłam, ale w końcu ruszyłam dalej. Przeszłam ze dwie sale i wróciłam. Potem znowu i znowu wracałam. Tak ze trzy razy chyba. Znasz ten obraz?

– Nie, zupełnie nie kojarzę.

– No więc to malarz z końca XV w., renesansujący weneccjanin. I święty Michał przedstawiony jest w ludzkiej postaci. Stoi na pierśsiach powalonego diabła, miecz wzniesiony do ciosu, a on patrzy w dół. Twarz ma ludzkie rysy, ale nie ma żadnych uczuć, żadnych ludzkich emocji. To nie jest twarz człowieka, lecz zupełnie innej istoty, choć twarz dobra. A leżący diabeł przedstawiony jako takie straszdyło z błoniastymi skrzydłami, zielony jakiś, ale też o ludzkich rysach twarzy. I znowu to samo. Od razu widzisz, że to zła twarz, ale nie człowieka. A jak się przyjrzeć uważnie, to to są dwie twarze bliźniacze. Te same rysy i Michała, i Lucyfera. Taki widzisz traktat teologiczny przy okazji.

Dobrze mieć taką ciocię. Wróciłem i siadłem do komputera. Znalazłem obraz i długo patrzyłem w ekran...

Zresztą niech się sami Państwo przekonają.

„Święty Michał Archanioł”, ok. 1476 r., Carlo Crivelli (1430–1495)





**RAFAŁ
ŁATKA**

Biuro Badań
Historycznych
IPN

W KRĘGU KLIO

Wokół polskich spojrzeń na Niemcy i Rosję

Dzieje dwóch odwiecznych polskich sąsiadów i rywali, czyli Niemiec i Rosji, budzą oczywiste zainteresowanie nie tylko w naszej historiografii, lecz również w szerszej opinii publicznej. Nie brakuje opracowań, które wzbudziły daleko idące dyskusje i polemiki. Ostatnio na polskim rynku wydawniczym ukazały się cztery publikacje, na które chciałbym zwrócić szczególną uwagę czytelników.

Dwie pierwsze dotyczą szeroko rozumianej tematyki niemieckiej i zostały wydane przez zasłużone wydawnictwo Bellona. Bez wątpienia pierwsze polskie krytyczne wydanie „Mein Kampf” Adolfa Hitlera w opracowaniu prof. Eugeniusza Cezarego Króla wzbudza i będzie wywoływało daleko idące

kontrowersje. Jak niżej pokażę, zupełnie niesłusznie. Przedmiotem bardziej już naukowej niż publicystycznej dyskusji powinna być za to kolejna książka prof. Grzegorza Kucharczyka. Historyk z IH PAN tym razem wydał dzieło podsumowujące jego wieloletnie badania dziejów Prus. Równie interesujące są dwie nowe publikacje odnoszące się do tematyki rosyjskiej, choć nie mają one charakteru naukowego. Profesor Andrzej Chwalba w rozmowie z Wojciechem Harpułą przybliżył wybrane, najważniejsze kwestie z dziejów relacji polsko-rosyjskich. Barbara Włodarczyk, wieloletnia korespondentka TVP w Moskwie, opisuje z kolei w reportażowym stylu, skąd się wzięła i dlaczego trwa wielka popularność Władimira Putina w Rosji. ■

Grzegorz Kucharczyk, „Prusy. Pięć wieków”, Warszawa 2020, Wydawnictwo Bellona

Książka „Prusy. Pięć wieków” powinna w moim przekonaniu wejść do kanonu kluczowych publikacji historycznych w Polsce. Grzegorz Kucharczyk w syntetyczny, kompletny i kompetentny sposób przedstawił historię państwa pruskiego. Historyk, wywodzący się z Gorzowa Wielkopolskiego, na przeszło 800 stronach ujął dzieje tej monarchii, poczynając od jej genezy, jaką było niewielkie władztwo Hohenzollernów, aż do upadku tego państwa, rozciągniętego na cały okres I wojny światowej. Niezwykle ważną zaletą dzieła Kucharczyka jest całościowe spojrzenie: nie jest to tylko historia polityczna, lecz również gospodarcza i kulturalna. Ponadto autor w interesujący sposób przedstawia tło opisywanych przez siebie wydarzeń oraz potrafi trafnie wskazywać przyczyny takiego, a nie innego kierunku polityki pruskiej. Do najbardziej interesujących rozdziałów należą te, w których autor przybliżył przełom reformacyjny oraz proces zanikania państwa krzyżackiego; przebieg Wiosny Ludów na terenie Prus i kulturę Realpolitik, która poskutkowała zjednoczeniem Niemiec. Warte szczególnej uwagi jest także Epilog, w którym Kucharczyk prześledził wybrane odwołania do dziejów Prus po II wojnie światowej. ■



„Mein Kampf. Edycja krytyczna”, tłumaczenie, oprac. i wstęp Eugeniusz Cezary Król, Warszawa 2020, Wydawnictwo Bellona

Można było przewidzieć, że wydanie najważniejszego dzieła Adolfa Hitlera „Mein Kampf” w języku polskim spotka się z oporem części opinii publicznej. Nie byłam zdziwiona, że podobnie jak w przypadku wielu innych publikacji, niektórzy historycy zabrali głos, zanim dany tytuł się ukazał (i przed zapoznaniem się z nim). Tak było niestety i w tym przypadku, publicznie swój sprzeciw wobec wydania tej publikacji wyraził m.in. Andrzej Friszke, a ze współpracy przy – co należy tu wyraźnie podkreślić – naukowej edycji wycofał się Instytut Studiów Politycznych PAN, w którym pracuje prof. Król. Są to w moim przekonaniu działania niezrozumiałe. Każdy, kto sięgnie po krytyczne wydanie „biblii nazizmu” w tłumaczeniu i opracowaniu warszawskiego badacza, łatwo się przekona, że nie ma tu mowy w żadnym



przypadku o propagowaniu totalitaryzmu. Zamiast tego jest rzetelne i całościowe opracowanie kluczowego źródła historycznego. Profesor Król na przeszło 90 stronach wstępu w całościowy sposób przybliżył dzieje „Mein Kampf”, przedstawił także poglądy Hitlera wyrażane na kartach tej słynnej książki, oraz również opisał jej recepcję zarówno w Niemczech, jak i poza nimi. Kluczowe jest oczywiście krytyczne omówienie najważniejszych tematów podejmowanych w „Mojej walce” wraz ze wskazaniem na późniejszą realizację wielu pomysłów przedstawionych przez Hitlera oraz wyjaśnienie, z jakich koncepcji zrezygnował w okresie sprawowania władzy. Do szczególnie interesujących wątków naukowego Wprowadzenia należy również przedstawienie losów wydań zagranicznych, m.in. amerykańskiego, angielskiego i francuskiego. Niezwykle ważne dla odbioru „Mein Kampf” jest pozostawienie chaotycznego stylu przywódcy III Rzeszy w polskim wydaniu. Król słusznie zdecydował, by nie poprawiać braków stylistycznych i językowych Hitlera, dzięki czemu możemy obcować z tekstem możliwie zbliżonym do oryginału. Bardzo pomocne, szczególnie dla mniej zorientowanych czytelników, są przypisy wyjaśniające kwestie mogące budzić wątpliwości.

Andrzej Chwalba, Wojciech Harpula, „Polska-Rosja. Historia obsesji, obsesja historii”, Kraków 2021, Wydawnictwo Literackie

Andrzeja Chwalby jako historyka nie trzeba nikomu przedstawiać. Ważną sferą jego aktywności zawodowej, szczególnie w ostatnich latach, jest także popularyzacja dzieł naszej ojczyzny. Do tego sposobu prezentowania osiągnięć historiografii należy książka „Polska-Rosja. Historia obsesji, obsesja historii”. Na blisko 500 stronach, wspólnie z Wojciechem Harpulą, krakowski badacz omówił kluczowe dla zrozumienia stosunków polsko-rosyjskich problemy z zakresu dziejów obu państw. Chwalba i jego rozmówca pochylili się nad kwestiami zupełnie odmiennego kształtowania się tożsamości obydwu narodów. Tu szczególnie istotne



znaczenie ma opisanie sposobu przyjęcia wiary chrześcijańskiej oraz powodów, jakie stały za wyborem katolicyzmu w wersji łacińskiej przez naszych przodków, oraz wersji greckiej przez Ruś czy raczej w tym przypadku przede wszystkim przez Wielkie Księstwo Moskiewskie. Do najważniejszych części książki należy dyskusja wokół szans powodzenia unii polsko-litewsko-moskiewskiej, której koncepcja pojawiła się w czasie „wielkiej smuty” i tzw. dymitriad, oraz dziejów polsko-rosyjskich w XX w. To drugie zagadnienie zostało jednak w moim przekonaniu potraktowane zbyt pobieżnie. Wydaje się, że Chwalba i Harpula powinni nieco głębiej wejść w historię Polski „ludowej”, omawiając bardziej szczegółowo model 45-letniego systemu zależności naszej ojczyzny od wschodniego hegemonu. Dla czytelnika rozmowa na ten temat pozostawia spory niedosyt. Być może ukaże się kolejna praca/dialog tych dwóch autorów i brak ów zaspokoi?

Barbara Włodarczyk, „Szalona miłość. Chcę takiego jak Putin. Reportaże z Rosji”, Kraków 2021, Wydawnictwo Literackie

Ostatnia z książek, na które chciałem tym razem zwrócić uwagę czytelników „wSieci Historii”, to reportaż Barbary Włodarczyk dotyczący stosunku Rosjan do Władimira Putina. Autorka dzieła jest doskonałą znawczynią historii i współczesności naszego wschodniego sąsiada, a jej książka stanowi niejako kontynuację rozważań z wcześniejszej publikacji „Nie ma jednej Rosji”. Sama koncepcja prezentowanej tu pracy jest bardzo ciekawa. Włodarczyk przedstawiła wybrane kwestie nawiązujące do tytułowego zagadnienia przez pryzmat swoich rozmów z mieszkańcami Rosji. Są to bardzo różnorodne osoby: od postaci publicznych, przez dziennikarzy, działaczy partii Jedna Rosja aż do zwykłych mieszkańców prowincji. Obraz, jaki wyłania się z kolejnych spotkań, dla Polaków jest jednocześnie straszny i śmieszny: oto bowiem zdecydowana większość Rosjan nie tylko



ceni bardzo wysoko Putina, ale wręcz darzy swojego przywódcę gorącym uczuciem. Szczególnie doceniana jest jego – jak twierdzą – siła, stanowczość i bezwzględność, a także to, że „nie kłania się Zachodowi”. Dobrym podsumowaniem jest dowcip, jaki krąży po Moskwie, który autorka przytacza w końcowej partii książki: „W 1999 r. prezydent Jelcyn powiedział: »Jestem zmęczony, odchodzę«. W 2020 r. prezydent Putin powiedział: »Jestem zmęczony, musicie odejść«”. Takie podejście kremlowskiego dyktatora większości Rosjan, jak widać, jednak nie przeszkadza...

REKLAMA



Rafał Łatka rozmawia z...

...Romanem Graczykiem o jego najnowszej książce „Demiurg. Biografia Adama Michnika”

Panie redaktorze, jakie założenia stały za pana książką? Czy miał pan zestaw tez dotyczących jej bohatera, zanim przystąpił pan do pracy?

Roman Graczyk: Tez to za dużo powiedziane. Miałem oczywiście, jak każdy, jakieś wyobrażenia o tej postaci. Przystępując do pracy, chciałem się jej przyjrzeć i jeśli moje wcześniejsze wyobrażenia fałsyfikowały się, zmieniałem je.

Jak głęboko Adam Michnik wpłynął na dzieje opozycji w Polsce, a potem środowiska Solidarności już po 1989 r.?

Bardzo głęboko na dzieje opozycji. W latach 70. to on zbudował model opozycyjnego zaangażowania. To był model niesłuchanie pociągający dla inteligencji, szczególnie młodej, ponieważ łączył nonkonformizm z zakorzenieniem w kulturze. Włączał ówczesną postawę sprzeciwu w tradycję buntu ziemiańskiego/inteligenckiego z XIX w. Rysując tę ciągłość, nadawał postawie sprzeciwu dodatkowy sens, uszlachetniał ją. A ponieważ wykazywał się niezwykłą odwagą, rychło stał się emblematem tego ruchu.

Już nieco mniej wpłynął Adam Michnik na dzieje Solidarności, ponieważ to był ruch wielomilionowy i nikt nie był w stanie nad nim zapanować. Oczywiście Michnik był wpływowym doradcą, choć nie tak wpływowym jak Kuroń, Gremek czy Mazowiecki. Wydaje się, że miał duży udział w decyzjach Zbigniewa Bujaka, szefa Regionu Mazowsze. Był też doradcą Komisji Robotniczej Hutników (czyli komisji zakładowej) w Hucie im. Lenina w Krakowie. Aspirował do wyższej pozycji, czyli do kierowania „Tygodnikiem Solidarność”, ale tu przegrał z Tadeuszem Mazowieckim.

Różnica między tymi dwoma okresami jest – w kontekście Michnika

– taka, że w opozycji przedsierniowej nurt korowski był dominujący, a w nim Michnik grał pierwsze skrzypce. Natomiast w Solidarności już takiej dominacji nie było. Upraszczając, Michnik był idolem Solidarności inteligenckiej, ale już niekoniecznie robotniczej. Wtedy wszak ujawnił się fenomen „prawdziwych Polaków”, a więc nurt, który takich jak Michnik wypychał z solidarnościowej wspólnoty.

Osobista znajomość z Michnikiem ułatwiła czy utrudniła pisanie?

Ułatwiła i utrudniła. Dała mi pewien wgląd w sposób działania mojego bohatera. Przez kilkanaście lat byłem dziennikarzem „Gazety Wyborczej”, Michnik był moim szefem – to mi dało jakąś wiedzę o specyfice „Gazety”.

Utrudnienie polegało na tym, że osobista znajomość groziła subiektywnym skrzywieniem perspektywy. Tym bardziej że moje rozstanie z „Gazetą” nie było aksamitne. Pisałem tak, żeby ta zaszłość nie wpływała na moje oceny. Dlatego całkowicie pominąłem ten osobisty epizod. Wydaje mi się, że to było jedyne sensowne wyjście z tej sytuacji.

Od którego ze świadków dowiedział się pan najwięcej o Michniku?

Nie potrafię wymienić jednego. Dużo wniosły relacje Czesława Bieleckiego, Ludwika Dorna, Jana Lityńskiego, Wandy Zwinogrodzkiej czy Antoniego Libery, jeśli chodzi o profil światopoglądowy Adama Michnika. Pouczające były relacje byłych dziennikarzy „Gazety Wyborczej”: Artura Domosławskiego, Aleksandra Kaczorowskiego, Romana



Kurkiewicza i Rafała Kalukina, jeśli chodzi o jego profil osobowościowy.

Czym różni się sposób prezentacji bohatera tej książki od wcześniejszych prac biograficznych pana autorstwa? Mam na myśli dzieła o Chrzanowskim i Mazowieckim.

Ta praca jest bogatsza w źródła, chociaż napotkałem poważny problem odmowy wielu osób, przeważnie bliskich mojemu bohaterowi, udzielenia mi relacji. Ta książka dotyczy postaci, która rozpala do dzisiaj wielkie namietności. Opublikowanie jej to jak poruszanie się po polu minowym. A to ma z pewnością wpływ na jej recepcję.

W gruncie rzeczy chyba wszystkie te trzy książki są biografiami politycznymi raczej niż biografiami tout court, ale ta o Michniku trochę zbliża się do typowej biografii. Ukazuje bowiem, w większym stopniu niż książki o Chrzanowskim i o Mazowieckim, osobowość jej bohatera.

Naprawdę, jaka była, nie wie nikt...

W potocznej świadomości, którą kształtuje szkoła, Eliza Orzeszkowa – czy tego chcemy, czy nie – to autorka jednej powieści („Nad Niemnem”) i dwóch nowelek („Dobra pani” i „A... B... C...”), a jej „specjalnością” są rozbuchane opisy przyrody. Dla Orzeszkowej ta „szufladka” okazuje się mocno przyciasna. I to nie tylko dlatego, że pozostawiła po sobie 40 tomów „Pism zebranych” (nakład Gebethnera i Wolffa) plus kolejnych dziewięć grubych książek formatu A4 „Listów wszystkich”.

W roku 1905 Komisja Noblowska zastanawiała się, czy jej właśnie nie przyznać nagrody. Na wahanii jednak się skończyło. Wygrał Henryk Sienkiewicz, pokonując nie tylko Orzeszkową, ale też m.in. Lwa Tołstoja, Rudyarda Kiplinga i Selmę Lagerlöf.

Wydana właśnie nakładem PIW „Publicystyka społeczna” w opracowaniu największych specjalistek od Orzeszkowej, prof. Grażyny Borkowskiej i dr Iwony Wiśniewskiej z IBL PAN, jest najlepszym dowodem związku autorki „Nad Niemnem” z polskim tu i teraz. W momencie, kiedy powstała lwia część tych tekstów,

ich autorka nie była już tylko „polską Jane Austen”, ale jedną z najbardziej znanych europejskich feministek. W tym celu nie nosiła broszki z czerwonym piorunem.

„Nie od urojonej tyranii mężczyzn – pisała – nie od świętych i przynoszących szczęście obowiązków rodzinnego życia i prostoty – ale od słabości fizycznej bardziej narzuconej niż od natury wziętej, od braku sił moralnych na samoistne i logiczne życie, od klątwy wiecznego niemowlęstwa i anielstwa, od wypatrywania z cudzej ręki kawałka powszedniego chleba, od wiecznego zamykania przed nimi dróg poważnej i użytecznej pracy mają i winny emancypować się kobiety”. I słowa te starała się wprowadzać w życie na łamach „Niwy”, „Słowa i Czynu” czy – to mój ulubiony tytuł – „Tygodnika Mód i Powieści”.

Feminizm to tylko jedna twarz Orzeszkowej publicystki. W tekstach do prasy nie bała się żadnego tematu, bez różnicy czy chodziło o kwestię kobiecą, żydowską, przypomnienie XVI-wiecznych dziejów Jagiellonów, rozważań na temat greckiej moralności, czy też o... zaćmienie Słońca – o takiej rozpiętości tematycznej

najbardziej znany (jak chce wyniesiony ze szkoły stereotyp) XIX-wieczny publicysta, Bolesław Prus, mógłby co najwyżej pomarzyć. Zwłaszcza że Orzeszkowa nie zadowalała się własnymi spostrzeżeniami, każdy z podejmowanych przez siebie tematów osobno zgłębiając (w tym celu specjalnie sprowadzała książki z Paryża i Londynu). Dostajemy więc nie tylko „autorską” wersję wydarzeń, lecz także zgodną z najnowszym stanem wiedzy.

Oczywiście „Pisma publicystyczne”, choć po raz pierwszy sumują zapomnianą prasową aktywność Orzeszkowej, nie pokazują nam pełnego portretu autorki, ale dają wgląd w fascynującą osobowość pozytywizmu, która była prawdziwym „człowiekiem renesansu”. I – najważniejsze – nie pozwolą nam już nigdy więcej popełnić „szkolnego” błędu.

HUBERT MUSIAŁ



Eliza Orzeszkowa,
„Publicystyka
społeczna”, t. 1–3,
PIW 2021

Opowieści miejskie



**GABRIELA
SIEROCIŃSKA-
-DEC**

Z powstaniem wielu miejscowości wiążą się legendy, które przekazywane z pokolenia na pokolenie funkcjonują w lokalnych społecznościach do dziś. Za jedynymi stoi prawda historyczna, w pozostałych trudno jej szukać. Część kryje jakąś tajemnicę, inne kreują lokalnych bohaterów.

Do takich legend, ale przede wszystkim do wydarzeń historycznych, sięgają autorzy 24 opowiadań zawartych w książce „Wielka historia małych miast województwa łódzkiego”. Trio autorów specjalizujących się w książkach o tematyce historycznej dla dzieci i młodzieży: Grażyna Bąkiewicz, Zuzanna Orlińska i Paweł Wa-

kuła, zabiera młodego czytelnika w podróż po mniej i bardziej znanych miastach tego regionu Polski. Rozpoczynamy ją w Białej Rawskiej, a kończymy w Żłoczewie. Po drodze odwiedzamy m.in. Brzeziny, Łęczycę, Opoczno, Piotrków Trybunalski, Tomaszów Mazowiecki i Wieluń.

Przenosimy się w czasie, począwszy od wczesnego średniowiecza aż do współczesności. W pełnych przygód opowiadaniach spotykamy fikcyjnego głównego bohatera – rówieśnika czytelnika. Dowiadujemy się, kim jest, gdzie mieszka, w jakich czasach żyje. I to właśnie wokół niego dzieje się główna akcja opowiadania. W historiach nie brakuje postaci historycznych – takich jak władcy Polski, np. Władysław Łokietek, Kazimierz Wielki czy Kazimierz Jagiellończyk, czy ludzie kultury, chociażby Ignacy Krasiński i Julian Tuwim.

Przygody głównych bohaterów nie dzieją się w próżni – są oni świadkami lub uczestnikami wydarzeń – zarówno tych związanych z lokalną historią, jak i tych

znanych nam z podręczników szkolnych. Zdarza się, że akcja opowiadania odnosi się do istotnego dla miasta budynku, np. zamku, kościoła czy ratusza.

Poza fikcyjnymi elementami każdy tekst przekazuje sporo ważnych dla miasta informacji historycznych: datę pierwszej wzmianki o miejscowości oraz datę nadania praw miejskich. W podsumowaniu każdego opowiadania znajdują się informacje uzupełniające o „bohaterze” tekstu czy kontekście historycznym. Na końcu książki umieszczono słowniczek wyrazów, które mogłyby sprawić młodym czytelnikowi trudność.

„Wielka historia małych miast” to znakomity przewodnik historyczny, który może się stać inspiracją do zaplanowania podróży rodzinnych.



Grażyna Bąkiewicz,
Zuzanna Orlińska,
Paweł Wakula, „Wielka
historia małych
miast województwa
łódzkiego”,
Wydawnictwo
Literatura, 2020, Wiek
8+, Seria: „A to historia”

BYŁA CÓRKĄ
MARSZAŁKA
WIELKIEGO KORONNEGO
STANISŁAWA
HERAKLIUSZA
LUBOMIRSKIEGO.
WYDAJĄC JĄ ZA MĄŻ ZA
STAROSTĘ LWOWSKIEGO
ADAMA MIKOŁAJA
SIENIAWSKIEGO, OJCIEC
WYZNACZYŁ 100 TYS. ZŁ
POSAGU I HOJNIE
DOŁOŻYŁ 30 TYS.
ROCZNEGO DOCHODU



ELŻBIETA SIENIAWSKA HETMANOWA PRACUJĄCA



JOANNA
PUCHALSKA

Po śmierci pana marszałka przypadły na nią jeszcze matczyne Końskowola i Puławy, a że chętnie dokupywała nowe dobra, i w dodatku mieli z mężem rozdzielność majątkową, dawało to jej większą swobodę działania, niż miały inne zamężne damy, i z niej skwapliwie korzystała.

Burzliwe życie uczuciowe

Wychowanica i przyjaciółka Marysieńki Sobieskiej czuła się w Warszawie jak ryba w wodzie, natomiast w męzowskich Brzeżanach nudziła się jak mops, toteż gdy tylko mogła, zmykała do królowej lub do ojca. A choć delikatnie mówiąc, nie

tęskniła do towarzystwa małżonka, za dbała, by w 1692 r. dostał tytuł wojewody bełskiego oraz wiążącą się z nim godność senatora.

Z wiernością małżeńską różnie u niej bywało. Najpierw wdała się w zażyłą znajomość z synem hetmana wielkiego koronnego Janem Stanisławem Jabłonowskim. Ktoś życzliwie doniósł do Brzeżan, rozwód zawisł w powietrzu. Po załagodzeniu awantury chwilę spędziła potulnie przy mężu, po czym zaczęły się bliskie spotkania z królewiczem Aleksandrem Sobieskim. Gdy urodziła się Zofia Maria Sieniawska, być może owoc tej relacji, małżonek ucieszył się z córki i nie zgłaszał podejrzeń.

Aleksander znalazł sobie inną panią i Elżbieta Sieniawska poszukała pociechy w towarzystwie przystojnego księcia siedmiogrodzkiego Franciszka II Rakoczego, przywódcy tzw. powstania kuruców, wymierzonego przeciwko Habsburgom. Przez kilka lat chroniła go przed Habsburgami i finansowała węgierską walkę narodowowyzwoleńczą.

Panu Bogu służ, a diabła nie gniewaj

Tą staropolską frazą – kończącą się słowami „bo nie wiadomo, komu się dostaniesz” – uraczyła w liście swego męża, którego lubiła strofować w sprawach politycznych. Po śmierci Jana III, podczas nękającej Rzeczpospolitą wojny północnej oraz rozgrywek między Sasem a Lasem, małżonkowie kilkakrotnie zmieniali stronnictwa w zależności od sytuacji i możliwości uzyskania konkretnych korzyści. Była to wówczas praktyka częsta, mająca na celu ochronę dóbr doczesnych przed stratami ponoszonymi wskutek działań wojennych. Kasztelanowa wykazywała się pod tym względem dużym refleksem politycznym. Mąż bardziej zwlekał, wolniej podejmował decyzję, należało nim umiejętnie pokierować.

Początkowo Sieniawski przeciwny był Augustowi II, a potem przeszedł na jego stronę i został dzięki temu hetmanem. Jego żona, choć darzyła sympatią popieranego przez Szwedów Leszczyńskiego, gotowa była wejść w sojusz z Piotrem I, ale jednocześnie czujnie

przestrzegając męża, żeby tak za bardzo Rosji nie wierzył i nie został „durakiem carskim”, bo gdy nie będzie już potrzebny, car „tak będzie dbał o Waszeczki jak o trzecią nogę, coby mu więcej zawadzała, niż pomagała”. Gdy w 1707 r. Sieniawski zajął Warszawę, przebywając tam Sieniawska zachorowała i pozwoliła się porwać, a następnie dostarczyć przed oblicze Karola XII, z którym – wykazując się już dobrym zdrowiem – rozpoczęła pertraktacje. W ten sposób małżonkowie stanęli po dwóch stronach – jedno po rosyjskiej, drugie po szwedzkiej – co zabezpieczało ich na każdą ewentualność.

Po bitwie pod Połtawą 8 lipca 1709 r. nastąpił koniec Szwecji i zaczęła się kariera Rosji. Piotr I przywrócił na tron Augusta II, Leszczyński się wycofał, a Elżbieta Sieniawska zaprzyjaźniła się na nowo ze stronnictwem rosyjskim i zaczęła się dogadywać z królem, choć go nie lubiła. Dzięki jej zabiegom małżonek został kasztelanem krakowskim, czyli tym w Rzeczypospolitej najważniejszym, a ona najważniejszą senatorową.

Mój dom mówi o mnie

Po czterdziestce zaczęła się wycofywać z wielkiej polityki. Ot, tyle że od czasu do czasu za jej pieniądze zrywano jakiś sejmik. Sama zajęła się głównie interesami. Po wyjeździe z Polski królowej Marii Kazimierzy przez wiele lat prowadziła sprawy majątkowe Sobieskich i teraz od zadłużonego królewicza Konstantego odkupiła Wilanów. Na królewską posiadłość miał chrapkę August II, a ona nie mogła do tego dopuścić. „Płacz mie wziął, że po takim monarsze taka kanalia ma mieszkać” – wyznała w liście do królewicza Jakuba. Ukochana rezydencja Jana III przedstawiała stan opłakany. Dachy przeciekały, rynny gniły, sztukaterie odpadały, freski niszczały. Prace trwały dziewięć lat, dodane zostały boczne skrzydła zamykające dziedziniec, a nową dekorację architektoniczną i rzeźbiarską, nawiązującą do tej z czasów króla Jana, uzupełniono ikonograficznie o dokonania wojenne Sieniawskich. Hetmanowa finansowała także inne budowlane inwestycje, m.in. w Warszawie, Krakowie, we Lwowie, w Jarosławiu, Puławach i Oleszycach. Pracowali dla niej tak znani artyści jak Józef Fontana, Jan Zygmunt Deybel, Jan Jerzy Plersch czy Kacper Bażanka.

Mistrzynie zarządzania

Do Sieniawskich należało 35 miast i 235 wsi, a pod nieobecność zajętego wojowa-

niem małżonka pani hetmanowa – jak przystało na kobietę, co to żadnej pracy się nie boi – zajmowała się dozorem także nad jego dobrami. Zakładała młyny, tartaki, browary, papiernie, stawy rybne, pasieki, manufaktury, kuźnie, szlifiernie, szabelnie, warsztaty garncarskie. Aby nad tym wszystkim zapanować, wdrożyła sprawnie działający i nowoczesny system zarządzania. Drobiazgowo kontrolowała administratorów, wymagając od nich cotygodniowych sprawozdań. Gdy czymś się narazili, marny był ich los. Jeden stracił pracę za złe traktowanie chłopów, drugi poszedł do więzienia za nadużycia wobec arendarzy, trzeciemu za samowolę pogroziła w liście chłostą. Często wysyłała do swoich dóbr lustratorów, ingerowała we wszystko, łącznie z wyznaczaniem wielkości porcji

WYSYŁAŁA DO DÓBR LUSTRATORÓW, INGEROWAŁA WE WSZYSTKO, ŁĄCZNIE Z WYZNACZANIEM WIELKOŚCI PORCJI KARMY W PSIARNI

karmy w psiarni. Przy takim nadzorze nie było pola do marnotrawstwa i nadużyć, zyski rosły, a majątki się rozwijały.

W duchu epoki dużo i zaciekle się procesowała, a przy tak wielkich latyfundiach było o co. Zatrudniała prawników, ale też sama znała się na prawie. Jeździła nieustannie między trybunałami i sejmikami, doglądając wszystkiego osobiście.

O skali prowadzonych przez nią działań świadczy archiwum liczące kilkanaście tysięcy listów. Jest to korespondencja z mężem, rodziną, znajomymi, z ważnymi osobistościami, z oficjalistami dworskimi, podwładnymi, z zatrudnianymi architektami, rzeźbiarzami, malarzami.

Rozrywki i rodzicielstwo

Nie rezygnowała z życia towarzyskiego. Lubiła się podobać, miała wspaniałą garderobę stosowną do jej pozycji i zamożności.

Za tańcem przepadała od młodości, a jako kobieta dojrzała mogła na balach nawiązywać nowe kontakty i ułatwiać różne sprawy. Jeździła konno, celnie strzelała, uwielbiała polować i trzymała sforę chartów. Konie sprowadzała z Krymu i Konstantynopola. Znajdowała przy tym czas na czytanie i realizowanie pasji zbierania książek. Imponujący księgozbiór stale powiększali opłacani przez nią agenci.

Była dobrą i czułą matką. Wśród nauczycieli Zosi znaleźli się profesorowie Akademii Krakowskiej, a ochmistrzynią dziewczynki została przysła poetessa Elżbieta Drużbacka, która sama wychowywała się na dworze hetmanowej. Gdy córka podrosła, zabierała ją w objazdy do swoich dóbr, a także na sądowe sprawy, aby panna w praktyce zobaczyła, jak wygląda pilnowanie interesów i zarządzanie majątkiem.

Fortuna trafia w dobre ręce

Ostatnie lata życia pierwszej po wielkim królu Janie pani na Wilanowie były trudne. Martwiła się nieudanym małżeństwem córki ze Stanisławem Denhoffem i tym, że mąż coraz bardziej zapada na zdrowiu. Adam Sieniawski zmarł w lutym 1726 r. Mimo romansów i nieporozumień w tym trwającym prawie 40 lat stadle małżonków łączyło coś więcej niż interesy polityczne i majątkowe. Stanowili zgodny duet, darzyli się szacunkiem i przyjaźnią.

Po śmierci męża hetmanowa nie dała się namówić na kolejny mariaż, choć byli chętni do ręki majątnej wdowy. Rzuciła się w wir spraw sądowych i gospodarczych, dokupiła sobie jeszcze Pragę. Ale do dworskich uciech już jej nie ciągnęło. Znajomi powymierali, August II coraz więcej pił, „już dwie butelki wina, a najmniej półtory wypija”. Nigdy tego króla nie lubiła.

Na przedwiośnie 1729 r. czekała na zamówione w Konstantynopolu dywany oraz konie i wybierała się do Przemyśla „na sądy”. Zmarła nagle w Oleszycach 21 marca. Pochowano ją uroczystie w rodzinnym mauzoleum Sieniawskich w Brzeżanach.

Jedynaczka Zosia po śmierci pierwszego, niekochanego męża poślubiła – tym razem z miłości – wojewodę ruskiego Augusta Aleksandra Czartoryskiego. Wraz z ogromną fortuną wniosła mu w wianie matczyne Puławy, które w następnym pokoleniu staną się słynną rezydencją Adama Kazimierza Czartoryskiego i jego żony Izabeli z Flemmingów. Tu księżna Izabela, żona wnuka żelaznej hetmanowej, założyła pierwsze polskie muzeum.

KRZYSZTOF
ŻARYN

Słowo to powtarza się w każdym wydaniu wiadomości, w każdej stacji radiowej i na łamach wszystkich gazet. Szczepić się czy nie? Czy to bezpieczne? Ile dawek preparatu dostarczono w tym miesiącu? Które roczniki mogą już się zgłaszać na szczepienia? Które mogą już przyjmować kolejne dawki? Te pytania zadaje sobie chyba każdy człowiek. Każdy też chciałby znaleźć odpowiedź, i to jak najszybciej. Ten niezwykle ważny temat niesie ze sobą bowiem nadzieję na lepsze jutro. Nadzieję na coś, za czym wszyscy tęsknią. Nadzieję na normalność, która niestety powoli wypacza się w naszej świadomości. Jednak warto tę nadzieję mieć. Co więcej, nie jest ona bezprzedmiotowa, ponieważ w naszej historii były już pandemie i choroby, które udało się całkowicie zwalczyć właśnie dzięki szczepionkom.

Dzięki ateńskiej epidemii

Mianem szczepionki określamy preparat, który ma wprowadzać organizm w stan podobny do tego po przebyciu już choroby. Oparto się tu na obserwacji, że człowiek, który przeszedł daną jednostkę chorobową, jest na nią mniej podatny. Co ciekawe, taką tezę postawiono już w starożytnej Grecji, mimo że daleko było jeszcze do poznania takich określeń jak przeciwciała czy immunologia. Grecki historyk Tukidydes w 429 r. przed narodzeniem Chrystusa zaobserwował i zapisał, że osoby, które przechorowały ospę podczas ateńskiej epidemii, były na nią bardziej odporne. Podobne obserwacje poczyniono w starożytnych Indiach. Tam też podjęto pierwsze próby wykorzystania wyżej opisanej zależności do walki z plagą ospy. Próbowano ochronić dzieci przed zarażeniem, nakładając na zdrowe ciała ubrania należące do osób zarażonych, a nawet kłuto dzieci igłą zanurzoną wcześniej w ropie z ciała chorego.

Jednak jako pioniera w dziedzinie stosowania preparatu imitującego dzisiaj szczepionki najczęściej przedstawia się starożytne Chiny. Medycyna chińska od zawsze stała na bardzo wysokim po-

Angielski lekarz Edward Jenner przeprowadził ryzykowny eksperyment. Wprowadził do ciała ośmioletniego chłopca ropę z dłoni kobiety, która przeszła krowią odmianę ospy



DŁUGA KARIERA SZCZEPIONEK

OSTATNIMI CZASY CORAZ BARDZIEJ POPULARNE
STAJĄ SIĘ PLEBISCYTY NA NAJCZĘŚCIEJ UŻYWANE
W DANYM ROKU SŁOWA. JAK W ZESZŁYCH
12 MIESIĄCACH NOMINOWANE BYŁY GŁÓWNI: COVID,
WIRUS, KWARANTANNA CZY LOCKDOWN, TAK W 2021 r.
BEZSPRZECZNIE PRYM WIEDZIE SZCZEPIONKA

ziomie. Nie dziwi więc, że mędrcy zza Wielkiego Muru zaobserwowali zależność pomiędzy przebyciem choroby i nabyciem na nią odporności. Postanowili spróbować sztucznie wywołać taką odpowiedź organizmu, jednak bez ryzyka śmierci niesionego przez infekcję. Służyć temu miał specjalny preparat

podawany do nosa pacjenta, który miał spowodować bardzo łagodną postać choroby. Preparat ten wytwarzano z zaszuszonych strupów osób chorujących na ospę. Strupy proszkowano i w takiej formie podawano osobom zdrowym. Początki stosowania tego proceduru datuje się na X w. po narodzinach Chrystusa.

Śmiertelne migracje

Im więcej czasu upływało, a gęstość zaludnienia się zwiększała i ludność coraz ciśnień gromadziła się w miastach, tym częściej pojawiały się ogniska różnych epidemii. Zwłaszcza okres podboju i wielkich wypraw rozpoczął migrację wielu chorób, których dotąd nie znano na odległych lądach. W XVI i XVII w. mieszkańców Starego Łądu atakowały takie przypadłości jak krztusiec, ospa czy odra. Z kolei istniejące, które pokazują, że po odkryciu Ameryki przez Kolumba i stopniowym podboju tego kontynentu przez Europejczyków miejscowa ludność zaczęła masowo zapadać na choroby, z którymi dotąd nigdy nie miała styczności. Jest to kolejny dowód na to, że odporności nabywa się przez kontakt z chorobą przez wiele pokoleń.

Dla bezpieczeństwa dziecka

Jedną z pierwszych propagatorek szczepień na terenie Europy była angielska arystokratka Mary Wortley Montagu, żona ambasadora brytyjskiej Korony w Konstantynopolu. Literatka i baczna obserwatorka, mocno zafascynowana życiem i kulturą muzułmańską, opisywała ją w swoich listach. Właśnie tam zaobserwowała metodę ochrony przed ospą, zwaną wariolizacją, którą Turcy przejęli od Chińczyków. Metoda ta polegała na przenoszeniu wydzieliny ropnej chorego na osobę zdrową. Nazwa jej pochodzi od łacińskiego terminu variola vera, czyli ospa prawdziwa. Pani Montagu na tyle była ufna i pewna mądrości muzułmańskich uczonych, że postanowiła ochronić w ten sposób swoje własne dziecko. Jako że w tym przypadku metoda okazała się skuteczna, po powrocie do Anglii postanowiła ją rozpropagować we własnej ojczyźnie. W 1721 r. przekonała króla Jerzego I do wypróbowania tego sposobu ochrony na skazańcach. Dawano im prosty wybór: albo dadzą się zaszczepić, albo zgina z ręki kata. Większość naturalnie wybierała pierwszą opcję. Później szczepienia przeprowadzano na dzieciach z sierocińca, aż w końcu król pozwolił przeprowadzić zabieg na swoich wnukach. Po pewnym czasie metoda ta zaczynała gościć na wielu dworach na całym kontynencie.

Dar obserwacji

Według wielu uczonych metoda wariolizacji nie była jednak bezpieczna. Spora część pacjentów mimo wszystko prze-



Opracowana przez Ludwika Pasteura szczepionka na wściekliznę okazała się skuteczna i szybko zyskała uznanie na całym świecie

chodziła chorobę wywołaną ukłuciem bardzo ciężko. Dlatego szukano innych rozwiązań, obarczonych mniejszym ryzykiem zdrowotnym. I właśnie na taki pomysł wpadł angielski lekarz Edward Jenner. Zaobserwował on bardzo ciekawe zjawisko. Kobiety, które zajmowały się codziennie oporządzaniem krów, a przede wszystkim ich dojeniem, prawie w ogóle nie zapadały na ospę prawdziwą. Gdy dokładnie przeanalizował tę zależność, wysnuł wniosek, że przyczyna leży we wcześniejszym zakażeniu ospą krowią. Z tą wysoce pozytywną różnicą, że przebieg jej i objawy były wyjątkowo łagodne. Sama obserwacja jednak nie wystarczała do potwierdzenia tej teorii. Jenner przeprowadził więc ryzykowny eksperyment. Wprowadził do ciała ośmioletniego chłopca ropę z dłoni kobiety, która przeszła krowią odmianę ospy. Po roku od tego zdarzenia chłopiec zainkasował kilka dawek ropy od osoby zainfekowanej ospą prawdziwą. Okazało się, że organizm wyrobił wystarczającą odporność, a dziecko nie zachorowało. Sposób ten nazwano metodą wakcyjną od nazwy patogenu, czyli ospy krowiej. Jej bezpieczeństwo spowodowało, że zyskała aprobatę w całej Europie i przez wielu jest uznawana za pierwszą szczepionkę.

Szczęśliwe zaniechanie

Tak jak metoda ta została odkryta poprzez skrupulatną obserwację, tak jedna z podstawowych, funkcjonujących do dzisiaj, była dziełem przypadku i gapiostwa. Pod koniec XIX w. w laboratorium Ludwika Pasteura jeden z jego asystentów pozostawił próbkę bakterii cholery, która miała być podana kurom. Jednak zapomnieli o niej całkowicie. Gdy po jakimś

czasie przypomniał sobie o swoim zadaniu, szybko podał zwierzętom patogen. Ku jego zdziwieniu nic się nie wydarzyło, ptaki się nie rozchorowały. Gdy poinformował o tym swego mentora, francuski uczony szybko wysnuł wniosek, że osłabiając patogen poprzez temperaturę czy dostęp powietrza, zmniejsza się znacznie jego chorobotwórczość, bez negatywnego wpływu na wytwarzanie odporności organizmu. Tezę tę potwierdził, wykonując doświadczenie na owcach, które po zaszczepieniu unieczynnioną bakterią nie były podatne na chorobę.

Zauważenie tej zależności, tzn. osłabienia czynnika choroby po to, by potem podawać go w celu ochrony osób zdrowych, skłoniło Pasteura do pracy nad lekiem na inną bardzo ciężką chorobę – wściekliznę. Choroba, która przenosiła się ze zwierząt na ludzi, była zmorą końca XIX w. Uczony zauważył, że patogen przechodzi z rany osoby ugryzionej aż do mózgu, i tam się osadza, powodując zabójcze zmiany. Postanowił więc sporządzić preparat z mózgów zakażonych królików i sprawdzić jego działanie na innych zwierzętach. Eksperymenty przynosiły pozytywne efekty. W niektórych przypadkach okazywało się, że szczepionka ta powodowała ozdrowienie już zarażonych psów. Naukowiec nie był jeszcze pewny preparatu ani tego, czy będzie on odpowiedni dla ludzi, jednak życie samo przyspieszyło bieg wydarzeń. Do Pasteura trafił ciężko chory, niemal umierający na wściekliznę chłopiec. Francuz nie miał innego wyjścia, jak podać dziecku swój preparat. Kuracja zaproponowana przez Pasteura okazała się skuteczna, a szczepionka szybko zyskała uznanie na całym świecie.

Jak widać na wymienionych przykładach, żadna ze szczepionek nie była od razu gotowa i od samego początku pewna. Musiały przejść różne próby, zostać poddane obserwacjom i doświadczeniom. Dziś jesteśmy świadkami podobnego procesu. Nie mamy stuprocentowej pewności co do skuteczności proponowanych nam preparatów przeciwko COVID-19. Na pewno stosowane metody są coraz bardziej bezpieczne dzięki wiedzy, jaką posiadamy, m.in. za sprawą odkryć Jennera czy Pasteura. Możemy jednak mieć uzasadnioną nadzieję, że tak jak ich poprzednicy, również dzisiejsi uczeni odkrywają właśnie przełomowe metody, które pozwolą odesłać zagrożenie pandemią koronawirusa w zapomnienie. ■



Wjazd do
inhalatorium,
1976 r.

Wnętrze sztolni
zaadaptowanej na
inhalatorium, 1976 r.

N
A
C

SANATORIUM POD RADIACJĄ

Fotografia z zasobu Narodowego Archiwum Cyfrowego wykonana przez Grażynę Rutowską przywołać może skojarzenia ze scenografią mocnego thriller. Wewnątrz głębokiego skalnego korytarza oświetlonego lampami rozstawione są w rzędzie białe metalowe leżaki. To, czego nie widać na zdjęciu, a co czyni to surowe miejsce jeszcze bardziej tajemniczym, to promieniowanie radioaktywne. Dokąd zatem dotarła fotografka w czasie ferii zimowych w 1976 r.?

Tuż po zakończeniu II wojny światowej oczy sowieckich specjalistów zwróciły się ku Podgórzu – dzielnicy Kowar położonej na zboczach Karkonoszy – gdzie już w dwudziestolecie międzywojennym Niemcy odkryli złoża uranu. Uran pilnie potrzebny był Rosjanom do budowy bomby atomowej – kluczowej broni w ówczesnym wyścigu zbrojeń. Na terenie ZSRS nie było wówczas zidentyfikowanych złóż tego pierwiastka, zatem sowieccy wojskowi rozpoczęli poszukiwania w krajach bloku wschodniego. W 1947 r. podpisano umowę regulującą zasady eksploatacji złoża, również w wymiarze finansowym. Wydobycie uranu musiało być rzecz jasna tajne, dlatego ukryto nazwę przedsiębiorstwa pod kryptonimem Zakłady Przemysłowe R-1. Państwowe Przedsiębiorstwo Wyodrębnione. Całe przedsięwzięcie spowijał gęsty woal zimnowojennej tajemnicy.

W 1958 r. zaprzestano eksploatacji uranu i sztolnie, zgodnie z prawidłami sztuki górniczej, zostały otamowane. Z oczywistych względów nie zachowały się dokumenty mówiące o skali wydobycia promieniotwórczego pierwiastka. Lokalne legendy mówią nawet o tysiącach ton rudy wywiezionych na wschód, bardziej praw-

dopodobne są jednak szacunki pomiędzy 600 a 800 ton.

O istnieniu pokopalnianych tuneli lokalne władze przypominały sobie, gdy powstały plany uczynienia z Kowar ośrodka sanatoryjnego. W sztolni 19a postanowiono urządzić podziemne Inhalatorium Radonowe podległe Uzdrowisku Cieplce. Stanowiący jego bazę radon powstaje w wyniku reakcji rozpadu uranu, która występuje w przyrodzie w sposób naturalny. Radon Rn-222 to gaz szlachetny, bezwonny, bezbarwny, cięższy od powietrza. Podczas rozpadu radonu emitowane są cząstki alfa, które silnie jonizują otoczenie. U podstaw radonoterapii leży pogląd, że zjawisko to nie uszkadza tkanek, natomiast powoduje aktywizację i rewitalizację komórek.

W 1974 r. ukończono adaptację sztolni na cele uzdrowiska. Prasa obwieściła sukces – był to jedyny taki obiekt w kraju i jeden z pięciu na świecie. Cały kompleks składał się z dwóch komór leczniczych, komory technicznej i pomieszczenia dla lekarzy. Rocznie w sztolniach kopalni Podgórza poddawano zabiegom ok. 3,6 tys. osób. Kuracja radonem – z uwagi na surowe warunki pogodowe panujące w Karkonoszach – siłą rzeczy miała charakter sezonowy. Dojazd do inhalatorium możliwy był wyłącznie kolejką, na co regularnie utyskiwali kuracjusze.

Niestety, jak to często bywało w Polsce Ludowej, nie zadbano o bezpieczeństwo pacjentów i personelu. W inhalatorium nie było bowiem choćby liczników Geigera ani aparatów do pomiaru stężenia radonu w powietrzu. Narażano przez to ludzi na promieniowanie radioaktywne, które według ówczesnych badań jeleniogórskiego sanepidu okresowo

przekraczało normy nawet 300-krotnie. Co więcej, personel nie został wyposażony w jakąkolwiek odzież ochronną. W 1977 r. zaplecze obsługujące inhalatorium zostało przeniesione na powierzchnię. Przesunięcie personelu na zewnątrz oznaczało, że pacjenci odbywający inhalacje pod ziemią byli w tym czasie pozostawieni sami sobie. Zamontowano jedynie sygnalizację dzwinkowo-alarmową przy leżakach pacjentów, aby w razie nagłej potrzeby mogli oni przywołać którąś z pielęgniarek. W 1978 r. wprowadzono telewizję przemysłową i dwustronną łączność foniczną pomiędzy pacjentami w sztolni a personelem przebywającym w baraku na powierzchni. Działanie zainstalowanego systemu pozostawiało jednak wiele do życzenia.

Pacjenci odbywali w Kowarach dwutygodniowe turnusy, zażywając codziennie kilkugodzinnych inhalacji. Na radonoterapię kierowani byli wówczas chorzy na astmę i choroby krążenia. Wewnątrz góry biło również źródło, z którego początkowo ochoczo czerpali kuracjusze. Dopiero w 1976 r. zapadła decyzja o podawaniu choremu wody butelkowanej. Dziś pozostają nam jedynie domysły, archiwalia milczą bowiem o tym, co faktycznie zdeterminowało decyzję władz o zakazie picia wody źródlanej...

W 1989 r. zawałiła się obudowa szybu, na jej naprawę zabrakło zaś pieniędzy. To przyspieszyło zamknięcie inhalatorium. Z czasem pozostawiona bez opieki infrastruktura rozkradli zbieracze złomu. Niedawno inhalatorium w Kowarach zostało reaktywowane przez podmiot prywatny i w nowej odsłonie – tym razem utrzymanej w estetyce spa – znów oferuje entuzjastom radiacji terapię radonem.

KATARZYNA ZIELIŃSKA



**SU-76 BYŁO NAJLICZNIEJ
PRODUKOWANYM
DZIAŁEM SAMOBIEŻNYM
ARMII CZERWONEJ
W CZASIE II WOJNY
ŚWIATOWEJ**

POPULARNA „SUCZKA”, CZYLI DZIAŁO SAMOBIEŻNE SU-76



**KACPER
GROCHOCKI**

Choć przed wybuchem II wojny światowej prowadzono w ZSRS prace nad artylerią samobieżną, to były one traktowane po macoszemu i nie przyniosły wymiernych efektów w postaci wielkoseryjnej produkcji tego typu pojazdów. Dopiero zetknięcie się na polu walki z Wehrmachtem, który na dużą skalę używał dział samobieżnych, wykazało sowieckiemu dowództwu przydatność bojową takich maszyn.

Ze względu na wieloletnie zaległości oraz wyjątkowo trudne pierwsze miesiące niemieckiej agresji, początkowo szukano w ZSRS improwizowanych rozwiązań, by szybko opracować nowy rodzaj pojazdów. Jednak, jak można było się spodziewać, działania te nie przyniosły rezultatów. Temat powrócił wiosną 1942 r. Pojawiła się wtedy koncepcja wykorzystania lekkiego czołgu T-70 jako bazy dla dział samobieżnych, sam czołg okazał się bowiem zbyt słabo uzbrojony. Prototyp nowego pojazdu, uzbrojonego w równie świeżą armatę ZIS-3 kal. 76,2 mm, powstał w rekordowym tempie i już w czerwcu 1942 r. został poddany próbom poligonowym. Wykazały one jednak liczne wady konstrukcji, przez co seryjna produkcja nie została podjęta.

Państwowy Komitet Obrony ZSRS zlecił jednak dopracowanie projektu, a zadanie to powierzono zakładom przemysłowym w Kirowie oraz Gorkim (dziś Niżny Nowogród). Równocześnie powstawały więc dwie nowe konstrukcje, choć oparte na tym samym pierwowzorze. Ostatecznie lepszy okazał się prototyp stworzony w Kirowie i to on został w grudniu 1942 r. przyjęty do uzbrojenia Armii Czerwonej pod oznaczeniem SU-76. W styczniu 1943 r. rozpoczęto seryjną produkcję, lecz kilka miesięcy frontowego użytkowania wykazało kolejne wady pojazdu, z których największą był układ transmisji napędu. Od kwietnia do lipca 1943 r. trwała modernizacja i testowanie nowej wersji konstrukcji. Poprawiony został zespół transmisyjny. By go dodatkowo odciążać, zmniejszono masę wozu poprzez odkrycie przedziału bojowego i redukcję grubości opancerzenia. Nowa wersja dział samobieżnego otrzymała oznaczenie SU-76M i był to drugi, po czołgu T-34, najliczniej produkowany pojazd pancerny Armii Czerwonej w czasie II wojny światowej. Łącznie powstało ponad 12 tys. egzemplarzy wozu, z czego znaczna większość (blisko 11,5 tys. szt.) w wersji M.

SU-76M było oparte na podzespołach czołgu lekkiego T-70. Uzbrojenie główne stanowiło działo ZIS-3S kal. 76,2 mm, do obrony bezpośredniej służył karabin maszynowy DT kal. 7,62 mm. Opancerzenie osiągało 35 mm w dolnej części kadłuba, na bokach 15 mm. Na jednostkę napędową składały się dwa silniki gaźnikowe

o łącznej mocy 140 KM. Pozwalały na osiągnięcie ok. 30 km/h na drodze i ok. 20 km/h w terenie, przy zasięgu odpowiednio ok. 320 km i 190 km. Załogę pojazdu stanowiło czterech ludzi – dowódca, działonowy, ładowniczy i kierowca-mechanik.

Głównym przeznaczeniem dział samobieżnych SU-76M było bezpośrednie wsparcie piechoty. Miały za zadanie zwalczać umocnione punkty oporu i siłę żywą przeciwnika. Największą zaletą SU-76M były uniwersalność i odpowiednia siła ognia – mogły służyć jako lekkie działa szturmowe, mobilna artyleria do ostrzału pośredniego lub armata przeciwpancerna. Korzystano z nich również czasem jak ze „zwykłych” czołgów, lecz w tej roli ponosiły duże straty ze względu na słabe opancerzenie. Odkryty przedział bojowy ułatwiał komunikację z własną piechotą i nie stanowił śmiertelnej pułapki w przypadku trafienia pociskiem kumulacyjnym, lecz z kolei wystawiał załogę na możliwość ranienia odłamkami lub wrogą bronią ręczną. Niemniej jednak SU-76M były lubiane przez żołnierzy, którzy pieszczotliwie nazywali je suczkami. Stanowiły bowiem wartościowe wsparcie dla własnych oddziałów, a ich liczba kompensowała braki konstrukcji.

SU-76M użytkowali również Polacy w ramach Ludowego Wojska Polskiego. Otrzymali oni te pojazdy wiosną 1944 r., a w służbie LWP pozostały do połowy lat 50. Bojowo wykorzystywane były jeszcze podczas wojny w Korei i przy tłumieniu powstania węgierskiego w 1956 r.

POZYCJA MŁAWA

Wciąż niewytracająca impetu pandemii koronawirusa demuluje niemal każdą dziedzinę życia. Czy to z musu, czy z własnej woli – wielu z nas pozostaje w domach. Ograniczenia w transporcie, zamknięcie instytucji kultury, sztuki i rekreacji, brak dostępu do bazy noclegowej oraz utrudnienia w gastronomii ograniczają naszą mobilność. Pracujący w trybie zdalnym pozbawieni są, jak teraz to odbierają, komfortu wyjścia do biura. Długotrwały lockdown, poza spowalnianiem transmisji wirusa, powoduje frustrację i chęć wyjścia poza już zbyt dobrze znane cztery ściany. Jak w dobie dystansu społecznego spotkać się z historią? Jest na to bezpieczny sposób.

Jeżdżąc z Warszawy na Mazury czy nad morze, często wybieram trasę S7. Obecnie jest ona rozbudowywana na odcinkach pomiędzy Płońskiem a Nidzicą, co wiąże się z utrudnieniami w ruchu. Polecam jednak zaciśnięcie zębów i zaniechanie poszukiwań alternatywnej drogi. Już kilka kilometrów za Mławą z lasu po lewej stronie wyłania się gigantyczny, uzbrojony w granat i karabin, polski piechur – to pomnik przy mauzoleum Żołnierzy Września w Uniszkach Zawadzkich. W zatoce u jego podnóża można zaparkować i wspiąć się na skarpe, gdzie przed rozbitym bunkrem upamiętniono polskich żołnierzy poległych w bitwie pod Mławą, stoczonej w tym miejscu w dniach 1–3 września 1939 r. Ich imiona i nazwiska wyrte są na siedmiu granitowych tablicach, którym chwały dodaje ustawiony za nimi ogromny krzyż Orderu Virtuti Militari. We wnętrzu żelbetowego schronu umieszczono schemat stoczonych tu przed laty walk. Pewien dysonans bu-

dzi, ustawiona tuż obok, sowiecka armata polowa ZIS-3 – zapewne w 1985 r., kiedy powstał pomnik, nieosiągalne było zastąpienie jej choćby rekonstrukcją polskiego uzbrojenia z września 1939 r.

Bitwa pod Mławą była jedną z pierwszych wojny obronnej i zarazem II wojny światowej. Przeciwno pięciu dywizjom piechoty, wspieranym przez dywizję pancerną i brygadę kawalerii z niemieckiej 3 Armii Georga von Küchlera, stanęły dwie polskie dywizje piechoty, dwie brygady kawalerii i jedna brygada Obrony Narodowej z Armii „Modlin” dowodzonej przez gen. Emila Krukowicza-Przedrzymirskiego. Zadaniem polskiego generała było opóźnienie niemieckiego natarcia z Prus Wschodnich, przez północne Mazowsze, na Warszawę, czyli na najkrótszym odcinku z terenów III Rzeszy do naszej stolicy. Zasadnicza pozycja obronna Armii „Modlin” była oparta na linii rzek Wisły i Narwi oraz znajdującej się u ich zbiegu twierdzy w Modlinie. Polski plan obronny zakładał wycofanie się tam z przedpola przy granicy Rzeczypospolitej po jak najdłuższej walce.

„Mazowsze. Piasek, Wisła i las.

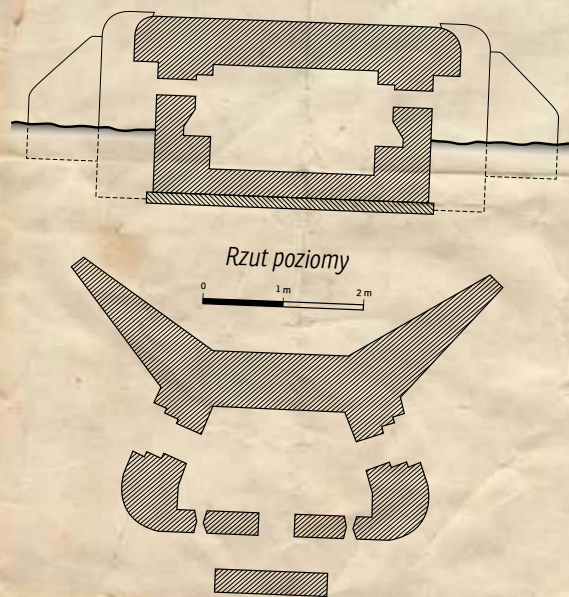
Mazowsze moje. Płasko, daleko [...]”. Miał rację Krzysztof Kamil Baczyński, tak charakteryzując Mazowsze – płasko, daleko. Z wojskowego punktu widzenia – trudno do obrony. By zwiększyć szanse na powodzenie powierzonego mu zadania, gen. Emil Krukowicz-Przedrzymirski 19 czerwca 1939 r. przedstawił do akceptacji marsz. Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu, opracowany przez oficerów swojego sztabu, projekt ufortyfikowania rejonu Mławy. 3 lipca, po osobistej wizytacji proponowanego odcinka, marszałek zatwierdził budowę „pozycji Mława”.

Jej kręgosłup opierał się na zalesionej połodowcowej morenie, biegnącej równoleżnikowo, na północ od Mławy. Na jej grzbiecie planowano wybudowanie linii składającej się z 68 żelbetowych schronów dla ciężkich karabinów maszynowych, fortyfikacji drewniano-ziemnych i okopów strzeleckich. Przed pozycjami obronnymi planowano wykopanie rowów i przeszkód przeciwczołgowych oraz linie zasieków. Prace budowlane rozpoczęły się 14 lipca.

1 września niemieckie oddziały, przekraczając granicę Rzeczypospolitej, spotkały się z twardą obroną ze strony polskiego wojska wspartego o solidną linię umocnień. „Pozycja Mława” była zaskoczeniem dla atakujących – aż do rozpoczęcia walk nie została wykryta ani przez zwiad Luftwaffe, ani przez Abwehrę. Zmagania pod Mławą, niebędące jedynie obroną ufortyfikowanej linii, ale też walkami manewrowymi, obejmiały pozycje przeciwnika i kontratakami, zakończyły się rankiem 4 września. Wobec niemieckiej przewagi, przede wszystkim w powietrzu, gen. Krukowicz-Przedrzymirski wydał rozkaz podległym mu oddziałom opuszczenia pozycji mławskiej i wycofania się w kierunku Wisły. Większość oddziałów w czasie odwrotu poniosła ciężkie straty w sprzęcie od bomb zrzuconych przez stukasy, a samo wycofywanie niejednokrotnie przeradzało się w paniczną ucieczkę.

Dzisiaj po „pozycji Mława” pozostały głównie żelbetowe schrony. Umocnienia drewniano-ziemne nie przetrwały do naszych czasów, okopy w większości zostały zaorane przez rolników i leśników, przeszkody przeciwczołgowe i zasieki rozebrano. Wprawdzie do wybuchu wojny

Schron na CKM tradytorowy dwustronny



nie udało się wybudować wszystkich z zaplanowanych 68 bunkrów, ale większość powstałych trwała na swoich miejscach. Dwa z nich, dość dobrze zachowane, są widoczne spod pomnika piechura – stoją w polu po wschodniej stronie trasy S7. Do pierwszego z nich trzeba pokonać dystans ok. 500 m.

Warto docenić pomysłowość ich projektu. Budowano je zgodnie z instrukcją Inspektoratu Saperów Sztabu Głównego z 1939 r., dzięki czemu ich gabaryty były ograniczone (powierzchnia schronu dla czteroosobowej załogi wynosiła 5,7 m²), a prace przy ich budowie były maksymalnie uproszczone. Bunkry na „pozycji Mława” budowali żołnierze później ich broniący. W ich powstawaniu pomagała

nawet miejscowa ludność. Bardzo praktycznym rozwiązaniem okazały się „ramiona” na froncie schronów. Przestrzeń pomiędzy nimi wypełniano kamieniami i obsypywano ziemią, co znacząco zwiększało wytrzymałość obiektów na ostrzał i dodatkowo upodabniało je do pagórków, kryjąc je przed oczami wroga. Bunkry budowano w liniach, tak by ogień CKM, ze skośnie ustawionych strzelnic, krzyżował się na międzypolu, które jednocześnie było przedpołem dla piechoty ukrytej w okopach zbudowanych pomiędzy schronami. Tak zabezpieczona linia frontu była bardzo trudna do przebycia przez nacierających żołnierzy, również dla pojazdów opancerzonych. Z drugiej strony znisz-

czenie jednego z obiektów, np. przez lotnictwo, stwarzało pole niepokryte ogniem maszynowym. W najlepszym wypadku mogło ono być rażone przez sąsiednie bunkry, jednak ze względu na odległość – ogniem niezbyt celnym.

W rejonie Mławy, w lasach i na łąkach, kryje się znacznie więcej schronów niż trzy w pobliżu pomnika piechura. Część z nich jest odmiennej konstrukcji od przedstawionej na schemacie powyżej. Ich odnajdywanie i zwiedzanie może być pomysłem na bezpieczne wyjście z domu, bo gdzie znajdziemy większy dystans społeczny niż w otwartym terenie.

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

TRZY WOJNY PANCERNEGO MARSZAŁKA

AR
CHI
WUM
IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA
DOKUMENTACJI
AUDIOWIZUALNEJ

„Pierwszy Marszałek” był bronią zdobytą na bolszewików przez żołnierzy 50 Pułku Strzelców Kresowych. Zanim jednak zaczął polskie życie, był pod rozkazami Rosjan, zarówno „czerwonych”, jak i „białych”.

Pociąg zbudowany został w 1919 r. i używany był przez bolszewików w wojnie domowej na froncie południowym. Nosił wówczas nazwę „Tow. Szaumian i Dżaparidze”, na cześć rozstrzelanych w Baku przez Anglików rewolucyjnych komisarzy. Został zdobyty przez „białe” wojska gen. Denikina i zmieniono mu nazwę na „Dobrowolec” (ochotnik), by wkrótce ponownie wpaść w ręce bolszewików. Podczas polskiej ofensywy na Kijów, 28 kwietnia 1920 r., w okolicy wsi Kotiużyńce, po ostrzelaniu przez polską 1 Baterię 13 Kresowego Pułku Artylerii Lekkiej bolszewicy porzucili pociąg i stał się on wojennym łupem wojsk polskich. W ten sposób pociąg otrzymał nową nazwę „Strzelec Kresowy”.

Natychmiast wykorzystano go w walkach z bolszewikami. Wspierał 2 i 3 Armie w bojach z Konarmią Budionnego, po czym wycofano go do Dębłina. W lipcu 1920 r. pociąg otrzymał imię „Pierwszy Marszałek” i ponownie wyruszył na front. 16 sierpnia 1920 r. brał udział w Bitwie Warszawskiej, wspierając uderzenie 1 Pułku Strzelców Podhalańskich na Sokołów Podlaski.

Po wojnie został zdemobilizowany i dopiero pod koniec lat 20. przydzielono go do 2 Dywizjonu Pociągów Pancernych w Niepołomicach, gdzie przez kolejne lata był używany jako pociąg szkolny. Na początku lat 30. przeszedł modernizację, otrzymał nową lokomotywę i uzbrojenie, w tym przeciwlotnicze karabiny maszynowe, oraz wyposażenie radiowe. „Pierwszy Marszałek” był wówczas jednym z najnowocześniejszych pociągów pancernych w polskiej armii.

W dniach mobilizacji, w sierpniu 1939 r., jego nazwę zmieniono na Pociąg Pancerny nr 51. W kampanii wrześniowej walczył w składzie Armii „Kraków”,

m.in. pod Jordanowem. Artyleria pociągu ostrzeliwała niemieckie formacje 2 Dywizji Pancernej szturmujące pozycje KOP. Skuteczny ostrzał zastopował Niemców i dopiero mocna szarża czołgów zmusiła pociąg do wycofania się. W starciu ranny został dowódca kpt. Cymborski i zginął telefonista por. Chłędowski. Niemcy zdobyli polskich pozycji okupili stratą 50 czołgów. W kolejnych dniach PP nr 51 był w odwrocie, dotarł do Równego, gdzie 22 września został zbombardowany przez sowieckie lotnictwo. W sytuacji, kiedy uszkodzenia nie były możliwe do naprawy, zastępujący dowódcę kpt. Rokosowski rozkazał opuszczenie pociągu.

Przejęty przez Sowietów, do 1941 r. był w służbie 71 Pułku NKWD. W czasie walk z Niemcami prawdopodobnie po wyczerpaniu amunicji pociąg został opuszczony i wysadzony. Uszkodzenia musiały być niewielkie, bo już w 1941 r. został naprawiony i zaczął swoje trzecie życie, wchodząc do służby w armii niemieckiej jako Panzerzug 11. Swoją karierę bojową zakończył 13 stycznia 1945 r. w okolicy Chęcina. Został opuszczony, kiedy z powodu zniszczenia mostu na Nidzie nie mógł się już wycofać przed nacierającymi wojskami sowieckimi.

ARTUR CIEŚLIK

Pociąg pancerny „Pierwszy Marszałek” w czasie wojny Polski z bolszewicką Rosją



PLOMBA Z AKCJI „GÓRAL”



**RAFAŁ
BRODACKI**

W ZBIORACH MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO ZNAJDUJE SIĘ PLOMBA, KTÓRA ZABEZPIECZAŁA WOREK Z BILONEM. TO WYJĄTKOWY EKSPONAT, BĘDĄCY PAMIĄTKĄ PO JEDNEJ Z NAJBARDZIEJ ZUCHWAŁYCH AKCJI ARMII KRAJOWEJ

Dnia 12 sierpnia 1943 r. na ul. Senator-skiej w Warszawie żołnierze Kedywu Komendy Głównej AK przeprowadzili akcję „Góral”, polegającą na zaatakowaniu konwoju wiozącego pieniądze z kontrolowanego przez Niemców Banku Emisyjnego. W ciągu trwającej 150 sekund akcji zdobyli pokaźną kwotę pieniędzy, tak bardzo potrzebnych podczas bieżącej działalności Armii Krajowej.

Pieniądze te znajdowały się w 36 workach złożonych na pace ciężarówki. Każdy był związany sznurkiem, którego końce wieńczyła plomba. Żołnierze pojechali zdobyczym autem w kierunku ul. Sowińskiego 47, gdzie mieściło się gospodarstwo ogrodnicze należące do Bronisława Ruchowskiego „Bratka”. Tam wrzucili łup do przygotowanego wcześniej dołu, a „Bratek” dodatkowo przykrył go łęcinami. W ciągu nocy zaś wydobyl z dołu worki i przeniósł do szklarni. Ułożył je w przygotowanym zawczasu rowie i zasypał ziemią ogrodniczą. Nad skrytką postawił regał z sadzonkami begonii na półkach.

Przyjazd ciężarówki na ul. Sowińskiego i zamieszanie, jakie sprawiali kręcący się wokół niej ludzie, od razu zwróciły uwagę lokalnej społeczności. Co bardziej wścibskim osobom „Bratek” opowiadał zmyślane historie, które odsuwały jakiegokolwiek domysły o ukrytym łupie. Na wszelki jednak wypadek okolicy skrycie pilnowali żołnierze Armii Krajowej, uzbrojeni w pistolety maszynowe i granaty. Byli gotowi bronić zdobyczy, gdyby Niemcy jakimś cudem wpadli na jej ślad.

Tak się jednak nie stało, choć rano 13 sierpnia z pewnością podniósł ciśnienie konspiratorom. Tuż przed bramą gospodarstwa pojawili się bowiem granatowi policjanci. W pierwszej chwili żołnierze AK myśleli, że okupant wpadł na trop pieniędzy. Okazało się jednak, że obecność policjantów była przypadkowa. Po prostu tego dnia ustawili posterunek i kontrolowali jadące ulicą samochody. Nie zwracali więc uwagi na wóz z pomidorami i nie zauważyli leżących pod stertą warzyw zaplombowanych worków.

Tymczasem powóz, za którym skrycie i w bezpiecznej odległości podążali żołnierze AK, zjechał na ul. Śliską 15, gdzie w jednym z zamkniętych sklepów czekał oficer Oddziału VII Biura Finansów i Kontroli KG AK (i zarazem inicjator akcji „Góral”) mjr Emil Kumor „Krzyś”. W jego obecności plomby zostały zerwane, a pieniądze komisyjnie przeliczone. Dopiero wtedy okazało się, jak wielkim sukcesem była akcja „Góral”. Polacy zdobyli okupacyjne złotówki (tzw. młynarki), marki niemieckie i ostmarki o łącznej wartości ponad 100 mln zł. Po jakimś czasie pieniądze te zostały wypuszczone do obiegu.

To zapewne na ul. Śliskiej jeden z biorących udział w akcji żołnierzy Kazimierz Skrobik „Strażak” zabrał na pamiątkę niepotrzebną już plombę. Przechowywał ją przez wiele lat, by w listopadzie 2004 r. przekazać do Muzeum Powstania Warszawskiego. ■



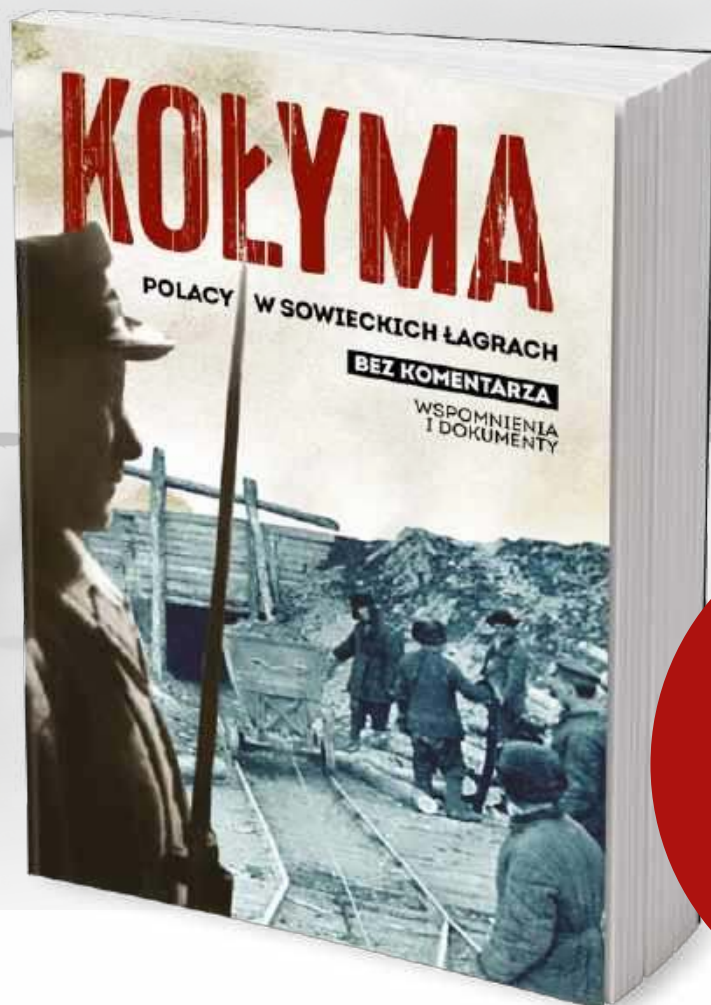
**Materiał przygotowany
przez zespół Muzeum
Powstania Warszawskiego**



TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

SIECI

**w SIECI
HISTORII**



*Książka zawiera relacje tych, którzy przeżyli
piekło sowieckich łagrów na Dalekiej Północy.
Ocaleni opowiadają o dramatach więźniów,
którzy ginęli na skutek surowego klimatu
i katorżniczej pracy na mrozie sięgającym -50 stopni.
Śmiertelność w łagrach wynosiła nawet 80 proc.*

**150
książek
w prezencie**

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:

tygodnika **SIECI** i magazynu **HISTORII** za **280 zł**,
a książkę „**Kołyma. Polacy w sowieckich łagrach**”
otrzymasz **GRATIS!**



Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.